



EVAN CURRIE

ODYSSEY ONE

TOM 6

PRZEBUDZENIE ODYSEUSZA

Evan Currie

ODYSSEY ONE

TOM 6

PRZEBUDZENIE ODYSEUSZA

Przekład Paweł Dembowski



Warszawa 2018

W serii ODYSSEY ONE dotychczas ukazały się:

ODYSSEY ONE

ROZGRYWKA W CIEMNO

ODYSSEY ONE

TOM 2

W SAMO SEDNO

ODYSSEY ONE

TOM 3

OSTATNI BASTION

ODYSSEY ONE

TOM 4

W OGNIU WOJNY

ODYSSEY ONE

TOM 5

KRÓL WOJOWNIKÓW

Tytuł oryginału: *Odysseus Awakening*

Text copyright © 2017 by Cleigh Currie
All rights reserved.

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with GRAAL, SP. Z O.O.

Projekt okładki: Tomasz Maroński
Redakcja: Rafał Dębski
Korekta: Agnieszka Pawlikowska
Skład i łamanie: Ewa Jurecka
Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Wydawca:
Drageus Publishing House Sp. z o.o.
ul. Kopernika 5/L6
00-367 Warszawa
e-mail: drageus@drageus.com
www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-65661-58-6
ISBN MOBI: 978-83-65661-59-3

Prolog

Systemy Imperium

Zwierzchniczka Misrem spoglądała na kosmiczną otchłań, ignorując punkciki światła.

Jej porażka w walce z napotkanym gatunkiem-anomalią była... irytująca. Oraz kosztowna, zarówno w aspekcie pozyskania cennych metali, jak i jej pozycji w Imperium. Oczywiście jakoś przetrwała śledztwo w tej sprawie. Aby ją pogrążyć, trzeba było więcej niż jednej nieudanej misji. Zwłaszcza zważywszy na szczątkowość informacji, jakimi dysponowała przed jej rozpoczęciem.

„Nie mówiąc już o sabotażu, który nastąpił w środku bitwy”.

Służby Wywiadowcze Imperium wciąż nie ustaliły jeszcze, w jaki sposób na pokład okrętów przemycono broń atomową. Oczywiście było mnóstwo potencjalnych podejrzanych. Imperium miało wielu wrogów, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych.

SWI doprowadzało do szału to, że lista wrogów, którzy chcieliby to zrobić, którzy mieli takie możliwości i szanse na taką operację oraz dostęp do broni atomowej, była krótka.

A nawet pusta.

Gdyby nie to, że kilka z jej okrętów przetrwało starcie i mogło zostać przebadanych przez SWI, Misrem zapewne zostałaby oskarżona o sfalszowanie danych. Jednak w obliczu dowodów wywiad był wyraźnie poruszony.

Dzięki temu, że trudno było wskazać winnych zaniedbań, Misrem zachowała swoje stanowisko i była gotowa bardziej niż kiedykolwiek, by wyruszyć ponownie w kosmiczną pustkę i odzyskać pozycję.

Na szczęście wkrótce miała nadarzyć się okazja.

Od kilku tygodni przybywały okręty, najpierw uzupełniające straty, a następnie wzmacniające flotę.

Przysiężni stali się nieakceptowalnym utrapieniem dla Rady Imperialnej. Utrapieniem, które istniało zbyt długo i okazało się zbyt dokuczliwe, by je po prostu zostawić. Drasinowie zawiedli, choć

Misrem uznała, że nie trzeba było geniusza, aby to przewidzieć. Spuszczenie tych bestii ze smyczy stanowiło szaleństwo, niezależnie od rzekomych zabezpieczeń. Spodziewała się, że ta lekkomyślność będzie słono kosztować Imperium.

Na razie jednak dzień zapłaty nie nadchodził, a ona miała za zadanie sprawić, żeby Przysiężni gorzko pożałowali.

Słyszając odgłos kroków, Misrem odwróciła się.

– Kapitan Aymes – powitała serdecznie idącego w jej stronę mężczyznę.

– Zwierzchniczko – odparł, kłaniając się. – „Piar Cohn” jest w pełni naprawiony. Wszystkie systemy w normie.

– Doskonale – odparła, szczerze zadowolona.

„Piar Cohn”, jego załoga i kapitan narazili się dowództwu Imperium podczas swojej pierwszej interakcji z gatunkiem-anomalią. Ale nie podpadli tym zwierzchniczce Misrem.

Okręty, które napotkał „Cohn”, wydawały się na pierwszy rzut oka podobne do konstrukcji Imperium i Przysiężnych, ale widziała je w akcji. Były inne.

Od czasu tego odkrycia i od chwili, kiedy Aymes poświęcił własny okręt, by uratować ją i resztki załogi z okrętu flagowego, zasłużył sobie na koniec niełaski – przynajmniej w jej oczach.

Imperium zapewne wymagało więcej. Jak zawsze zresztą.

– Powrót „Cohna” oznacza, że nasze doświadczone okręty są w komplecie – stwierdziła. – A nowo przydzielone jednostki więcej niż zrekompensują straty. Spodziewam się, że niedługo otrzymamy rozkaz odlotu.

– Z powrotem na terytorium Przysiężnych, zwierzchniczko?

– Owszem. Tym razem z zębami i wolą walki.

„I misją rozpoznawczą” – pomyślała. Wiedzieli, że sektor Przysiężnych będzie większym wyzwaniem, niż do tej pory przypuszczano, i teraz rozumieli już dlaczego. Musieli tylko określić, jak bardzo dużym.

Potrzebowali informacji, szczególnie o nowo napotkanej grupie. Dopiero wtedy Imperium będzie mogło wznowić ekspansję.

Okręt Sojuszu Ziemi „Odyseusz”

Orbita Ziemi

Eric Stanton Weston stał samotnie na pokładzie obserwacyjnym „Odyseusza”, spoglądając na wypełniające otaczającą go czerń gwiazdy. Garstka z nich poruszała się, i to właśnie im przyglądał się uważnie.

Oczywiście nie były to gwiazdy. Przyglądał się bowiem światłom roju konstrukcyjnego, nowego wytworu ziemskiego Działu Badań Technicznych. Samoreplikujące się roboty, zbudowane dzięki połączeniu technologii Ziemi, Priminae i odrobinie inspiracji Drasinami.

Ten ostatni element martwił wielu ludzi, w tym jego, ale Eric od dawna wiedział, że technologia to narzędzie. Nawet ta, która stworzyła Drasinów. Nie było sensu gniewać się na narzędzie czy się go obawiać. Emocje należało zachować dla osoby je dzierżącej. Jako że ludzie posługujący się tym narzędziem byli Ziemianami, a nie władcami jakiegoś złowrogiego Imperium, na razie starał się nie oceniać samej technologii.

Chwilowo bardziej interesowało go, co robią niż jak.

Rój był elementem tytanicznego planu odbudowy Układu Słonecznego i zaczął jako relatywnie niewielka część całości, która wkrótce urosła do niezwykłej skali. Z użyciem materiałów pozostawionych na dawnej orbicie Marsa – bilionów martwych Drasinów i dwóch bezpańskich księżyców – Rój, początkowo jedynie samoreplikujący się, zaczynał budowę pierwszej naprawdę wielkiej ziemskiej konstrukcji.

W skali Kardaszewa była to nieduża rzecz, ale i tak robiła wrażenie. Pierwsze satelity znajdowały się już na orbicie słonecznej w okolicach Merkurego. Były kolektorami mocy, pobierającymi promieniowanie słoneczne i przechowującymi je na użytek innych projektów. Na razie w większości zasilaly Rój, ale procent ten malał w miarę, jak powstawały nowe satelity.

Eric widział plany na przyszłość układu i mimo pewnych obaw co do źródeł technologii znalazł się pod wrażeniem rozmachu wizji jej

projektantów.

Były to jednak plany na później. Teraz miał wciąż robotę do wykonania.

Weston rzucił ostatnie spojrzenie na mknące przez kosmiczną czerń światła. Pomyślał o wszystkich, którzy zginęli na Marsie, i odmówił cichą modlitwę, po czym opuścił pokład obserwacyjny.

Ranquil, planeta Priminae

Admirał Rael Tanner spoglądał na nocne niebo nad planetą Ranquil. Migające gwiazdy, widziane przez gęstą atmosferę, kiedyś pomagały mu w spokojnym namyśle, w czasach kiedy jego stanowisko było w zasadzie ceremonialne i nieszczególnie istotne.

Dostał awans głównie dlatego, że nikt ważniejszy nie chciał tej pracy, a wielu uważało ją za bezsensowną i niewdzięczną, zamykającą ścieżki awansu we flocie handlowej. W dniu, w którym został admirałem, miał mieszane uczucia. Czuł dumę i szczerą satysfakcję, bo nigdy nie gardził tymi, którzy chcieli bronić jego ludzi, ale odczuwał również pewną melancholię. Każdy, kto wstąpił do floty, chciał mieć własny statek i wolność, aby dowodzić nim wedle uznania, a Tanner nie był wyjątkiem od tej reguły.

Na tym stanowisku nie miał dostać ani tego, ani tego.

W tych wczesnych dniach gwiazdy wydawały się mu czymś cudownym i radosnym. Uczucia te zastąpił strach przyniesiony przez Drasinów, który nie opuszczał go nawet teraz, choć ulegli zniszczeniu. Czysta radość była może dobra dla dzieci, ale Tanner i tak za nią tęsknił i miał nadzieję, że kiedyś powróci.

„To raczej się nie spełni” – pomyślał.

Od czasu pierwszego ataku Drasinów na kolonie Priminae wszechświat ogarnął mrok. Światła odległych gwiazd nie zwiastowały już nieznanymi cudów, lecz ponure niebezpieczeństwa. Jego lud nie był nigdy bardzo zainteresowany eksploracją, ale w każdym społeczeństwie znajdowali się tacy, których ciągnęło na pogranicze. W młodości należał do nich właśnie Tanner, z czasem wyrósł jednak z młodzieńczych marzeń.

Cenił bezpieczną i spokojną kulturę Ranquil w stopniu, którego by nigdy nie zrozumiał. Zdawał sobie jednak sprawę, że wielu, nawet

wśród Priminae, pragnęło czegoś innego.

Dawniej uznano by ich za utrapienie społeczeństwa. Nigdy nie satysfakcjonowało ich to, jak mają się sprawy, zawsze chcieli czegoś nowego. Dla tych, których zadowalało tradycyjne życie w koloniach, ten sposób myślenia był niezrozumiały, a nawet wstrętny.

Teraz ci sami ludzie, którzy byliby kiedyś uważani za nieco niewygodnych, stanowili trzon nowej floty.

Dla Tannera, który od dawna balansował na granicy obu obozów, zmiana wiatru oznaczała zbliżenie z młodymi. Priminae długo cieszyli się pokojem, ale stan ten miał się ku końcowi.

Nadszedł czas, aby spojrzeć w niepewne jutro z obawą, ale także z nadzieją. Tanner był pewien, że nadchodzi wojna. Raporty od jego przyjaciela, kapitana – teraz komodora – Westona jasno na to wskazywały.

Czy podobało się to konserwatystom, czy nie, czasy się zmieniały.

Rozdział 1

Stacja Unity One

– Wejść.

Komodor Weston spokojnie wszedł do gabinetu, próbując nie dać po sobie poznać, że przeszedł go dreszcz. Znalazł się w innym biurze, w innym miejscu, ale wiedział, że nie będzie to miało znaczenia. Każda rozmowa tego rodzaju kończyła się dla niego i jego załogi walką na śmierć i życie.

– Pani admirał. – Uprzejmie skinął głową, gdy Amanda Gracen wskazała mu miejsce.

– Dzień dobry, komodorze – odparła Gracen, spoglądając na gwiazdy widoczne za jej biurkiem, po czym również siadając. – Czy pańska załoga wróciła już na pokład?

– W większości. Kilkorga brakuje, ale mają jeszcze parę godzin wolnego. Na okręcie wielkości „Odyseusza” zawsze ktoś się nieco spóźni, jak zapewne pani wie.

Gracen przechyliła głowę w bok z lekkim uśmiechem. Nigdy nie dowodziła okrętem kosmicznym, nie licząc krótkiej chwili na „Odyseuszu”, ale służyła w kanadyjskiej marynarce, a potem we flocie Konfederacji. Okręt z załogą tak liczną, jak ta na „Odyseuszu” w czasie wojny opuszczał czasem port bez jednego czy dwóch marynarzy.

Zdarzało to oczywiście rzadziej w czasie pokoju, częściowo dlatego, że grafik bywał nieco mniej napięty, a ludzie nie dezertowali. Zwykle okazywało się, że ktoś zbyt mocno zabalował i albo upił się do nieprzytomności, albo został aresztowany.

Ręce do pracy zawsze były jednak w cenie, więc nie stosowano dotkliwych kar, chyba że chodziło o oficera.

– Tym razem nie musi pan odlatywać z niepełną załogą – stwierdziła po chwili admirał. – „Odyseusz” i reszta grupy dostaną misję patrolową, ale dokładny termin wylotu zależy od pana. Mamy jednak listę sektorów do zbadania.

Wyciągnęła ze sterty na biurku wyświetlacz elastyczny i podała go

Westonowi.

– Znowu „Prometeusz”? – spytał, przyglądając się ekranowi.

– Częściowo – przyznała. – Włóczęgi Passera pracują w zawrotnym tempie, przyglądając się każdej gwiazdzie typu WTF, o której wiemy. Większość z nich nie budzi zastrzeżeń, ale mamy na tyle śladów zaawansowanej technicznie cywilizacji, czy też wielu cywilizacji, że myślimy o powołaniu specjalnego wydziału archeologicznego.

– Zapewne się przyda. – Weston przeleciał wzrokiem listę.

– Bez wątpienia. Problem w tym, że nie mamy dość okrętów, by to zrobić – powiedziała admirał Gracen i lekko się skrzywiła. – Co wydaje się niektórym nie przeszkadzać.

Weston na chwilę zamarł.

– Jak?

Aby zrobić to, co sugerowała admirał, ktoś musiałby mieć statek z napędem nadświatlnym, co nie wydawało się możliwe. Nie było szans, aby Konfederacja odtajniła szczegóły napędu tranzycyjnego, więc tylko... Teraz to on się skrzywił.

– Blok? – spytał, z góry znając odpowiedź.

– Sprzedają technologię, aby sfinansować rozwój floty – potwierdziła.

– Jezu. Mam nadzieję, że chociaż z jakimiś zabezpieczeniami.

Napęd nadświatlny Bloku oparty został na obliczeniach matematycznych dla napędu Alcubierre'a. Był dość funkcjonalny, zdecydowanie bardziej komfortowy niż napęd tranzycyjny, zwany też skokowym, choć również zdecydowanie wolniejszy. Problem w tym, że wymagał stworzenia studni grawitacyjnej, w którą nieustannie „wpadał” statek. Studnia przyciągała oprócz statku masę innych rzeczy, w tym promieniowanie. Więc w wypadku, gdyby zawiodły zabezpieczenia, cząstki o wysokiej energii mogłyby zostać uwolnione w momencie deceleracji. Wybuch promieni gamma, Hawkinga i Czerenkowa wystarczyłyby, aby uczynić pobliską planetę, w której stronę skierowany byłby statek, niezdatną do życia.

Podczas inwazji Drasinów dowódca floty Bloku, Sun Ang Wen z krążownika „Weifang”, użył tej wady konstrukcyjnej jako broni masowego rażenia. Działania chińskiego kapitana prawdopodobnie uratowały Ziemię, dziesiątkując flotę najeźdźców, zanim zbliżyła się do planety. Jednak myśl o tym, że ta technologia miałaby znaleźć się w rękach cywili, na których nie można było polegać, jeśli chodziło

o prawidłową konserwację sprzętu, przerażała Erica.

– Jeśli mogę coś zasugerować... – powiedział po chwili.

– Proszę. – Gracen machnęła ręką. – Zaakceptuję cokolwiek, co choć trochę przypudruje to gówno.

Roześmiał się lekko, po czym kontynuował.

– Niech Priminae pomogą z projektami silników. Być może jakoś je zabezpieczyli. Od setek lat używają podobnych.

– Tak, proponuję to.

Gdy już to usłyszała, Gracen była zaskoczona, że nikt inny tego nie zasugerował. Cóż, zapewne do niewielu tak naprawdę docierała myśl, że świat wchodzi w erę podróży nadświatlnych dla ludności. A pozostali mieli głowy zbyt wysoko w gwiazdach, by myśleć o konsekwencjach.

– Jeśli to się uda, może będziemy mogli zostawić egzoarcheologię zwyczajnym naukowcom, podczas gdy my skupimy się na obronie – dodała.

– Byłoby idealnie – odparł Weston, chichocząc. – Choć muszę przyznać, że myśl o dowodzeniu okrętem Konfederacji była czymś, co sprawiło, że złożyłem podanie na stanowisko kapitana „Odysei”.

– Zapewne nie tylko pan, komodorze – zapewniła go z lekkim uśmiechem Gracen.

– Powinniśmy eksplorować i odkrywać kosmos – odparł z powagą – zamiast planować kolejną wojnę, która skończy się śmiercią setek tysięcy, i to jeśli nam się poszczęści.

Gracen wzruszyła ramionami. Nie tyle nie zgadzała się z komodore, co dużo wcześniej niż on zrezygnowała z marzeń o utopii. Trzy wojny, inwazja obcych i niezliczone ofiary wypaliły z jej mózgu te mrzonki. Jeśli taka przyszłość kiedyś nadejdzie, to chętnie przejdzie na emeryturę z satysfakcją, że zrobiła co trzeba.

A do tego czasu miała sporo rzeczy do zniszczenia i wielu ludzi do zabicia.

– Być może kiedyś – powiedziała.

– Ale nie dziś – odparł stanowczym głosem Weston. – Jakie mamy rozkazy, jeśli chodzi o kontakt z Imperium?

– Gdyby chcieli rozmawiać, podjąć negocjacje – poleciła. – Nie żebyśmy spodziewali się, że ich przekonamy, żeby dali nam spokój. Sprawy zaszły za daleko. Ale wszelkie informacje będą drogocenne. Jeżeli rozmowa nic nie da, nauczcie ich, że powinni byli jednak ją

rozważyć.

– Tak, ma’am. – Weston wstał i zasalutował. – Za pozwoleniem?

– Proszę iść – odparła Gracen, odwracając fotel tyłem.

Spojrzała na kosmiczną otchłań poza biurem, przypatrując się ruchomym gwiazdom, które musiały być częściami Roju, pracującymi nieustrudzenie nad jej osobistym projektem. Miała nadzieję, że nie będzie potrzebny, ale już dawno uznała, że nie urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą.

– Powodzenia, komodorze – szepnęła. – Wszyscy będziemy go potrzebować.

Wszystko wskazywało na to, że nadchodzi piekło.

Większość ludzi myślała, że przeszli je podczas inwazji Drasinów, ale Gracen obawiała się, że to był tylko pierwszy akt. Przez lata służby uznała, że nie należy bać się broni, lecz rąk, które ją dzierżą.

Komandor Stephen Michaels, dla przyjaciół Steph albo Stephanos, kroczył przez pokład startowy stacji Unity, koncentrując się na myśliwcach nowej generacji klasy Vorpala.

Inaczej niż jego dawne Archanioły, vorpale zaprojektowano przede wszystkim z myślą o walce w kosmosie, a nie w atmosferze. Jako że ich twórcy nie przejmowali się aerodynamiką, wyglądały nieco niezgrabnie, ale Steph widział je w przestrzeni i był pod wrażeniem ich możliwości.

Nie był to może Archanioł, ale i tak imponował.

– Komandorze?

Steph spojrzał i uśmiechnął się, rozpoznawszy kobietę.

– Pani bosman!

– Miło pana znów widzieć – uśmiechnęła się starsza bosman Corrin.

– Nie widziałem pani od... cholera, chyba od Kuźni.

– Przez kilka miesięcy służyłam na „Bellu”. Ale to nie było dla mnie, więc kiedy zwolniło się miejsce na „Wielkim E”, skorzystałam z okazji.

Steph był tylko nieco zaskoczony. Większość ludzi służących w obecnej Czarnej Flocie uznałaby przeniesienie z okrętu klasy Heros na jedyny lotniskowiec we flocie za rodzaj degradacji, ale sam to niekiedy rozważał. Pilotowanie „Odyseusza” było czasami

ekscytujące, ale zwykle raczej żmudne. W głębi serca pozostał wciąż pilotem myśliwca, więc czuł zew vorpali, które znaleźć można było tylko na „Wielkim E”.

– Mają szczęście, że pani tu trafiła – stwierdził szczerze Steph.
Corrin westchnęła.

– Zapewne nie na długo. Mówi się, że „E” już jest przestarzały. Nie mieliśmy misji poza układem od czasu inwazji.

Steph zamyślił się. Nie było to zaskakujące, jako że „Enterprise” był drugim – i ostatnim – okrętem klasy Odyseja. Pracowano nad trzema kolejnymi i planowano jeszcze więcej, ale zostały one POZARTE przez Drasinów podczas inwazji. Teraz nie miało sensu budować więcej okrętów klasy, dla której nie było miejsca w nowej flocie.

– Proszę poczekać – powiedział komandor. – Prędej czy później przypomną sobie, jak bardzo potrzebują ludzi takich jak my. Zawsze tak jest.

Zaśmiał się lekko i spojrzał na najbliższego vorpala.

– Wie pani, muszę coś wyznać. Sam myślałem o przeniesieniu, żeby tylko polatać sobie na tych cackach.

Uśmiechnęła się.

– Rozumiem to. To naprawdę niezłe maszyny.

– Widziałem parametry. Są w porządku – odparł z rozbawieniem. – Ale jestem pilotem Archanioła, wszystko inne przypomina stanie w miejscu.

– To brzmi jak wyzwanie, komandorze.

Steph i Corrin obrócili się, zaskoczeni nowym głosem.

Mówiła wysoka kobieta o półdługich czarnych włosach, opadających luźno na ramiona. Miała wyraziste rysy twarzy i muskularną budowę ciała, co wcale nie odwracało uwagi od chłodnego spojrzenia, jakim obdarzyła Steph'a.

– Komandor porucznik Black – skinęła głową Corrin. – To komandor Michaels. Komandorze, to Alexandra Black, dowódczyni eskadry Excalibur.

– Komandorze poruczniku. – Steph skinął głową, przyglądając się przez chwilę kobiecie, zanim zdecydował, że jej gniew nie jest zupełnie serio.

Czasami trudno było takie rzeczy ocenić. Droczenie się z innymi rodzajami sił zbrojnych stanowiło jeden z podstawowych sposobów spędzania czasu w każdej grupie żołnierzy – im bardziej elitarnej, tym

lepiej – ale niektórzy brali to zbyt poważnie. Prowokowanie ich było miłą rozrywką, lecz Steph chwilowo nie miał nastroju.

Jednak trochę szczerych drwin nie zaszkodzi.

– Latasz na tych zabawkach? – spytał z krzywym uśmiechem.

– Uważaj no, mądrało. Z tego, co ostatnio słyszałam, ty udajesz, że latasz na tej swojej barce.

Steph kpiąco się skrzywił.

– Ojej, to naprawdę by bolało, gdybym nie miał okazji zaprosić „Odyseusza” do prawdziwego tańca. A ty ile masz godzin w walce na karku?

– Sporo podczas inwazji i odbijania Ziemi – odparła Alexandra nieco defensywnie.

Jako że „Enterprise” tkwił w Układzie Słonecznym od czasu jego wyzwolenia, Steph wiedział, że jej eskadra nie spędziła w boju tyle czasu, ile by chcieli jej piloci. Teraz, gdy zaczynała się prawdziwa gwiazdna wojna, zapewne wszyscy z niecierpliwością czekali na walkę z kosmitami.

To coś, czego w pilotach, żołnierzach sił specjalnych i innych wysoko wyspecjalizowanych jednostkach często nie rozumieli cywile, a nawet inni wojskowi. W przeciwieństwie do większości ona i jej ludzie spędzili znaczną część życia, przygotowując się właśnie na tę chwilę. Każda tego typu jednostka chciała być w ogniu bitwy. Gdy powiedziano im, że na razie są uziemieni i nie mogą robić tego, o czym marzyli, zapewne byli wściekli.

Steph tylko kiwał głową, udając współczucie.

– Nie ma nic złego w rozwaleniu paru Drasinów. Na moim Archaniele nadal są wymalowane ich głowy.

– Zapewne pod całym tym kurzem? – odpowiedziała zręcznie. Z przyjemnością zauważyła, że jego twarz nieco się zachmurzyła. Tym razem trafiła w czuły punkt.

– Jak dzieci. – Bosman Corrin stanęła między nimi, przewracając oczami. – Żadnych bójek na moim pokładzie.

Oficerowie spojrzeli na starszą bosman z ukosa, ale Corrin się nie przejmowała. Przez większość kariery musiała radzić sobie z pilotami, z których każdy był od niej wyższy stopniem, ale i tak żaden nie chciał podpaść kobiecie, która zajmowała się naprawami ich sprzętu.

Oczywiście nie zrobiłaby nic, co zmniejszyłoby skuteczność bojową eskadry, to nie wchodziło w grę, ale Steph dobrze wiedział, że mogła

uprzykrzyć życie pilotom innymi sposobami.

Głośno się roześmiał.

– Proszę nigdy się nie zmieniać, bosmanie. Ale warto pamiętać, że mojego myśliwca pani już nie naprawia.

– Naprawdę myśli pan, że nie mam odpowiednich kontaktów i na pańskiej bestii?

Steph na chwilę zamilkł, po czym westchnął i uniósł dłonie w geście kapitulacji.

– No dobra, wolę tego nie sprawdzać.

Corrin skinęła głową, zachowując profesjonalizm, ale nadal emanując bezczelnym samozadowoleniem, godnym reprimendy, gdyby oficer był w stanie dobrze ją uzasadnić. Steph czasami zastanawiał się, czy istniał jakiś kurs dla starszych podoficerów, który tego uczył, ale uznał, że musiałyby go zabić, gdyby mu o tym powiedziała, więc nie pytał.

– Jak rozumiem, pani bosman niewiele się zmieniła od czasu „Odysei”? – spytała Alexandra oschle.

– No nie wiem. Chyba nieco złagodniała.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, to, które posłała mu Corrin, postawiłoby ją przed plutonem egzekucyjnym. Jeśli podoficerowie brali lekcje dotyczące tego, jak być bezczelnym wobec oficerów i uniknąć konsekwencji, to oficerowie kończyli kurs, jak wkurzać podoficerów mówieniem rzeczy, które każdy inny wzięłoby za komplement.

– Jeśli skończyliście już, drogie dzieci – powiedziała w końcu bosman – mam tu pracę do wykonania.

Alexandra bez słowa uniosła dłonie, podczas gdy Steph się uklonił. Corrin przewróciła oczami i odeszła, dalej mamrocząc coś o „dzieciach”.

Steph odczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem słuchu, po czym spojrzał na Alexandrę i powiedział:

– Macie szczęście, że jest tutaj.

Komandor porucznik parsknęła.

– Wiemy. Ale jej tego nie powiemy.

Steph zachichotał, doskonale wiedząc, o co chodzi.

– Oczywiście, że nie.

Pilotka szczerze się uśmiechnęła.

– No więc co cię tu sprowadza, bohaterze?

Steph rzucił okiem na lśniące kadłuby vorpali, po czym odpowiedział:

– Przyglądam się tylko najnowszym zabawkom. Brzydkie bestie. Oczywiście w najlepszym militarnym sensie tego określenia.

Alexandra rozumiała, co komandor ma na myśli. Czasami sprzęt wojskowy był na tyle brzydki, że nabierał przez to pewnego praktycznego uroku. To był właśnie jeden z tych przypadków.

Nie musząc się przejmować przystosowaniem do atmosfery, vorpale miały długie dźwigary z zamontowaną bronią, zbiornikami z paliwem i modułowe skanery, wysunięte z głównego kadłuba dla maksymalnej wydajności.

Tylko wojskowi mogli kochać coś takiego.

– Słyszałam, że „Odyseusz” odlatuje – odezwała się nagle Alexandra.

– To prawda?

– Tak, ale dopiero za parę godzin ludzie mają być na pokładzie. Minie pewnie ze dwanaście, zanim wszyscy rzeczywiście się na nim znajdą, wiesz, jak to jest.

Alexandra skinęła głową, zamyśliła się i uśmiechnęła.

– Skoro już tu jesteś, może masz ochotę polatać?

Steph spojrzał jej prosto w oczy.

– Myślisz, że dałoby się załatwić?

– Proszę cię – parsknęła i pomachała do kogoś po drugiej stronie pokładu startowego.

Steph zobaczył, jak Alexandra podchodzi do oficera starszego o przynajmniej dwa stopnie.

– CAG – powiedziała, gdy Michaels poszedł za nią. – Przedstawiam panu, komandorze, to nasz CAG.

– Miło mi – powiedział Steph, podając mężczyźnie rękę.

CAG było nazwą pochodzącą jeszcze z czasów morskich lotniskowców, na których dowódcę pilotów zwano Commander Air Group. We flocie kosmicznej, z braku powietrza, oficjalna nazwa brzmiała Commander Space Group, ale stary tytuł został.

– Nawzajem, komandorze Michaels – odparł CAG. – Pańska reputacja zdecydowanie pana wyprzedza.

– Głównie dzięki lataniu za Raze'em tam, gdzie anioły nie zagląдают.

– Steph machnął ręką. – Przeżyłem tylko dzięki odrobinie szczęścia.

– Tak zwykle bywa. – CAG spojrzał na Alexandrę. – Co jest, Black?

– Mamy gotową maszynę treningową? Myślałam, że może pokażę

naszemu gościowi, jak się lata na porządnych myśliwcach.

CAG patrzył jej w twarz przez kilka długich sekund, aż w końcu wskazał drugi koniec pokładu.

– Trójka jest zatankowana. Miała być zajęta, ale cywile spóźnili się na prom. Możesz ją wziąć.

– Dzięki.

Steph podziękował skinieniem głowy, po czym poszedł za porucznik. Zdecydowanie nie chciał przegapić takiej okazji, jak lot w myśliwcu. Promy i okręty to nie było to samo.

Hangar promów

Eric spotkał się w hangarze ze swoją pierwszą oficer, komandor Miriam Heath, aby odlecieć stamtąd z powrotem na „Odyseusza”. Postawna blondynka była tam kilka minut wcześniej i robiła przegląd wahadłowca przed odlotem, gdy wszedł po rampie.

– Sir, wszystko gotowe, możemy odlatywać – powiedziała Heath. Specjalista od załadunku wcisnął przełącznik, który schował rampę do środka wahadłowca i zamknął włącz.

– Dziękuję, pani komandor – powiedział Eric, idąc wzdłuż rzędów mężczyzn i kobiet, przygotowujących się na krótki lot przez czern kosmosu. – Proszę zapiąć pasy i lecimy.

– Sir – odparła Heath, zajmując jeden z foteli.

Eric zajął jeszcze do kokpitu.

– Gotowi do startu, sir? – spytał porucznik marines przy sterach.

– Owszem, Hadrian. Nikogo przy lidarze?

– Nie, sir – odparł porucznik Hadrian. – Sporo ludzi wciąż nie wróciło z przepustki.

– Mogę? – Eric wskazał fotel obok niego.

– Proszę bardzo, sir – odparł Hadrian tak swobodnie, jak tylko potrafił.

Nie odmówiłby żadnemu oficerowi o stopniu komandora lub wyżej, ale z większością z nich Hadrian postępowałby bardziej formalnie. W przypadku Erica Westona zakrawało to jednak na świętokradztwo. Był marine przed wojną z Blokiem i jednym z wyzwolicieli Iwo Jimy. Dla marines wszyscy, którzy brali udział w tej bitwie, byli legendami, nawet wymoczki z marynarki. Cholera, nawet Japońskie Siły

Samoobrony walczące w drugim oblężeniu Iwo Jimy zasługiwały na pewien szacunek.

Hadrian sprawdził wszystkie przyrządy, podczas gdy komodor usiadł po jego prawej stronie i zapiął pasy. Porucznik próbował mu się nie przyglądać ze zbyt wielką uwagą.

Niestety, nie udało mu się to, bo Eric westchnął.

– Jeśli panu przeszkadzam, poruczniku, mogę usiąść z tyłu.

– Nie, sir! – Hadrian pokręcił głową. – Przepraszam, sir. Po prostu... mój tata służył na Iwo.

Eric przyjrzał się przez chwilę młodemu oficerowi, po czym zapytał:

– Hadrian? Marshal Hadrian?

– Tak, sir. – Porucznik był w szoku, że komodor pamięta nazwisko jego ojca, który nie był oficerem i nie przeżył bitwy.

– Starszy sierżant Hadrian był naprawdę dobrym marine, z tego, co słyszałem od jednego ze swoich przyjaciół – powiedział Eric. – Dobrze widzieć, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, poruczniku.

– Zawsze o tym marzyłem, sir – przyznał Hadrian, kończąc przegląd przyrządów i uruchamiając systemy wahadłowca. – Kumple taty nie mówili dużo o reszcie wojny, ale wszyscy mówili o Iwo, sir.

– Pewnie w większości kłamstwa – roześmiał się Eric. – Nie miałem z tym wiele wspólnego. Przybyłem ostatniego dnia. To tacy ludzie jak sierżant Hadrian byli legendami. Pański ojciec ze swoją jednostką i tym, co zostało z JSS, bronili wyspy przez trzy tygodnie, zanim się do nich przebiliśmy. Uważam, że był to punkt zwrotny wojny.

– Większość ludzi uważa, że Tokio – stwierdził Hadrian. Wahadłowiec zaczął wibrować po uruchomieniu silników.

– Tokio było bardziej cenną strategicznie bitwą – przyznał Eric. – Iwo Jima to bezwartościowy kawałek skały na zadupiu. Żadnej wartości strategicznej, inaczej niż w dwudziestym wieku. Nie było żadnego powodu, żeby toczyć tam taką bitwę, ale trzeba było postawić gdzieś granicę.

– Święta ziemia – powiedział cicho Hadrian.

Eric skinął głową, przypomniawszy sobie, jak to wtedy wyglądało. Ofensywa Bloku wzięła ich z zaskoczenia, dziesiątkując Piątą Flotę oraz wykurzając japońskie i amerykańskie siły z japońskich wód. JSS zostały zmiażdżone w początkowych starciach, a potrzeba wycofania się na Hokkaido zniszczyła ich morale.

Nie żeby ktokolwiek miał je wtedy wysokie.

Ludzie byli zmęczeni wojną po dekadach walk z tą czy inną organizacją terrorystyczną. Nikt nie chciał kolejnej misji policyjnej, nie mówiąc już o prawdziwej wojnie. Łomot, jaki modliszki Bloku spuściły starym F-35, których nadal używali marines, był dla wszystkich zaskoczeniem. Mając przewagę w powietrzu, siły Bloku rozjechały resztki oporu. Marynarka, marines i JSS musiały wycofywać się przed nimi jak wielka fala.

Na Iwo Jimie dowódca marines uznał, że ma dość. Major Gib zapisał w swoim dzienniku, że jeśli nic nie zrobią, będą musieli wycofywać się aż do Pearl Harbor, a nawet na Zachodnie Wybrzeże.

Wyspa była tak samo dobrym miejscem na ostatni bastion, jak każde inne.

Okopali się więc i w ciągu dwóch dni zmienili Iwo Jimę w fortecę.

Nie miało to krztyny sensu. Blok mógł, a nawet powinien po prostu rozwalić im okręty i ich ominąć, ale Gib odezwał się przez radio i powiedział dowódcy Bloku, że Iwo to święta ziemia i jeśli chce ją dostać, to po jego trupie. Godzinami prowokował admirała, a nawet całe dni według niektórych opowieści.

A dowódca sił Bloku łyknął przynętę.

Największa bitwa wojny rozegrała się na wysepce, która nie obchodziła nikogo poza garstką marines.

Przez trzy tygodnie obrońcy odpierali falę za falą sił wroga, walczyli pod niebem o barwie ołowiu. I przez trzy tygodnie ci sami obrońcy zatrzymywali ofensywę Bloku.

Iwo Jima była podwójnie błogosławiona lub, jak niektórzy mówili, podwójnie przeklęta. Tamtejszy piach dwukrotnie spijał krew marines i Japończyków. Raz gdy zabijali się nawzajem i drugi, gdy walczyli ramieniem w ramię.

Po wojnie o wyspie praktycznie zapomniano, ale Gib miał rację co do jednego.

Była świętym miejscem.

– Tak – powiedział Eric, gdy prom ustawił się w pozycji startowej. – Tak było. Uświęcona krwią.

Hadrian skinął głową, postawiwszy silniki w stan gotowości. Czekali na sygnał.

– Byłem tam raz. Nic oficjalnego, ale klasy kończące akademię przekupywały pilotów, żeby nas tam wieźli.

– Tak, wiem – uśmiechnął się Eric. – Czy piloci wciąż udają, że nie

mają ochoty lecieć na bezwartościową skałę dla garstki żółtodziobów z marines?

– Udają? – Hadrian spojrział na niego zdumiony, niemal przegapiając pozwolenie na odlot. – To było na pokaz?

Eric roześmiał się lekko.

– Mnóstwo chłopaków z marynarki również tam zginęło, poruczniku. Wyciąganie pieniędzy od marines to dla nich dobra zabawa. Flota przydziela na to paliwo, są fundusze na specjalnym koncie.

– Nie wiedziałem – przyznał Hadrian, odpalając silniki. Z tyłu wahadłowca wybuchły białe płomienie plazmy.

– Nie macie wiedzieć – powiedział Eric, gdy ciąg wbił go w fotel. – Lepiej jest, gdy myślicie, że coś ryzykujecie, żeby oddać honory poległym. Dlatego marines zawsze pilnują, żeby ktoś to spontanicznie „zasugerował”. Zwykle ktoś z gościnnym wykładem, kto od niechcenia wspomni o własnej nieoficjalnej wycieczce.

– Sukin... – Hadrian ledwie powstrzymał się przed dokończeniem. Opuścili stację i znaleźli się pośród czerni. – On był podstawiony?

Eric otwarcie się roześmiał, starając wygodnie oprzeć się o fotel.

– W korpusie jest mnóstwo sprytnych oficerów i jeszcze sprytniejszych podoficerów. Proszę o tym nie zapominać, tylko starać się im dorównać.

Porucznik pokręcił głową. Był zmieszany. Z tej odległości widzieli już „Odyseusza” unoszącego się ponad habitatem stacji. Wielki okręt lśnił białą odbitym światłem Słońca.

Hadrian uruchomił główny napęd i wahadłowiec popędził w stronę „Odyseusza”.

– Ledwie jestem w stanie w to uwierzyć – przyznał po chwili. – Jest pan pewien?

Eric uśmiechnął się.

– Zrób coś, co przykuje uwagę generałów. Dowiesz się wtedy sam, gdy cię zaproszą, żebyś zmotywował nowych. A tymczasem... uważaj, jak lecisz, synu!

– Co? – Hadrian spojrział przed siebie i jęknął, ciągnąc drążek sterowniczy gwałtownie w lewo. Coś przeleciało tuż obok nich.

– Co to było, do cholery?

– To – powiedział Eric, obracając się, by mieć obiekt na oku – był pokaz jednego z nowych myśliwców Czarnej Floty. Pilot uznał

zapewne, że zabawi się kosztem wahadłowca marines.

Roześmiał się.

– Co mogę powiedzieć? Miał rację.

Porucznik nie spojrział spod byka na swojego dowódcę, ale niewiele brakowało, by to zrobił.

– Przez ciebie ten marine będzie musiał zmienić gacie. Zadowolony?
– spytała oschle Alexandra z tyłu maszyny szkoleniowej, cofając ręce, które prawie przejęły stery od mężczyzny na przednim siedzeniu.

Steph tylko zaśmiał się kpiąco.

– Wiesz co? – powiedział po chwili. – Muszę przyznać, że na tych vortalach nieźle się lata. Są szybsze i zwrotniejsze nawet od mojego Archanioła.

– To najlepsze myśliwce, jakie stworzono – odparła Alexandra z dumą.

– Nie bądź taka zarozumiała. Powiedziałem, że są szybsze i zwrotniejsze, ale nadal mniej precyzyjne. W walce jeden na jeden wciąż wolałbym Archanioła. IN robi sporą różnicę.

Alexandra cieszyła się, że Steph nie widzi teraz jej skrzywionej twarzy. To właśnie interfejs neuronowy był technologią, która sprawiała, że Archanioły były tak śmiercionośne, a nie ich broń czy silniki. Z tego, co wiedziała, podczas wojny z Blokiem modliszki wroga były lepiej uzbrojone i szybsze.

Interfejs zmieniał jednak samolot dosłownie w przedłużenie pilota. Pozwalał na unikanie nadlatujących rakiet o centymetry. Można było wlecieć prosto w paszczę wroga i tańczyć między pociskami.

Niestety, liczba osób zarówno chętnych, jak i zdolnych do skutecznego połączenia się z interfejsem neuronowym była zawsze niewielka. Wielu miało problem z wbijaniem igieł w kark i nie potrafiło uspokoić się na tyle, żeby komputer porządnie odczytywał ich intencje.

Przez lata komputery stały się coraz lepsze, a system mniej intruzyjny, ale interfejs neuronowy pozostał dość kosztownym programem o relatywnie niewielkich możliwościach wykorzystania. Teraz, gdy większość pilotów Archaniołów sterowała okrętami,

program był praktycznie martwy.

– No cóż – powiedziała po chwili. – Vorpale wciąż istnieją.

Była jednocześnie zadowolona i zła na siebie, gdy komandor nie odpowiedział.

Rozdział 2

Przestrzeń Priminae

Drey Marina, kapitan krążownika Priminae „Tetanna”, stał w ciszy przy portalu obserwacyjnym i spoglądał na układ, do którego właśnie skoczył jego okręt.

Kapitan, jak każda rozsądna osoba, nienawidził terrańskiej technologii napędu tranzycyjnego. Ta metoda transportu była niezwykle uciążliwa fizycznie, ale nikt nie mógł odmówić niemal natychmiastowym skokom międzygwiazdowym użyteczności. Odór wymiocin, który wciąż unosił się w powietrzu wiele godzin po tranzycji, był jednak obrzydliwy. Poza tym kapitana zawsze oburzało, że jego okręt poddaje się takiemu procesowi.

Ale czasy się zmieniały i czy tego chciał, czy nie, nie miał w tej kwestii wiele do powiedzenia. Trzeba było się dostosować lub zginąć i chociaż osobiście wolałby może odejść, trzymając się tradycji, nie mógł wymagać tego samego od całej swojej cywilizacji. Wyginięcie nie było lepsze od zmiany, nawet jeśli zmiana wywoływała niechęć.

To, że jego okręt został uzbrojony po zęby, stanowiło jedną z bardziej niesmacznych zmian. Do tej pory Priminae nigdy nawet nie mieli okrętów, które można by określić mianem krążowników, ale „Tetanny” nie dało się inaczej nazwać. Zwykle jednostki wyposażano oczywiście w uzbrojenie, ale były to w istocie rzeczy wielofunkcyjne narzędzia, których użyteczność w walce miała drugorzędne znaczenie.

Z laserami zdecydowanie przewyższającymi możliwości używanych dotychczas, wyprodukowanymi przez Centralę u szczytu zagrożenia ze strony Drasinów, „Tetanna” mogła bez większych problemów spopielić cały kontynent. Drey parsknął na samą myśl. Gdyby miał dość czasu na planowanie, mógłby z łatwością unicestwić kontynent z użyciem dużo mniejszej mocy. Jako że wcześniej zajmował się górnictwem, miał pojęcie na temat niebezpieczeństw, jakie przedstawiały superwulkany i wyrwy w płytach tektonicznych.

Ale lasery od Centrali nie były jedynym, w co uzbrojono „Tetannę”. Terrańskie działa tranzycyjne mogły natychmiastowo umieścić gigatonowe bomby atomowe w odległości trzech minut świetlnych, a masywne pociski kinetyczne potrafiły zdestabilizować orbitę niewielkiego księżyca.

Co gorsza, czasami Drey spoglądał w kosmiczną otchłań i myślał, że przydałoby mu się więcej broni.

Drasinowie byli koszmarem, ale stanowili coś w rodzaju naturalnego kataklizmu. W zasadzie nie miało sensu bać się ich. Przychodzili wtedy, gdy przychodzili, i albo przeżywało się, albo nie, zależnie jedynie od losu. Legendy o nich przypominały historie o czarnych dziurach i kosmicznych rozbłyskach promieni gamma.

Gdy się zdarzyły, po prostu niosły zagładę. Panika wydawała się bezsensowna.

Terranie to zmienili i choć Drey był im wdzięczny, wciąż niełatwo przychodziło mu przyzwyczaić się do nowego stanu wszechświata.

– Kapitanie, wszystkie systemy sprawne. Transpondery ze statków górniczych sprawdzone. Żadnych niepokojących sygnałów.

Drey spojrział na swoją zastępczynię, która nadchodziła z głównego pokładu dowódczego.

– Dziękuję, Heleno. Odlot zgodnie z protokołem. Czeka nas inspekcja nowych kolonii.

– Tak, kapitanie – odparła, wprowadzając polecenia do osobistego terminala. – Teraz układ Lenata?

Drey zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Tak, może być.

Odkąd atak Drasinów na Ranquil spowodował znaczne spustoszenie tego centrum populacji, wzrosło zainteresowanie programami kolonialnymi. Zwykle było ono na stałym poziomie, a programy stanowiły wentyl bezpieczeństwa dla tych, którym nie odpowiadało życie na centralnych światach.

Teraz popyt zapewne był sto razy większy, jako że Priminae nagle zapragnęli bardziej się rozproszyć.

Według Dreya nie było to najrozsądniejsze pragnienie. Kolonie, które zetknęły się z Drasinami, zostały zniszczone, podczas gdy Ranquil wciąż istniało. Z drugiej strony, wszyscy wiedzieli, że Ranquil uratowała jedynie interwencja Terran.

Najwyższa Rada Priminae była relatywnie zadowolona z obecnej

sytuacji, szczególnie zważywszy na utratę kilku ważnych kolonii rolniczych. Jeśli ludzie chcieli zacząć trudniejsze życie, choć dające większą swobodę, mieli do tego prawo. Drey był z kolei zadowolony, że wzrosła także liczba rekrutów we flocie, jako że dawny system patroli nie sprawdziłby się w nowych warunkach.

To wszystko nie zmieniało jednak rzeczywistych zagrożeń, jakie wyłoniły się z kosmicznej czerni.

Najpierw Drasinowie, a teraz to Imperium, najeżdżające terytorium Priminae, a nawet mierzące się z Terranami w jednym z układów należących do Priminae.

Zupełnie jakby jakaś siła wyższa postanowiła, że Priminae zbyt długo cieszyli się pokojem, i zamierzała nadrobić stracony czas.

„Nawet Terranie, mimo że tyle dla nas zrobili, zostaliby uznani za plagę, gdyby zjawili się pięć lat wcześniej”.

Drey nie miał co do tego złudzeń.

Terranie byli najbardziej przerażającymi z potworów napotkanych przez Priminae. Wprawdzie ich technologia stała na dużo niższym poziomie niż kolonii, ledwie dysponowali komunikacją nadświatłą, ich okręty były powolne i nie miały porządnych źródeł zasilania, a jednak stanowili gatunek najgroźniejszy w porównaniu z Priminae, a nawet Drasinami.

Podejście tradycjonalistów Priminae, którzy dominowali w polityce także teraz, gdy ich popularność spadała, było jasne. Terranie mogą zostać sojusznikami, ale nie są mniej straszni niż stworzenia, które pokonali.

Dla Dreya, który pozostawał tradycjonalistą przez większość swojej kariery, ale teraz uważał się przede wszystkim za realistę, Terranie byli potworami, ale potworami sojusznicznymi.

Lepiej mieć bestię u boku niż przy gardle.

– Kurs wyliczony, kapitanie – oznajmiła Helena. – Czekamy na ostateczny rozkaz.

– Skaczymy.

Imperialna grupa zadaniowa

Kapitan Aymes spoglądał na gwiazdy, którymi upstrzone było niebo przed okrętem. Ledwie rejestrując płomienie silników pozostałych

dwóch jednostek, zamyślił się.

Zwierzchniczka była teraz kobietą z misją.

Jej porażka w układzie Przysiężnych stanowiła skazę na honorze. Plamę, która nigdy nie zostanie całkowicie wymazana. Wiedział, jak działa dwór imperialny. Choć sam nigdy tak wysoko nie zaszedł – i zapewne teraz już nie zajdzie – musiał mimo wszystko manewrować w cieniu, jakim były kręgi oficerskie.

Nieważne, jak wiele osiągnie od teraz, wrogowie zawsze wypomną kobiecie tę porażkę. Taka była natura dworskiej polityki. Zwierzchniczka chciała więc przyćmić przyszłe zniewagi największym zwycięstwem, jakie zdoła odnieść.

Dobrze rozumiał jej dążenia, a nawet obsesję. Sam był wciąż w podobnym położeniu. Niepokoiły go jednak nieznanne czynniki.

Aymes żałował, że nie posiadają lepszych danych. Zwycięstwo w wojnie zależało od trzech rzeczy: siły, logistyki oraz informacji.

Siły mieli sporo: okręty, strategów, taktyków – śmietankę Imperium. Niewiele było w tej galaktyce flot, które dorównywałyby zebranej przez zwierzchniczkę grupie, a żadna jej nie przewyższała.

Logistykę też mieli niezrównaną. Dzięki wsparciu Imperium nie mogli się skarżyć na braki w zaopatrzeniu.

To trzeci aspekt go martwił. Nie wiedzieli nic o tych anomaliach poza tym, że istniały. Początkowo wydawały się używać niezwykle prymitywnej technologii, choć sporo wskazywało, że to rodzaj maski. Ich skuteczność w walce zdawała się to potwierdzać.

Teraz jednak wyglądało na to, że wróg zrzucił maskę i obnażył zęby. Okręty napotkane podczas bitwy, w której Imperium straciło tak wiele jednostek, nie były w żadnym stopniu gorsze. Dorównywały siłom Przysiężnych i Imperium pod każdym względem.

„Oprócz broni...”

Ich broń była czymś, czego Imperium mogło pozazdrościć. Choć lasery nie były silniejsze niż imperialne, przebiły się przez pancerze okrętów w ciągu sekund. Pancerze, które do tej pory były w stanie znieść najpotężniejsze ataki.

Zbyt wiele pytań. Pytań, które na pewno zadawała sobie także zwierzchniczka, ale na żadne nie miała odpowiedzi.

– Otrzymaliśmy rozkazy, kapitanie – odezwał się cicho jego zastępca. – Zwierzchniczka nakazuje nam ruszyć w stronę terytorium Przysiężnych.

– Wykonać – odpowiedział Aymes. – Dołączyć do szyku i przyspieszyć do nadświatłej na sygnał zwierzchniczki.

– Tak, kapitanie.

Informacje.

Aymes spoglądał na otaczającą ich przestrzeń, w której biel gwiazd zmieniała się w błękit, w miarę jak przyspieszali. Promieniowanie tła wszechświata również się zmieniło, nie stając się widoczne, ale przekształcając widok na tyle, by miało się poczucie, że jest inny, mniej rzeczywisty.

Albo, zważywszy na to, jak wiele czasu Aymes spędził, przemierzając otchłan, może wszechświat stał się bardziej rzeczywisty. Dla niego było to w końcu jak powrót do domu.

Okręt Sojuszu Ziemińskiego „Odyseusz”

Eric przyglądał się z góry pokładowi dowódczemu, tak jak zdarzało mu się coraz częściej. Przed sobą miał spektakularny widok na Ziemię unoszącą się wśród czerni – błękitno-białą kulkę, której widok teraz równie mocno go niepokoił, co fascynował.

Imperium, ta nieznana galaktyczna potęga, zdecydowanie było dla niego priorytetem, ale sama Ziemia też znajdowała się wysoko na liście. Odkąd mianowano go dowódcą „Odysei” – co teraz wydawało się czasem niezmiernie odległym – Eric tkwił w samym środku walki o przyszłość ludzkości w tym czy innym konflikcie... a może to wciąż był ten sam konflikt. Nadal nie miał co do tego pewności.

Mimo wszystko do tej pory nie były to skomplikowane kwestie. Pomóc Priminae czy uciekać? Jego tradycja wojskowa i honor podjęły decyzję za niego. Zmierzyć się z Drasinami czy stracić Ziemię? To nie był nawet wybór.

Musiał zmierzyć się zupełnie sam z pewną kwestią. Nie mógł po prostu zacząć mówić ludziom, że zarówno Ziemia, jak i Ranquil były nawiedzone przez istoty, które mógł nazwać jedynie bóstwami. Centrala i Gaja wydawały się problemem, którego Eric nie umiał rozwiązać. Nie wiedział nawet, jak do niego podejść.

Zwłaszcza Centrala stanowiła potencjalne niebezpieczeństwo, którego nie wyobrażał sobie nawet w najgorszych koszmarach. Czytająca w myślach inteligencja, której nie dało się kontrolować,

spędzałyby wszystkim sen z powiek. To, że działała pod przykrywką komputera ich sojuszników, było tylko... W zasadzie nie wiedział, czy to coś dobrego, czy złego. Ale problem z Centralą mógł chociaż minimalizować. Konfederacja wiedziała o niej, nawet jeśli myślała, że to tylko rodzaj komputera. Ograniczenie tajnych informacji dostępnych dla osób przydzielonych na Ranquil było najzupełniej możliwe i Eric rekomendował, aby to zrobić.

Ale odpowiednik Centrali na jego własnej planecie, czyli Gaja, to zupełnie inna historia. Ta istota miała dostęp do umysłów wszystkich na Ziemi. To, że była rdzenną mieszkanką globu, tylko trochę poprawiało sytuację. Eric był w miarę pewien, że Gaja nie zrobi nic, co narażałoby na szwank bezpieczeństwo planety, ale nie miał pojęcia, jak w istocie rzeczy silna jest ta więź.

Z tego powodu tym razem unikał powrotu na Ziemię. Nadzorował naprawy na „Odyseuszu” i odpoczywał na stacji Unity. Dopilnował nawet, aby tam miała miejsce jego odprawa, pod pretekstem tego, że ważne sprawy trzymają go na orbicie.

Z tego, co mógł stwierdzić, Gaja sprzyjała ludzkości, ale Eric nie ufał temu, czego nie mógł zobaczyć i doświadczyć. Nieśmiertelna, bezcielesna istota czytająca w myślach wszelkim żywym stworzeniom wewnątrz pola magnetycznego planety była czymś... cóż, powiedzieć „niepokojącym” byłoby śmiesznie za mało.

Eric odwrócił się od widoku na planetę i skupił wzrok na ekranie komputera zawierającego wyniki jego poszukiwań. Było w nich wszystko, co udało mu się znaleźć, od legend i mitów do hipotez najgenialniejszych fizyków kwantowych. Niestety, niewiele miał z tego pożytku.

Nowy przydział przyjął z ulgą.

Po prostu patrol bojowy, choć niebezpieczny, był mimo wszystko odprężający w porównaniu z rosnącym napięciem, jakie czuł, znajdując się tak blisko pola magnetycznego Ziemi, wiedząc, co tam czeka.

Eric zamknął wszystkie pliki i zapisał dane na komputerach „Odyseusza”, zaszyfrowane osobistym kodem. Odwrócił się z powrotem, by spojrzeć na pokład dowodzenia i swoich oficerów, przygotowujących okręt do odlotu z Układu Słonecznego.

Zaprojektowana przez Priminae jednostka była niemal nieprzyzwoicie przestronna w porównaniu z jakimkolwiek ziemskim

pojazdem kosmicznym, być może poza starymi orionami z połowy dwudziestego wieku, ale nawet one były o wiele mniejsze od „Odyseusza”.

Większy niż jakiegokolwiek cztery superlotniskowce wzięte razem, „Odyseusz” miał dużo mniejszą załogę niż jednostki marynarki morskiej. Większość wewnątrz przeznaczono oczywiście na zabezpieczenie osobliwości, ale nadal pozostały luksusowe przestrzenie dla służących na pokładzie ludzi. I inaczej niż w większości flot, Priminae nie widzieli powodu, by nie zapewnić załodze jak największych wygód.

Niektóre z nich wydawały... dziwaczne. Priminae nie mieli pryszniców ani łazienek w ścisłym tych słów znaczeniu. Nie były one zresztą najlepszym pomysłem nawet na okręcie ze sztuczną grawitacją. Sama możliwość utraty ciężenia niepokoiła Erica. Ale mimo wszystko tutejsze odpowiedniki toalet skutecznie robiły swoje – choć Eric wciąż nie miał pewności jak – i były niemal tak odprężające jak gorąca kąpiel czy dodające energii niczym poranny prysznic.

Podobnych dziwactw istniało mnóstwo na zbudowanym w Kuźni okręcie i choć Eric starał się utrzymać dyscyplinę wojskową, był skłonny dać załodze nieco swobody, jeśli nie próżnowała. A w razie czego odcięcie dostępu do luksusów grało rolę dodatkowego kija, wzmacniającego dyscyplinę.

Cała ta dodatkowa przestrzeń miała jednak swoje skutki, w tym wpływ na rozmiar niektórych pomieszczeń. Pokład dowodzenia był trzy czy cztery razy większy niż Centrum Operacyjne Konfederacji w Cheyenne Mountain. Jeśli Erica pamięć nie myliła, jego tutejszy osobisty gabinet był wielkości całego mostka „Odysei”.

Przyzwyczajenie się do tego wymagało sporo czasu, ale nie stanowiło na pewno przykrego doświadczenia. Podczas swojej pierwszej misji na „Odyseuszu” spędził jednak prawie cały czas na pokładzie dowodzenia. Wciąż by tam był, ale potrzebował gabinetu, aby zająć się obowiązkami związanymi z awansem na komodora.

Jeszcze nie admirał, a już nie kapitan, jednak z obowiązkami obu szarż. Eric od czasu powrotu pogrążony był w papierkowej robocie. Jego grupa składała się z trzech Herosów: „Odyseusza”, „Bellerofonta” i „Boadicei” oraz z towarzyszących każdej wielkiej jednostce dwóch Włóczęgów. Przydzielono im także kolejne sześć jednostek logistycznych, które miały pozostać w Układzie Słonecznym do czasu,

aż będą potrzebne gdzie indziej. Dzięki Bogu za napęd tranzycyjny.

Piętnaście okrętów oznaczało absurdalny poziom roboty papierkowej, nawet gdy stały w miejscu – a może szczególnie wtedy. Eric po prostu chciał być znów pośród kosmicznej otchłani.

„Ale lepiej uważać na życzenia” – pomyślał.

Dotknął komunikatora, łącząc się ze stanowiskiem komandor Heath.

– Skipper?

– Czy wszyscy zgłosili się na pokład, komandorze? – spytał Eric.

– Tak, sir. Załoga w komplecie. Komandor Michaels wszedł na pokład jako ostatni.

To zaskoczyło Erica.

– Naprawdę? Powiedział dlaczego?

Heath roześmiała się.

– Nie powiedział, sir. Ale spodziewam się, że sposób jego przybycia miał z tym coś wspólnego.

Eric zmarszczył brwi. Sposób przybycia?

– Przepraszam, komandorze, ale nie rozumiem.

– Komandor Michaels przyleciał jednym z nowych myśliwców. Wygląda na to, że udało mu się załatwić lot testowy, a znając go...

– Nie chciał go skończyć szybciej, niż musiał. – Eric przewrócił oczami. – Zrozumiano. Wszystko zgodnie z planem, komandorze?

– Tak, sir. Opuścimy Układ Słoneczny o dziewiętej czasu pokładowego.

– Doskonale. Dziękuję, komandorze.

– Nie ma za co, skipper – odparła Heath cokolwiek wesołym tonem, zanim się rozłączyła.

Eric przyjrzał się z satysfakcją pokładowi dowodzenia i dużej kopule obserwacyjnej.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Był... astronautą? Czy to słowo, którego szukał? Eric nie był pewien. Dawna nomenklatura niekoniecznie pasowała do nowej floty kosmicznej. W każdym razie nie służył w niej od dawna, ale zaczynał czuć się, jakby spędził życie pośród gwiazd.

Ziemia stała się dla niego pobożowiskiem, choć nadal ją kochał. Zbyt wiele wiązało się z nią bolesnych wspomnień. Kosmiczna czerń, mimo wszystkiego, co go w niej spotkało i co zobaczył, przemierzając przestrzeń, była w jakiś sposób czysta. Wygodna.

Nadszedł czas. Czas na prostą doskonałość otchłani, czas, aby

„Odyseusz” i jego kapitan wrócili tam, gdzie ich miejsce.
„Pora wracać do domu”.

Porucznik Milla Chans, przedstawicielka floty kolonialnej Priminae na okręcie Konfederacji, wydawała się zdezorientowana, gdy Steph wpadł na nią po drodze do swojej kajuty. Przyjrzał się jej, przechyliwszy głowę na bok.

– Wszystko w porządku? – spytał, widząc, jak kobieta wpatruje się w pusty korytarz, całkowicie pochłonięta tym, co robi.

– Co? – spytała z miękkim akcentem.

Steph stanął za nią, spoglądając w tym samym kierunku.

– Na co patrzysz?

Milla pokręciła głową.

– Nie wiem. Myślałam, że coś zobaczyłam. Może kanały kablowe są źle wyrównane.

– Brzmi jak robota dla ekipy konserwacyjnej, nie dla oficera taktycznego.

Milla spojrzała na niego spode łba.

– Wiem, złożyłam raport. Ale... jakie to słowo? Frustruje mnie to.

Steph nie był zaskoczony. Z tego, co widział we flocie kolonialnej, zakres obowiązków był nieco luźniej definiowany, szczególnie w przypadku kogoś na stanowisku Milli. Zgodnie z jej opowieściami jako oficer zbrojeniowy okrętu nie zawsze ufała w to, że podwładni będą porządnie konserwować systemy.

Broń nawet teraz była niezbyt popularna wśród sporej części Priminae. Także ci z nich, którzy dobrowolnie jej używali, uważali ją co najwyżej za zło konieczne.

Steph słyszał od szkoleniowców, których zawieźli na Ranquil, że ta niechęć sprawiała, iż Priminae ostrożnie obchodzili się z bronią, a ich instynkty zdecydowanie przyczyniały się do rzadkiego z niej korzystania, co wymagało zmiany treningu.

Nie było to jednak nic złego. Po prostu różniło się od tego, czego trenerzy oczekiwali na Ziemi.

– O ile to nie stan krytyczny – Steph położył jej rękę na ramieniu, żeby odwrócić ją od pustego korytarza – lepiej zostaw to mechanikom.

Jadłaś już?

Speszony wzrok młodej Priminae wystarczył jako odpowiedź. Steph westchnął.

– Cholera, Milla. Rozmawialiśmy o tym.

Chans była trochę pracoholiczką. To nie stanowiło problemu, bo on w zasadzie też był. Podobnie jak kapitan i większość członków załogi, którzy przychodzili mu do głowy. Steph był pewien, że na „Odyseuszu” znajdowali się jacyś lenie, ale na pewno nie wcześniej na „Odysei”. Takie oddanie sprawie miało swoje dobre strony, ale należało postawić gdzieś granicę. A już na pewno gdzieś przed zagłodzeniem się na śmierć.

– Chodź, zostawimy moje rzeczy w kajucie, a potem pójdziemy zjeść. Opowiesz mi, co robiłaś na przepustce. Odwiedziłaś tym razem Paryż?

Skinęła głową z uśmiechem.

– Odwiedziłam, *oui*. Był zarówno dziwny, jak i... znajomy.

To go nie dziwiło, zważywszy na to, jak podobnie język Priminae brzmiał do francuskiego i innych tak zwanych języków romańskich.

– No to mi wszystko opowiesz – powiedział, gdy ruszyli w stronę windy.

Stacja Unity One

Gdy wszyscy byli już na pokładzie i przygotowywali się do nowej misji, „Odyseusz” poprosił Unity One o pozwolenie na start i otrzymał wektor lotu. Wielki okręt poruszał się z niepasującą do jego rozmiarów gracją. Manewrował bez użycia rakiet, a następnie przyspieszył z dala od przestrzeni okołoksiężycowej z prędkością, która mocno ścisnęłaby nawet dawne okręty używające masy przeciwnej.

Reszta grupy zadaniowej ruszyła za „Odyseuszem”, utrzymując ścisły szyk.

Na pokładzie stacji wiele oczu wpatrywało się w wielkie okręty, opuszczające orbitę i udające się w głąbię kosmosu. Jedne z tych oczu patrzyły samotnie ze swojego gabinetu, zastanawiając się nad obecnym stanem rzeczy. Większość ludzi nadal nie pojmowała, w jakim niebezpieczeństwie znajdowała się teraz Ziemia.

Cywile w większości wierzyli, że zagrożenie już minęło, ale admirał

Gracen wiedziała lepiej. Prawdziwa groza wisiała nad horyzontem.

Na razie skrzydeł dodawał ludziom słuszny gniew po inwazji Drasinów. Politycy z ręcznie go wykorzystywali, osiągając w sondażach nawet osiemdziesiąt procent poparcia dla większych wydatków na siły kosmiczne. Na razie admirał nie mogła narzekać, ale nie miała złudzeń, że potrwa to długo.

Już dało się słyszeć pierwsze wzmianki o marnowaniu pieniędzy. I, co gorsza, były prawdziwe.

Marnotrawstwo było wielkie, zarówno w jej łańcuchu dowodzenia, jak i w cywilnych firmach zaopatrujących flotę. Korporacje uznały, że skoro to rządowe pieniądze, nie ma problemu, aby wycisnąć z podatników kilka procent więcej. A rządowi i wojskowi urzędnicy uważali, że to nie ich pieniądze i nie ich problem.

Sporo zdarzało się łapówkarstwa, co Gracen przyzwyczała się ignorować, gdy mimo wszystko wykonywano dobrą robotę.

Jeśli tak nie było, zostawiała po sobie spore pobojuwisko.

„Ci idioci nie mają pojęcia, jak bliscy są oskarżenia o zdradę” – pomyślała, gdy straciła z oczu „Odyseusza”.

Chciała dosłownie zacząć strzelać do niektórych z tych głupców, jako że faktycznie narażali na szwank obronność planety. Nie chodziło tylko o pieniądze, chociaż złodziejstwo samo w sobie było złe. Utrata biliona dolarów, który mógł zostać przeznaczony na siły obronne, zamiast iść na konto bankowe jakiegoś bogatego pacana, była czymś skandalicznym, ale dało się jeszcze machnąć na to ręką. Zdarzały się gorsze rzeczy w przeszłości i pewnie zdarzą się w przyszłości.

Prawdziwym problemem było to, że tak niszczo wiarę ludzi w rząd i wojsko.

Jeśli czegoś nie wymyśli, za to właśnie kopną ich kiedyś w cztery litery.

Na razie miała trzyczęściowy plan, najlepszy, jaki dało się opracować przy tych ograniczeniach. Rój był jej pierwszym asem w rękawie w tej próbie powstrzymania odpływu pieniędzy i wiarygodności, ale wszystko zależało od małej grupy okrętów, które właśnie opuszczały Układ Słoneczny, i człowieka, który tą grupą dowodził.

„Kup nam tyle czasu, ile zdołasz, komodorze” – pomyślała ponuro.

Imperium nadchodziło, a Drasinowie też nie ulegli zupełnemu

zniszczeniu, jak wielu sądziło. Nie było szans zabić ich wszystkich, a stanowili zagrożenie dla każdego świata w Galaktyce.

To był wielki, niebezpieczny wszechświat.

Jedna planeta nie miała szans, zwłaszcza podzielona.

„Gdyby mogli zobaczyć to, co ja widziałam” – pomyślała, odwracając się od gwiazd widocznych poza jej gabinetem. „Nie zaprzepaszczaliby naszej przyszłości dla garstki dolarów”.

Chwilę później pomyślała jednak, że i tak by to zrobili.

Nie istniało coś takiego jak idealny system – wiedziała to zbyt dobrze – a w każdym niedoskonałym systemie najdalej docierali ci, którzy byli skłonni wykorzystać jego ułomności do własnych celów.

Mniej cyniczna osoba zastanowiłaby się, dlaczego właściwie próbuje ratować takich ludzi, ale Gracen jeszcze nie zaszła tak daleko. Uśmiechnęła się lekko, spoglądając na stojące na biurku zdjęcia. Większość ludzi w każdej organizacji była dobra. Niektórzy zapominali, że na wierzch wypływa nie tylko śmietanka, ale i szumowina. Lecz nie ona.

Miała swoją wojnę, a komodor swoją.

Choć jego wojna była bardziej niebezpieczna, Gracen nie mogła nie zazdrościć Westonowi. On przynajmniej mógł strzelać do swoich wrogów.

Rozdział 3

Okręt Sojuzu Ziemskiego „Odyseusz”

Eric stał na pokładzie admiralskim „Odyseusza”, patrząc z góry na pokład dowodzenia, gdzie komandor Heath nadzorowała działania.

Za nim znajdowały się holograficzne wyświetlacze, łączące go w czasie rzeczywistym z pozostałymi okrętami, co pozwalało na koordynację. Brakowało mu trochę ręcznego sterowania jednym okrętem, choć tak naprawdę sporo z tego nadal należało do jego obowiązków.

Eric odwrócił się i spojrział na hologram kapitana Robertsa, który siedział na pokładzie dowodzenia „Bellerofonta”.

– Wszystkie systemy działają zgodnie z zaleceniami, komodorze – oznajmił Roberts.

– Podobnie jak tu, komodorze – dodała kapitan Hyatt z „Boadicei”. – Żadnych odchyień od normy.

Eric skinął głową.

– To dobre wieści. „Odyseusz” miał pewne odchylenia w systemach sterowania, które wciąż sprawdzamy. Nic niebezpiecznego, ale uważajcie na własne, w razie gdyby wam też się to przytrafiło. Może być jakiś problem z aplikacjami interfejsu.

Dwójka kapitanów skinęła głowami.

Eric otworzył łącze z dowódcami okrętów klasy Włóczęga. Wraz z przybyciem dodatkowych osób obraz zmienił skalę, by ich wszystkich pomieścić.

– Zakładam, że wszyscy czytaliście przesłane wam informacje. – Eric nie czekał na potwierdzenie. Pomysł, że ktoś ich nie przeczytał, brzmiał absurdalnie. – Oficjalnie to standardowy patrol, ale raczej nikt nie spodziewa się, że tak zwyczajnie nam pójdzie. Tym razem polujemy na Imperium i musimy założyć, że oni polują na nas. Na razie między nami a nimi są światy Priminae i chcemy, aby tak zostało. Chodzi mi o odparcie wszelkich prób zdobycia przez wroga nowych terytoriów. Jeśli dam radę to zrobić, zagadując ich na śmierć,

to tak właśnie postąpię.

Odczekał chwilę, dając wszystkim czas na śmiech.

– Niestety, wątpię, abyśmy mieli tyle szczęścia. – Wziął głęboki oddech. – Priminae szeroko patrolują przestrzeń, więc zostawimy im tę robotę. Po krótkim postoju na Ranquil połączymy się z „Autolikosem”, żeby zobaczyć, czy ma dla nas coś nowego. Będziemy działać jako grupa szybkiego reagowania. To oznacza, że musimy sporo włóczyć się bez celu i czekać na wołanie o pomoc. W końcu tak się stanie, ale kiedy, to zależy wyłącznie od wroga.

Nie było to popularne stwierdzenie i oczywiście rozumiał dlaczego. Zostawienie inicjatywy przeciwnikowi wydawało się niebezpiecznym sposobem prowadzenia wojny, ale nie mieli ani zasobów, ani danych wystarczających, by przyjąć bardziej aktywną postawę.

Więźniowie z imperialnych okrętów byli relatywnie rozmowni, ale dostęp do informacji mieli znacznie ograniczony i nie wiedzieli nic istotnego. Garstka oficerów uratowanych z uszkodzonych nieprzyjacielskich jednostek przejawiała mniejszą chęć do rozmów, a to, co mówili, należało traktować raczej ostrożnie.

– Niech wasze załogi będą w gotowości, ale nie zajeżdżajcie ich. Ta misja może potrwać długo. Wszyscy wiecie, jak to wygląda. Tygodnie nudy, minuty strachu.

Wszyscy skinęli głowami z ponurymi uśmiechami. Pamiętali podobne misje.

– Dobrze, w takim razie zostawiam to wam. Tranzycja do układu Ranquil o – spojrzął na dane o kursie i prędkości – dziewiątej zero zero czasu pokładowego. Do zobaczenia po drugiej stronie.

Imperialna grupa zadaniowa

Zwierzchniczka floty Misrem spoglądała na swoje centrum dowodzenia z pewną satysfakcją. Z tego miejsca mogła kontrolować i dowodzić wszystkimi okrętami w grupie bojowej, od największych do najmniejszych.

Grupa przemieszczała się z maksymalną prędkością w stronę przestrzeni Przysiężnych. Porażka, której Misrem doświadczyła, wciąż jej doskwierała, choć wiedziała, że wróg również poniósł znaczne straty. Wiedziała również, że niektórzy z kapitanów uważali,

iż martwi się o swoją pozycję w imperialnej polityce. I w pewnym stopniu była to prawda.

Gdyby chciała się jednak bardziej mieszać w takie rzeczy, dawno już zrezygnowałaby ze swojego okrętu i przeprowadziła się do stolicy. Nawet teraz miała dość dobrą pozycję, żeby tak zrobić, a niektórzy dygnitarze winni jej byli przysługi, które teraz mogliby dyskretnie oddać.

Ale kochała robić to, co robiła. Choć głęboki kosmos bywał niebezpieczny, był najlepszym miejscem dla kogoś takiego jak ona.

Zasady, prawa – mogła je sama kształtować, gdy wkraczała do układu ze swoją grupą bojową.

Imperium zawdzięczało swoją potęgę ludziom takim jak ona, a Misrem napawała się tą wiedzą.

Jej twarz wykrzywiła się, gdy spojrzała na ekran odtwarzający w zapętleniu bitwę w układzie Przysiężnych. Studiowała ją, odkąd opuściła tamto miejsce, zawdzięczając życie podrzędnemu kapitanowi, który wykazywał przygnębiająco mało chęci awansu.

Znów przyjrzała się scenie na ekranie. Patrzyła, jak jej okręty rozrywają eksplozje znikąd.

„Jak dysydemom udało się przemycić staromodną broń nuklearną na moje okręty?”

Zadawała sobie to pytanie tysiąc razy, jeśli nie więcej, ale nie doczekała się odpowiedzi. Nikt inny też jej nie znał. Wywiad Imperium przeczesywał ostatnie dziesięć portów, które odwiedziła przed bitwą, ale do czasu, kiedy otrzymała rozkaz odlotu, nic nie znaleziono.

Co gorsza, wydawało się to absurdalne.

Dwie z bomb umieszczono prawidłowo, ale większość eksplozji miała miejsce w przypadkowych miejscach okrętów. Jedyna sensowna teoria brzmiała tak, że dysydenci przemycili broń zakamuflowaną jako przedmioty, które członkowie załogi brali ze sobą do kajut i miejsc pracy. Ale wiązało się z nią więcej pytań niż odpowiedzi, bo tego rodzaju broń niełatwo ukryć.

Wewnętrzna polityka Imperium nie była piękna, ale rzadko rozwiązywano w niej problemy za pomocą broni jądrowej.

Zagadkę stanowiła też broń używana przez Przysiężnych i anomalie.

Dwa lata wcześniej technologię Przysiężnych oceniano jako

porównywalną z imperialną. Imperium miało przewagę taktyczną według każdej ówczesnej analizy, z uwagi na niechęć Przysiężnych do okrętów typowo bojowych. Nawet biorąc pod uwagę zmiany wynikające z inwazji Drasinów, możliwości tych jednostek nie pasowały do całego obrazu.

„Broń musi pochodzić od tych, których Aymes nazywa anomaliami”.

Gestem sprawiła, że na jednym z ekranów pojawił się mniejszy okręt o masie i konfiguracji zgodnej z jednostką anomalii, która zniweczyła pierwotną inwazję Drasinów. Był niezwykle trudny do zlokalizowania na skanerach, gdy nie patrzyło się bezpośrednio na niego. A w kosmosie stanowiło to rzadkość.

Krzywa mocy mniejszych okrętów była bliska zera, przynajmniej na tyle, na ile umieli ją wykryć. Gdyby znaleźli się bliżej, mogliby zarejestrować wykres dokładniej, ale wtedy musieliby podejść zbyt blisko najbardziej bodaj przerażającej rzeczy, jaką napotkali.

Kolejny gest zatrzymał obraz, na którym z okrętu wylatywały białe punkty energii.

Antymateria jako pocisk...

To oznaczało, że albo byli w stanie generować ją na poczekaniu, w co zwierzchniczka nie wierzyła, albo trzymali ją w pogotowiu. Jednak z tak niską krzywą mocy nie powinni nawet móc jej przechowywać!

Misrem wzdrygnęła się. Po plecach przeszedł jej dreszcz na samą myśl o składowaniu tak niebezpiecznego materiału na pokładzie okrętu. Było to szaleństwo, niezależnie od tego, jak skuteczne.

„W takim razie walczymy z wariatami” – pomyślała.

Gdyby chodziło o inne imperium, z chęcią by się z nim zmierzyła. Profesjonalna flota, z którą można toczyć bitwy, coś, co rodziło nowe dynastie. Ale walka z szaleńcami oznaczała w najlepszym razie atakowanie kalekich i bezbronnych. Nieważne, jak dobrze się to robi, nie zajdzie się w ten sposób daleko.

Ale to był optymalny scenariusz. Najgorsza możliwa wersja zakładała, że są funkcjonalnie szaleni. Byli istotami, które jakoś mimo wszystko potrafiły relatywnie normalnie funkcjonować w tym wszechświecie. Z takim wrogiem nie chciała się mierzyć żadna profesjonalna dowódczyni, bo niezależnie od tego, jak wydawała się dobra, mogli ją przechytryć, robiąc najgłupszą możliwą rzecz i jakoś sprawiając, że obróci się na ich korzyść.

Ostatecznie jednak nie powinno to mieć znaczenia.

Imperium walczyło już z różnymi przeciwnikami i będzie walczyć jeszcze z wieloma. Szaleństwo nie było prawdziwym kluczem do zwycięstwa, a jedynie opóźniało nieuniknioną porażkę. Zdyscyplinowana i profesjonalna flota zawsze zatriumfuje.

Nie uśmiechało się jej jednak poznanie ceny, jaką zapłaci za to zwycięstwo jej zdyscyplinowana i profesjonalna flota.

Kapitan Aymes siedział przy konsoli, wpatrując się w nagrania ostatniej bitwy w przestrzeni Przysiężnych, podczas gdy jego ludzie wykonywali swoją pracę.

Coś się zmieniło u Przysiężnych i mógł się założyć, że kluczem do tego były okręty anomalie. Pierwotny rozłam między Przysiężnymi i Imperium miał miejsce w przeszłości, na tyle dawno, że obecnie był tylko legendą. Systemową nienawiść do arogancji Przysiężnych wpajano imperialnym dzieciom od najmłodszych lat, opowiadając im bajki na dobranoc i puszczając propagandowe programy rozrywkowe.

Mogli być aroganccy, ale Aymes miał dostęp do pierwotnych archiwów – na tyle pierwotnych, na ile zdołał znaleźć. Przysiężni trzymali się wiernie swoich zasad, Przysięg, które złożyli z nieznanых powodów. Rozłam miał miejsce, gdy założyciele Imperium uznali, że Przysięgi są przestarzałe, ale tamci nie chcieli słuchać głosu rozsądku.

Gdy doszło do schizmy, Przysiężni uznali Imperialnych za renegatów i wybuchła wojna. Nie zachowały się zapiski o tym, kto ją zaczął. Zważywszy na to, co Aymes wiedział o Przysiężnych, przypuszczał, że Imperialni, ale nie miało to już znaczenia. Ważne było to, że Przysiężni albo przegrali i zostali wypędzeni, albo odmówili walki i sami odeszli.

Aymes potrafił czytać między wierszami i zdawał sobie sprawę, że brakowało sporej części historii. W zapiskach na pewno nie znajdowały się powody do zinstytucjonalizowanej nienawiści do Przysiężnych, ale wyczuwał, że była ona nieproporcjonalna do tego, co się zdarzyło, szczególnie zważywszy na czas, jaki upłynął.

Nie dowiedział się z tych danych wiele sensownego, ale wyglądało na to, że Przysiężni mieli niemal psychopatyczne skłonności do pacyfizmu, czasami za szaloną cenę.

Nie to widział podczas dwóch ostatnich wypraw na ich terytorium.

Nawet okręty, które prawdopodobnie były dziełem Przysiężnych, zostały uzbrojone i używały broni bez wahania.

„Coś się zmieniło” – pomyślał. Nie było trudno stwierdzić co.

Drasinowie.

Aymes skrzywił się na myśl o tych istotach. Wypuszczenie ich wolno na Galaktykę było oznaką pychy, której nie dorównywały nawet propagandowe wersje Przysiężnych.

Nie miał wątpliwości, że ta decyzja jeszcze się na nich zemści, ale to był problem na inny dzień. Teraz bardziej interesowało go, czy wypuszczenie Drasinów na Przysiężnych nie zmieniło fundamentalnie ich natury.

Chociaż wydawało się to... niemożliwe.

Ale jeśli miał rację, możliwe, że obudzili śpiącą bestię, której Imperium się nie spodziewało.

Aymes wpatrywał się w nagrania z tą właśnie myślą.

„Mam nadzieję, że się mylę, ale obawiam się, że nie”.

Wiedział, że brakowało mu krytycznych informacji. Działo się coś nieoczekiwanego, co zniszczyło obliczenia, które wywiad Imperium poczynił w kwestii Przysiężnych.

Aymes nie mógł uwierzyć, że za wszystkim stała anomalia. Ktokolwiek czy cokolwiek sterowało tym okrętem – czy też okrętami – było czynnikiem, którego wpływu nie umiał oszacować. Rzucali wszystko na wiatr słoneczny, a Aymes nie potrafił stwierdzić, gdzie wylądaje.

Okręt Sojuszu Ziemskiego „Odyseusz”

Bosman Dixon nie był zadowolony.

– Jeśli dowiem się, kto stroi sobie żarty, przeciągnę go pod kilem w nieszczelnym skafandrze – mruknął, patrząc na bałagan, jaki ktoś zostawił w jednym z tuneli serwisowych.

Dixon polował na błędy systemu, odkąd zjawił się na pokładzie „Odyseusza”. Należało to do jego obowiązków, ale tego tutaj nie

zamierzał sprzątać.

Podszedł do najbliższego panelu bezpieczeństwa i otworzył kanał.

– Dyspozytornia.

– Tu bosman – mruknął Dixon. – Chcę ekipę porządkową na pokład dwunasty. Niech wezmą łopate.

– Łopate? – ktoś spytał z niedowierzaniem.

Dixon wcale mu się nie dziwił, ale i tak go to wkurzyło.

– Tak, cholerną łopate. Wygląda na to, że ktoś buszował po magazynie i rozrzucił jedzenie i śmieci wzdłuż ośmiu metrów mojego cholernego pokładu! – warknął. Nie był w nastroju na pogawędkę z kimś, kto nie brał się od razu do roboty.

– Przepraszam, bosmanie. Już kogoś wysyłam!

– Dobrze. I powiedz ochronie, że do nich idę. Chcę zobaczyć nagrania z kamer, więc lepiej niech je znajdą.

– Robi się, szefie.

Dixon zamknął kanał i wrócił do pobojuwiska.

– Tylko nieco nieszczelny skafander. Nie chcę, żeby drań stracił przytomność, zanim doleci do rufowej bańki grawitacyjnej.

Komandor Michaels pogwizdywał sobie w drodze do symulatorów, idąc po raz pierwszy od dawna tak zwawym krokiem. Już trzy razy spytano go, czy udał mu się podryw na przepustce, co tylko go rozśmieszyło.

Noc z piękną damą była czymś przyjemnym, ale nie to go rozpromieniało. Miał znowu w rękach prawdziwy drążek sterowniczy. To zasługiwało na gwizdanie.

Oczywiście lubił „Odyseusza”. Była to piękna łajba, dużo mniej toporna, niż myślał, gdy po raz pierwszy otrzymał ten przydział. Studnie grawitacyjne używane przez napęd Alcubierre’a sprawiały, że był niemal tak zwrotny i reagujący jak myśliwiec.

Jednak „niemal” nie oznaczało „dokładnie jak”.

W sterowaniu myśliwcem było coś, co czuł we krwi. Żadnych tłumików inercyjnych, tylko jednostka masy przeciwnej. Mniejsza masa myśliwców pozwalała im na manewry przy wysokiej prędkości, przy których nawet „Odyseusz” wydawał się powolny.

Ale to samo uczucie miało na niego wpływ. Poczucie, że nie tyle pilotuje myśliwiec, co ma go przypiętego do pleców.

Tego nie czuło się na „Odyseuszu”.

Nie używano tu nawet żadnych pasów. Wszystko, co mogło w nich uderzyć na tyle mocno, by uszkodzić tłumiki inercyjne, rozsmarowałyby załogę na ścianach. Nie było sensu się zapinać – albo wszystko szło gładko, albo wszyscy ginęli.

Spojrzał na symulatory rozstawione równo na otwartym pokładzie. Skinął głową i ruszył w stronę trzeciego z nich.

– Poruczniku – przywitał mężczyznę.

– Komandorze – odpowiedział z siedzenia Keith Lancaster.

Steph pochylił się, żeby spojrzeć na odczyty instrumentów.

– Poziom dziewiąty? Nieźle. Jak długo?

– Niemal godzina – odparł Keith. – Próbuję opanować manewry bojowe.

– To ciężka bestia mimo prędkości. Nadal sporo masy, jeśli próbuje się latać precyzyjnie.

Wyprostował się i klepnął bok symulatora.

– Oby tak dalej. Potem przejrzę dane. Proszę nie zapomnieć o certyfikacie dla interfejsu neuronowego. Inaczej nie usiądzie się w tym prawdziwym.

– Tak jest, sir. Rano mam test kwalifikacyjny.

– Proszę go nie zawalić.

Keith skinął głową.

– Tak jest.

Steph przyjrzał się innym będącym w użyciu symulatorom, dając rady i komentując wyniki. Ster „Odyseusza” był skomplikowanym systemem, więc każdy pilot na pokładzie musiał przechodzić testy kwalifikacyjne zarówno dla aktualnych systemów, jak i dla proponowanych zmian.

To zdecydowanie dotyczyło też samego głównego sternika, więc gdy sprawdził już, jak sprawują się inni, Steph wszedł do pustego symulatora i załadował program, na którym ostatnio skończył.

„Poziom trzydziesty trzeci”.

Program zaczął się w ogniu bitwy. W ciągu kilku minut Steph spocił się, manewrując wirtualnym „Odyseuszem” poprzez zmiany kursu, które wymagały pełni umiejętności. W końcu rozsiadł się wygodnie w fotelu i podłączył igły interfejsu neuronowego.

Ostre ukłucie sprawiło, że zeszywniał, ale w końcu, jak zawsze, przyzwyczał się do uczucia i poczuł się jak w domu.

Przejsie w stan zen było umiejętnością, którą starali się opanować piloci Archaniołów. Stan umysłu, który często wyglądał na skanach EKG jak utrata przytomności. Symulacja stała się nieco gładza i Steph przechodził poziom za poziomem, aż w końcu trafił aż na pięćdziesiąty. Uznał, że dość już rozgrzewki.

Nie przyszedł tu, aby ustanowić nowy rekord.

Wciąż połączony przez IN, spojrział w lewo i włączył przycisk.

– Komputer, uruchom scenariusz imperialny jeden, od początku.

Zgromadzili sporo danych o okrętach Imperium podczas ostatniego spotkania oraz analizując wraki zniszczonych jednostek. Ich konstrukcja była bardzo podobna do okrętów Priminae, co wskazywało na to, że coś łączyło te dwie kultury. Ale Imperium używało innych materiałów.

Ich pancerz ze stopów metali był bardziej wytrzymały niż ceramika Priminae, ale nie radził sobie tak dobrze z laserami. Steph pomyślał, że to dziwny wybór, wskazujący, że Imperialni musieli kiedyś stoczyć wiele walk z przeciwnikami skupiającymi się na broni kinetycznej, z którą tego rodzaju opancerzenie radziło sobie lepiej. Dało się w nim robić dziury jak w szwajcarskim serze, a załogi spokojnie by je reperowały. Ceramika Priminae dość łatwo pękała i jej łatanie było dużo trudniejsze.

Jak się jednak okazało, pancerz Imperialnych sprawił, że byli bardziej wrażliwi na ataki laserów „Odyseusza” niż Priminae czy nawet Drasinowie.

Steph próbował określić, jak dużą różnicę robiło to w prawdziwym świecie.

W symulacji pojawiły się trzy krążowniki Imperium, mniej więcej odpowiadające Herosom. Przyjęły standardowy szyk bojowy i przyspieszały w jego stronę.

Steph poczuł dreszczyk, gdy ledwie wyminął jeden z pocisków przeciwnika. Sam wycelował w stronę głównego okrętu wroga i wydał rozkaz symulacji oficera taktycznego.

– Główny bandyta namierzony, strzelać wedle uznania. Wykonać manewr alfa dziewięć – powiedział, kontynuując przechył na lewą burtę, zanim uruchomił studnie grawitacyjne, zasilające wielki okręt i ruszył do walki.

Rozdział 4

Kolonia Priminae

„Tetanna” zwolniła i obrała synchroniczną orbitę nad nową kolonią Priminae.

Na razie nie była oczywiście szczególnie rozbudowana. Drey Marina widział spis powszechny kolonii i nie spodziewał się wiele, ale dla kogoś przyzwyczajonego do widoku centrów populacji z orbity, wyglądało to nieco prymitywnie. Nie dało się z tej odległości zauważyć żadnych zmian na powierzchni, przynajmniej nie bez zaawansowanych skanerów.

– Kapitanie – odezwała się Helena – administrator kolonii nawiązał kontakt. Przygotowują lądowisko do zrzutu zasobów.

– Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobili – odparł, choć zbytnio mu to nie przeszkadzało. Mieli harmonogram dość elastyczny, by nie zaburzyły go drobne opóźnienia.

– Administrator przeprosza, ale mieli nieoczekiwany front burzowy i skupili się na zabezpieczeniu budynków.

Drey przechylił głowę.

– Cóż, nie można ich za to winić. Zapewne sam bym tak postąpił.

– Tak, kapitanie. Spodziewałam się, że pan zrozumie – powiedziała Helena z lekkim uśmiechem. – Powinni być gotowi za kilka godzin.

– Dobrze, na razie opuścimy orbitę i dokończymy skan układu. Nasze dane pochodzą sprzed osiemdziesięciu cykli. Zapewne nie nastąpiły większe zmiany. Stare dane żadnych nie przewidywały, ale skoro mamy tyle czasu...

– Tak, sir. Przekażę wszystko administratorowi i przygotuję załogę.

– Dziękuję, Heleno.

Zwierzchniczka zasiadła przy swoim stanowisku, przeglądając codzienne dane ze skanerów.

Tym razem zbliżali się do terytorium Przysiężnych z dużo większą ostrożnością, chcąc uniknąć powtórki z poprzedniego razu. Teraz było inaczej. Chciała wiedzieć, co spowodowało u nich zmiany i kim lub czym są anomalie. Z konkretną misją była bardziej pewna swojej strategii.

Wlecieli w chmurę komet układu, gdzie znajdowała się nowa kolonia, na której dopiero powstawała infrastruktura. Przysiężni najwyraźniej znów rozbudowywali się po odparciu Drasinów. Wkrótce miała się tym zająć, ale na razie bardziej interesował ją okręt na orbicie.

Misrem przejrzała dane o masie i konfiguracji. Okazały się zbliżone do specyfikacji imperialnych krążowników, poza materiałami, z których zbudowano opancerzenie. Co dziwne, kadłub nie wyglądał też na standardową ceramikę Przysiężnych. Ani na cokolwiek, co by rozpoznawała.

– Bolah – odezwała się do dyżurnego oficera nadzorującego sensory
– co możesz mi powiedzieć o składzie pancerza i kadłuba?

Oficer zmarszczył brwi.

– Próbuje to określić, odkąd dostaliśmy wyniki skanów. Co dziwne, nie pasują do niczego z czasu bitwy. Jakby używany przez nich materiał odbijał promienie naszych urządzeń. Znacznie utrudnia to analizę. Chyba używają powłoki refrakcyjnej na standardowym pancerzu ceramicznym, ale bez próbek nie możemy być pewni.

Misrem ciężko odetchnęła i zastanowiła się.

– Dopilnuję, żebyś otrzymał próbki. Ale do tej pory próbuj rozwikłać tę zagadkę na podstawie tego, co mamy. Wolałabym tym razem mieć jak najwięcej informacji przed walką.

– Tak, zwierzchniczko. Analizy wciąż trwają, choć nie spodziewam się, aby dały nam od razu szczególnie wiele. Będziemy działać krok po kroku, ale w końcu to rozgryziemy.

– Zrozumiano, dziękuję – odparła. Wyświetliła kolejną część raportu. – Dlaczego oflagowano specyfikację ich napędu?

– Chodzi o ślad podprzestrzenny, zwierzchniczko. Gdy próbowaliśmy go śledzić, aby ustalić wektor pochodzenia, straciliśmy sygnał zaraz za granicą układu. Jak gdyby siedzieli tu z jakiegoś powodu i czekali. Albo to, albo znacznie zwiększyli wydajność napędu w przestrzeni międzygwiazdnej.

Przejrzała szybko informacje i zmarszczyła brwi. Bolah czekał

w milczeniu. W końcu Misrem spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Musieli tu czekać – przyznała. – Nikt nie zamaskowałby śladu podprzestrzennego tak skutecznie. Ale dlaczego?

Bolah westchnął, kręcąc głową.

– Oto jest pytanie. Nie udało mi się na nie odpowiedzieć. Można by pomyśleć, że to pułapka na nas, ale w takim razie czemu się odsłonili? Nie jestem w stanie znaleźć satysfakcjonującego wyjaśnienia.

– Więcej zagadek, więcej pytań – mruknęła Misrem. – Zupełnie jakby nie byli Przysiężnymi. Coś ich zmieniło w sposób, który nie wydaje się powiązany tylko z inwazją Drasinów.

– Tak, zwierzchniczko.

– Dobrze więc. W takim razie będziemy nadal...

Przerwała jej syrena alarmowa. Misrem wstała z fotela.

– Co to?

Bolah wrócił do swojego stanowiska i nie odpowiedział od razu. Tym razem to ona musiała czekać tak cierpliwie, jak się dało. Jednak w razie potrzeby Misrem potrafiła być bardzo cierpliwą kobietą.

– Okręt opuszcza orbitę – powiedział oficer. – Niskie przyspieszenie, kurs... niepewny.

– Obserwować ich – rozkazała, po czym włączyła kanał dowódczy. – Do wszystkich okrętów! Maksymalne maskowanie. Wroga jednostka jest w ruchu.

– Przygotować się do skanu układu. Będziemy tu przez kilka godzin – ogłosił Drey. – W tym czasie proszę powstrzymać się przed korzystaniem z komunikacji nadświatłowej. Może to zakłócić działanie instrumentów.

Nie powiedział, że sam wyłączył już wszystkie nadświatłowe systemy transmisyjne. Ale uprzejmiej było wyrazić to jako prośbę, nawet jeśli załoga nie miała wyboru.

– Zaczynamy skan układu, kapitanie.

– Dziękuję – odparł, siadając przy swoim stanowisku i przyglądając się spływającym na ekran wynikom.

Oczywiście najłatwiej było wykryć planety. Pojawiły się na nowym modelu układu niemal natychmiast. Nawet ślepiec nie mógłby

przeoczyć ich pól grawitacyjnych.

Powoli na ekranie ukazywały się kolejne obiekty, o różnej masie i odległości od „Tetanny”. Asteroidy znajdujące się blisko okrętu zlokalizowano jako kolejne, coraz dalsze od gwiazdy centralnej.

Po kilku godzinach pracy do Dreya, próbującego nie zasnąć na służbie, podeszła Helena. Skany układów należały do najważniejszych, ale i najnudniejszych elementów ich pracy.

– Anomalia na obrzeżach układu – powiedziała.

– Jakiego rodzaju? – spytał Drey, przyglądając się nowym danym.

– Pewne elementy pasa komet znajdują się nie tam, gdzie przewidywaliśmy.

– Och.

Był nieco zawiedziony. Skały i komety na skrajach układów zawsze wytrącały się nawzajem z orbit. Co jakiś czas nawet ze sobą kolidowały, co powodowało dalsze zakłócenia. Skan układu mógł je całkiem nieźle przewidywać z użyciem modelu statystycznego, ale zdarzały się też błędy.

– Dobrze, wykonać dokładniejsze pomiary. Spróbujcie określić, co strąciło komety z przewidywanych ścieżek i czy któreś z nich mogą zagrażać kolonii.

– Tak, kapitanie.

Misrem zakłęła, gdy okręt, który obserwowali, rozpoczął skanowanie układu. Cieszyła się, że rozkazała swoim jednostkom zamaskować się na tyle, na ile to możliwe, ale nadal czekanie na to, czy zostaną wykryte, mocno ją denerwowało.

Tymczasem jednak mogła zrobić choć jedną rzecz.

– Użyć energii ich skanerów, żeby wzmocnić nasze pomiary.

– Tak, zwierzchniczko.

Nie mogli wykonać kompletnego skanu, jako że używali jedynie pasywnych sensorów. Jednak dzięki temu, że znali położenie okrętu Przysiężnych i potrafili przechwycić część odbić ich wiązek, byli w stanie sami z tego skorzystać.

Poza tym ona i jej ludzie mogli jedynie mieć nadzieję, że nie zostaną wykryci.

Nadzieja ta umarła, gdy po kilku godzinach wykonywania standardowych namiarów w jej okręt trafiła gęsta wiązka, która uruchomiła wszystkie alarmy na pokładzie.

– Pełna moc! Cała grupa bojowa w ruch!

– Kurs, zwierzchniczko?

Okręt wokół niej zaczynał szumieć. Podeszła do stanowiska nawigatora.

– Kurs przechwytyjący na planetę.

– Tak, zwierzchniczko.

Zastępca podszedł bliżej.

– Na planetę, zwierzchniczko? To pomniejsza kolonia, bezwartościowa.

– Dla nas tak. Ale może nie dla nich. Jeśli są sprytni, uciekną i nie będziemy w stanie ich dogonić. Może jednak, jeśli zagrozimy planecie, sprowadzimy ich dość blisko, by sobie z nimi poradzić.

Zastępca skinął głową.

– Tak jest, zwierzchniczko.

Misrem machnęła ręką, a on odwrócił się do stanowiska komunikacyjnego.

– Zalać spektrum energią na tyle, żeby nie mogli wysyłać sygnałów – rozkazał.

– Tak, komandorze.

Odwrócił się do zwierzchniczki.

– Aby to utrzymać, przynajmniej dwa okręty nie będą mogły brać udziału w bitwie. Ale jeśli chcemy wyeliminować ich, zanim skontaktują się ze swoimi światami centralnymi...

Misrem uśmiechnęła się lekko.

– Owszem. Dziękuję, komandorze.

– Do usług, zwierzchniczko. – Ukłonił się nieznacznie.

Dwa okręty z grupy bojowej pojawiły się teraz na ich skanach pasywnych, uruchomiwszy silniki.

– Nie tak chciałam ogłosić naszą obecność, ale niech będzie. Wyruszamy.

– Sygnatury napędów!

Drey odwrócił się do Heleny, szeroko otwierając oczy.

– Czyje? – spytał, mając nadzieję, że to okręty Terran lub Priminae.

– Nie wiemy, kapitanie – pokręciła głową Helena. – Siedzieli cicho w pasie komet. Raczej nikt z naszych.

Zacisnął usta.

– Cholera! Uruchomić komunikację nadświetlną!

– Mamy zakłócenia na wszystkich częstotliwościach, kapitanie – oznajmił oficer komunikacyjny. – Nie będziemy w stanie nadawać z tego układu.

– Niech ich wieczna Otchłań pochłonie! – syknął Drey. – Moc do wszystkich systemów, skupić skanery i przeliczyć siły wroga.

– Tak, kapitanie.

„Tetanna” zaczęła szumieć, gdy jej systemy zostały w pełni uruchomione. Moc została przekierowana do skanerów i broni, a cały okręt przygotowywał się do walki.

Mostek, który do tej pory funkcjonował przy jednej trzeciej alarmowej obsady, zaczynał się wypełniać oficerami. W tle wciąż wyły syreny.

– Mamy pierwsze szacunki, kapitanie – oznajmiła Helena z powagą w głosie i zmartwioną twarzą.

Drey wiedział, że odpowiedź mu się nie spodoba, ale musiał zapytać.

– Jak bardzo źle?

– Czterdzieści sygnatur napędu, być może więcej – odparła. – Przynajmniej dziesięć krążowników. Inne są niepewne.

– Zalogować wszystko. Kurs na skraj układu, maksymalna prędkość.

– Tak, kapitanie.

Drey wiedział, że nie ma szans w starciu z taką siłą, nawet przy użyciu broni otrzymanej od Terran w zamian za okręty, które dla nich zbudowano w Kuźni. Jego obowiązki były jasne i niezależnie od tego, co o tym myślał, musiał uciekać.

– Ruszają się, kapitanie – oznajmiła Helena. – Wysokie przyspieszenie.

– Kurs przechwytyjący? – spytał. Musieli przecież wiedzieć, że go nie złapią.

– Tak, sir. Ale nie w naszą stronę. Kierują się do kolonii.

Drey zamarł.

Kolonia nie była chroniona. Jej mieszkańcy planowali

zainstalowanie obronnego systemu orbitalnego, ale na razie byli zbyt zajęci pracą na powierzchni. Ludzie na planecie stanowili łatwy cel. Nie wiedział, co robić.

– Okręt wroga nie rusza się, zwierchniczko.

Misrem była zaskoczona. Spodziewała się, że jej zwierzyna albo skieruje się w stronę planety, by znaleźć się tam przed siłami Imperium, albo jeśli jest choć trochę inteligentna, ruszy na drugą stronę układu tak szybko, jak pozwoli na to studnia grawitacyjna okrętu.

– Utrzymać kurs – powiedziała, mrużąc oczy.

Miała sporo czasu na decyzję, czy ruszyć w pościg za okrętem Przysiężnych, czy lecieć nadal w stronę planety. Oba cele były dostatecznie blisko, aby mogła podjąć ją relatywnie późno.

Ale może coś jej umykało.

– Zwiększyć intensywność skanów. Szukać jakichkolwiek posiłków wroga – rozkazała.

Zapewne to tylko lekka paranoja, ale jej poprzednie doświadczenia w przestrzeni Przysiężnych sprawiły, że zachowywała najdalej posuniętą ostrożność. Nie widzieli innych okrętów po przybyciu do układu, ale dziwne wahanie jednostki Przysiężnych sprawiło, że przypomniała sobie wcześniejsze skany i to, jak nie była w stanie określić wektora podejścia krążownika wroga. Z jakiegoś powodu siedzieli tu, zanim się ujawnili.

To brzmiało dostatecznie źle, ale jeśli coś takiego zrobił jeden okręt, mogło być ich więcej.

Jej grupa bojowa powinna wystarczyć, by poradzić sobie ze wszystkim, co mogło patrolować taką pomniejszą kolonię, ale w razie wykrycia czegokolwiek, była zobowiązana wyeliminować wszystkie okręty, które mogłyby przekazać dalej informacje o jej siłach.

– Kapitanie – Dreya zaskoczył szept Heleny. Spojrzał na nią z ukosa, blady jak ściana.

– Pańskie rozkazy, kapitanie? – powiedziała powoli.

Przełknął ślinę i skinął głową. Przyglądał się ekranom, pokazującym nadlatującą flotę.

– Ile mamy czasu, zanim dotrą do planety? – spytał cicho.

– Przy obecnym przyspieszeniu – Helena zmarszczyła brwi – nie więcej niż osiem godzin.

Skrzywił się.

Byli szybcy. Jeśli mogli przylecieć tu z pasa komet w takim czasie, znaczyło to, że lecieli z trzykrotną prędkością światła w głębi układu. Tylko potężny okręt mógł zrobić coś takiego.

Znaczyło to, że nie było szans na ewakuację kolonii.

Mogli wlecieć między wroga a planetę, ale wiedział, że byłby to tylko próżny gest. Czuł się jednak źle na myśl o ucieczce i nie potrafił podjąć decyzji.

– Kurs na obrzeża układu – rozkazał w końcu. – Tylko nieco poza ich zasięgiem rażenia.

– Kapitanie? – Helena była wyraźnie zaskoczona.

– Musimy uciekać – stwierdził gorzko. – Ale nie będziemy tego robić w panice, odwracając się tyłem, gdy oni przychodzą frontem. Proszę wykonać rozkaz, komandorze.

– Tak, kapitanie.

Grupa bojowa osiągnęła nieco ponad półtorej prędkości światła, ekrany energetyczne rozbłyskiwały od mikrouderzeń. Wszystko – od pyłu po małe skały i wiatry słoneczne – uderzało w nie z ogromną, niszczycielską siłą.

Studnia grawitacyjna przed okrętem odbijała większość gruzu, ale prędkość nadświatlna oznaczała, że energia zderzenia była zbyt wielka, żeby wychwycić wszystkie cząstki. To, co się przedostało, musiało być przechwycone przez ekrany energetyczne okrętu.

Zwierzchniczka była świadoma, że utrzymanie takiej prędkości w środku układu gwiazdnego mogło rozerwać okręt na strzępy, ale chciała wystawić przeciwnika na próbę.

Na razie była nieco rozczarowana.

– Okręt Przysiężnych porusza się, zwierzchniczko.

– Wyświetlić ich kurs na ekranie – rozkazała, pochylając się do przodu.

„Zobaczmy, jaki z ciebie kapitan”.

Zmrużyła oczy, zaskoczona wyświetlonym kursem. Dowódca okrętu Przysiężnych wyraźnie postanowił uniknąć starcia, ale obrał kurs nadal zbyt zbliżony do jej okrętów.

„Co ten głupiec próbuje osiągnąć?” – pomyślała, przechylając głowę.

– Pokazać wykresy kursu przechwytyjącego dla każdego z naszych okrętów. Proszę uwzględnić wszystkie klasy jednostek osobno.

Zgodnie z jej wyliczeniami przeciwnik znajdował się poza zasięgiem jej krążowników. Krzywa przyspieszenia oznaczała, że technicznie byłyby w stanie go zaatakować, ale nie miałyby problemu z uniknięciem ostrzału z laserów. Jej niszczyciele miały jednak nieco większy potencjał w tym względzie dzięki niższej masie.

Nie chciała wysłać niszczyciela przeciwko krążownikowi, szczególnie takiemu, który zmodyfikowano z użyciem nieznannej technologii. Ale miała ich aż dwadzieścia.

– Kurs przechwytyjący dla wszystkich niszczycieli – rozkazała po chwili namysłu. – Mają wyeliminować przeciwnika.

– Tak, zwierzchniczko.

Zastanowiła się nad otwierającym ruchem przez parę chwil, próbując odgadnąć, co planuje wróg. „Czy chcą nam się przyjrzeć, zanim uciekną z układu? Czy może chodzi o coś innego?”

Drey robił wszystko, co w jego mocy, żeby się nie trząść. Zdawał sobie sprawę, że wszystkie przygotowania, to, czego nauczył się na szkoleniach, nie znaczy nic w starciu z rzeczywistością. Przechodziły go dreszcze.

Cieszyło go jedynie, że wszyscy wokół byli zbyt zajęci obserwowaniem swoich instrumentów, żeby spojrzeć na niego, bo nie miał wątpliwości, że zauważyliby przerażenie w jego oczach.

– Mamy kontyngent na stycznym wektorze, kapitanie. Mogą być w stanie nas przechwycić – odezwała się Helena.

– Co? – Drey spojrział na nią zaskoczony. Wybrał ten kurs, bo powinien zaprowadzić ich blisko, ale nadal poza zasięgiem nawet

najszybszych krążowników.

– Wyglądają na lżejszą konfigurację. Najwyżej połowa masy krążownika.

Drey zmarszczył brwi.

„To możliwe. Ale musieli wyposażyć je w praktycznie takie same generatory, co krążowniki. Pewnie mają więc też podobną broń, ale mniej emiterów”.

Nie wiedział o żadnych pasujących do tego konfiguracjach Centrali, ale był pewien, że jest w stanie przewidzieć ich możliwości.

– Zrobić porządny skan – rozkazał. – Dopasować kurs tak, by ich wyminąć przy minimalnych zmianach.

– Tak, kapitanie. Minimalna zmiana kursu.

– Testuj nas. Nie wiem, czego chcą się dowiedzieć, ale nas testują.

– Okręt Przysiężnych zmienił kurs, żeby wyminąć niszczyciele, zwierzchniczko. Ale pozostają wciąż blisko.

Misrem zmarszczyła brwi, myśląc o ruchu kapitana wrogiego krętu.

„Testuj mnie. Czego chce się dowiedzieć?”

Jej opcje były jasne. Miała pewność, że nie zdoła zmusić przeciwnika do konfrontacji. Kapitan Przysiężnych wyraźnie pokazał, że nie zamierza poświęcić okrętu dla beznadziejnej obrony kolonii, ale też nie uciekał od razu. Zastanawiała się, czy mogła wymusić na nim zrobienie czegoś głupiego. Być może mogłaby dostać choć część jego jednostki jako trofeum?

– Wycofać niszczyciele na poprzedni kurs – rozkazała.

– Tak, zwierzchniczko.

Niszczyciele zmieniły wektor lotu tak, by dołączyć do jej krążowników w drodze ku planecie. Czekala teraz na kolejny ruch wroga.

Nie zajęło to dużo czasu.

– Okręt przeciwnika wrócił na poprzedni kurs.

Misrem uśmiechnęła się lekko.

„Daje mi kuszący cel” – pomyślała. Teraz, gdy wiedzieli, że jej okręty mogły ich przechwycić, było to wyraźne wyzwanie. Wróg zasadniczo pokazywał jej w tym momencie obelżywy gest.

„Arogancki szczeniak”.

„Co ja robię?”

Drey nie mógł uwierzyć w idiotyzm swoich działań. Powinien był raz lecieć na obrzeża układu i skoczyć do centralnych kolonii.

Zamiast tego bawił się w kotka i myszkę z przeważającymi siłami wroga jak idiota.

Nie miał szans zadać przeciwnikowi poważnych strat, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby tak po prostu odlecieć.

– Załadować działa tranzycyjne – rozkazał, po czym zorientował się, że nikt go nie słyszy. Powtórzył rozkaz głośniej.

– Kapitanie? – Helena spojrzała na niego zmartwionym wzrokiem. – Skuteczność dział przeciwko napędom osobliwościowym jest wyraźnie ograniczona...

– Wiem o tym – przerwał jej. – Przygotować działa.

– Tak, kapitanie.

Wydawszy rozkazy, Drey skupił się na aktach dotyczących broni wynalezionej przez terrańskich szaleńców. Była ona oczywistym przedłużeniem technologii napędu tranzycyjnego i okazała się niezwykle skuteczna przeciwko Drasinom podczas inwazji na ich świat.

Widział dane o działach i o tym, co potrafią. Stojąca za nimi technologia była dla niego niemal niewyobrażalna. Sama myśl o broni z potencjalnie niemal nieskończonym zasięgiem, bez opóźnienia między wystrzałem a trafieniem, wydawała się przerażająca.

Ale studnia grawitacyjna mogła zakłócić strumień tachionów, przesyłający broń. Stanowiło to wadę w przypadku walki z okrętami z napędem opartym na tworzeniu studni grawitacyjnej. Trafienie w cel było tutaj kwestią szczęścia.

Istniały jednak sposoby na to, żeby wziąć pod uwagę efekt studni w obliczeniach, jeśli rozumiało się fundamentalne zasady, na jakich funkcjonowała.

Szybko dokonał obliczeń w oparciu o rdzeń własnego silnika. Imperium wydawało się używać jednostek pokrewnych krążownikom Priminae. Mogły się nawet wywodzić z tego samego pnia

technologicznego.

Na razie była to jedynie ciekawostka, ale zamierzał ją dokładnie zbadać.

Dokończył obliczeń i przełączył interfejs konsoli na taktyczny.

– Kontrola uzbrojenia do mojego stanowiska – powiedział, żeby dać ludziom znać, co się dzieje. – Potrzebuję dokładnych danych celowniczych. Aktywne skany.

– Tak, kapitanie – odparła nerwowym głosem Helena. – Uruchomić aktywne skanery, wąska wiązka. Zlokalizować i oszacować wektory wszystkich okrętów wroga tak dokładnie, jak to możliwe.

– Tak jest – potwierdził oficer obsługujący sensory. – Skanuję.

– Skany w czasie rzeczywistym, zwierzchniczko. Zbierają dane celownicze.

Misrem uniosła brew.

– Przy takiej odległości? Mogliby równie dobrze strzelać stąd do stolicy Imperium.

Trafienie wiązką lasera z takiej odległości zakrawałoby na cud. A nawet gdyby się to udało, promień zostałby już mocno rozproszony przez napotkaną po drodze materię.

Skrzywiła się, ale uznała, że i tak warto zachować ostrożność.

– Rozproszyc szyk – rozkazała.

Większa odległość między okrętami dodatkowo zmniejszyła szanse na trafienie. Poza tym sama zmiana formacji zmuszała wroga do ponownych przeliczeń. Zanim dotarłaby do nich wiązka lasera, zdążyłaby zmienić szyk jeszcze raz, dla pewności.

Ręce Drey'a trzęsły się, gdy wprowadzał ostatnie współrzędne po zmianie szyku okrętów wroga. Wyraźnie nie chcieli ryzykować, bo inaczej nie zaprzętałiby sobie tym głowy. Żadna broń konwencjonalna nie była szczególnym zagrożeniem przy takiej odległości.

Ale on nie używał konwencjonalnej broni. A to oznaczało, że

zyskiwał pewną przewagę. A przynajmniej taką miał nadzieję.

– Działo dziobowe... ognia – oznajmił Drey, wydając polecenie na swojej konsoli.

Broń nie zatrzęsała kadłubem „Tetanny”. Nie poczuł zupełnie nic, gdy na jego rozkaz okręt wystrzelił najbardziej śmiertelnością broń w znanym wszechświecie.

Zanim skończył, już przeliczał kolejną salwę.

Zwierzchniczka marszczyła brwi, spoglądając na wektory. Okręt Przysiężnych był daleko i niedługo miał osiągnąć odległość, przy której przechwycenie go nie będzie już możliwe, nawet przy najwyższym przyspieszeniu niszczycieli. Misrem wciąż zamierzała spróbować, ale zastanawiała się nadal nad tym, w którym momencie wydać rozkaz.

Miała to właśnie zrobić, gdy jej uwagę przykuł nietypowy odczyt ze skanera.

– Co to było? – spytała, podchodząc do konsoli.

– Nie wiadomo – odparł oficer, kręcąc głową. – Rozbłysk energii w pobliskiej przestrzeni. Omal go nie przeoczyliśmy przy aktywnych skanerach wroga. Ale był silny.

– Źródło?

– Niepewne – przyznał.

– Czy właśnie przeskanował nas inny okręt? – spytała z napięciem w głosie. Jej oczy wędrowały od ekranu do ekranu.

– Nie ma szans. Rozbłysk był zbyt krótki, a sygnatura zupełnie inna od skanera. To chyba był jakiś pulsar.

„To byłoby dziwne, ale nie niemożliwe”.

Ale miał rację. Nie rozpoznawała tego sygnału, a nie mógł on pochodzić od skanera. Naturalne źródło było najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem.

– Zwierzchniczko... – jej uwagę przykuł oficer komunikacyjny.

– Co takiego?

– Mamy wyciek promieniowania na „Kin Amen”. Wyłączają przewody reaktora do czasu ustalenia źródła.

Misrem zmrużyła oczy.

– Jak poważny?

– Napromieniowało trzy pokłady. Musi być źle.

Skinęła głową.

– Dać im pozwolenie na opuszczenie szyku. Czekam na pełny raport później.

– Tak, zwierzchniczko.

Promieniowanie na trzech pokładach.

Misrem pokręciła głową. Paskudny wyciek. Miała nadzieję, że nie straci przez to okrętu. Chociaż „Kin” to tylko niszczyciel, każda strata była dla niej ciosem. Potrzebowała każdego działka, przynajmniej do czasu ustalenia natury anomalii.

Zwierzchniczka wróciła myślami do gry z kapitanem Przysiężnych.

– Wysłać wszystkie pozostałe niszczyciele na kurs przechwytyjący. Pełne przyspieszenie, najlepszy możliwy wektor – rozkazała głośno.

„Twój ruch” – pomyślała, patrząc na zbliżające się do siebie kropki na ekranie.

Cokolwiek planował wróg, szybko się tego dowie.

W taki czy inny sposób.

– Okręt wroga zwalnia, kapitanie – stwierdziła Helena, spoglądając na niego z zaskoczeniem. – Wygląda na cały, ale już nie przyspiesza.

Skinął głową, nie patrząc na nią znad ekranu.

Drey dowodził w swojej karierze więcej niż jednym reaktorem osobliwości. Wiedza o tym, jak obliczać interferencje grawitacyjne, była jedną z podstawowych umiejętności. Nie dało się ich całkowicie wyeliminować z uwagi na liczbę zmiennych, do których musiałyby mieć dostęp. Ale mógł przynajmniej sprawić, by ładunki atomowe reintegrowały się w promieniu kilkuset metrów od celu.

Było to za mało, aby każdy z nich zadał straty przeciwnikowi, ale zapewniało dość promieniowania, żeby wrogom zawyły wszystkie alarmy i przestraszyły załogi. Niestety, nie był pewien, czy uda się zrobić coś więcej. Cieszył się, że wywołał jakikolwiek efekt, ale miał nadzieję na więcej.

– Kapitanie! Mniejsze jednostki wroga zmieniają kurs na przechwytyjący – oznajmiła Helena zaniepokojona.

- Coś jeszcze? – Wyraźnie widział, że coś ją gryzie.
- Przyspieszają bardziej, niż oczekiwałam – przyznała. – Nie jestem pewna, czy uda nam się ich całkiem uniknąć.
- Kurs unikowy, pełne przyspieszenie bojowe – rozkazał, nie patrząc na dane.

Dopiero po chwili wyświetlił je na ekranie. Cicho gwizdnął, widząc krzywe przyspieszenia mniejszych jednostek. Były dużo wyższe od zakładanych, co oznaczało większy stosunek mocy do masy, niż uważał za możliwy. Przeliczył wszystko jeszcze raz, ale niestety, wyniki okazały się zgodne z szacunkami Heleny.

Było ich teraz tylko dziewiętnaście. Jeden nadal miał wyłączony napęd albo działał na minimalnych obrotach. Drey nie chciał się jednak zakładać, że „Tetanna” poradzi sobie z dziewiętnastoma okrętami, nawet sporo mniejszymi.

Na szczęście będą miały optymalny zasięg do ataku tylko przez krótki czas.

Drey skrzywił się, zdenerwowany na samego siebie. Wiedział, że naraził okręt na niebezpieczeństwo, bo chciał coś zrobić. Cokolwiek. Teraz on i jego załoga musieli z tym żyć.

„Jesteś cholernym głupcem” – pomyślał.

Zwierzchniczka Misrem z satysfakcją spoglądała na styczne wektory. Z uśmiechem przeliczała ponownie dane.

Czas starcia był ograniczony, ale przez kilka minut okręt Przysiężnych miał znaleźć się w ich zasięgu. Nie wystarczyłoby to przy standardowej eskadrze, ale w przypadku dziewiętnastu niszczycieli, skupiających się na jednym celu, szanse na sukces stawały się dużo większe.

- Dostosować kurs do niszczycieli – rozkazała.

Sama nie miała możliwości przechwycenia przeciwnika, ale w razie gdyby niszczycielom się poszczęściło, chciała znaleźć się tam, zanim będzie po wszystkim.

Planetę na razie odłożyła na boczny tor.

Misrem zdawała sobie zresztą sprawę, że ma mnóstwo czasu na podjęcie decyzji o jej losie. Nie było szczególnej potrzeby, aby

Imperium cokolwiek z nią zrobiło, więc najprostszym rozwiązaniem było bombardowanie z orbity, aby pozbyć się potencjalnych świadków. Jeśli okręt wroga ucieknie, nie będzie nawet takiej potrzeby, ale może przyda się pokaz siły.

Wszystko okaże się w ciągu najbliższych kilku godzin.

Rozdział 5

Ranquil, planeta Priminae

Steph przetarł usta i skrzywił się z obrzydzenia. Podniósł się z podłogi kajuty i odrzucił na bok przemoczony ręcznik. Wrócił do łazienki, którą opuścił kilka sekund – i kilkadziesiąt lat świetlnych – temu.

Normalnie nie był podatny na chorobę tranzycyjną, ale tym razem nie miał służby podczas skoku, a zmęczenie po symulatorze go rozproszyło. Ostrzeżenie o tranzycji zagłuszył szum prysznic i okręt przemieścił się, gdy właśnie wychodził z łazienki. Jak się okazało, jego żołądek nie przepadał za rzucaniem go na drugi koniec Galaktyki bez ostrzeżenia.

Wymiociny na ręczniku i podłodze stanowiły przestrożę, by następnym razem bardziej zwracać uwagę na otoczenie. W drodze z powrotem pod prysznic Michaels chwycił świeży ręcznik i butelkę płynu do ust.

„Musi istnieć jakiś lepszy sposób” – pomyślał, myjąc się i susząc po raz kolejny. „Trudno zachować godność, gdy człowiek czuje się, jakby przeleciał przez szatkownicę”.

Napęd tranzycyjny był niewątpliwie zdumiewającą technologią, nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Ale Steph nie znał nikogo, komu się to podobało.

„Oprócz tego szalonego Kanadyjczyka” – przypomniał sobie o jednym z członków załogi „Odysei”.

Ale Bermont służył w siłach specjalnych, więc się nie liczył. Nie miało znaczenia, z jakiego pochodził kraju: tacy jak on nie bywali zdrowi na umyśle.

Steph wiedział, że są już w układzie Ranquil. Czuł lekkie drgania, w które inni nie wierzyli, a które oznaczały, że lecą w dół studni grawitacyjnej, w stronę głównej planety. Posprzątał po sobie i padł na łóżko.

„Szkoda, że Milla nie będzie mogła spędzić więcej czasu w domu,

zanim odlecimy” – pomyślał.

Wyglądało na to, że czeka ich długi patrol i nieprędko wrócą w rodzinne strony.

Zaczął przysypiać, gdy nagle wydało mu się, że słyszy w oddali dziecinny śmiech. Otworzył oczy i rozejrzał się. W końcu uznał, że pewnie był to już początek snu. Przewrócił się na bok i tym razem zasnął bez dodatkowych wrażeń.

– Komodorze, nie śpi pan?

Eric spojrział na podchodzącą do niego komandor Heath i skinął głową.

– Po prostu lubię patrzeć, jak rosną gwiazdy – odparł, wskazując na taras widokowy.

– Rozumiem. To hipnotyczny widok, prawda?

– I inspirujący – odpowiedział z uśmiechem. – Szczególnie nasze Słońce. Chociaż na Ziemi czuję się teraz mniej komfortowo, więc lubię patrzeć też, jak Słońce maleje.

Heath była wyraźnie zaintrygowana jego słowami.

– Większość ludzi nie może się doczekać powrotu do domu.

Eric wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Kocham Ziemię, ale chyba przestała być dla mnie domem od czasu, kiedy objąłem dowodzenie na „Odysei”. Podoba mi się na okręcie.

Komandor była zaskoczona.

– Wiem – powiedział ze zrozumieniem. – Ale tak się właśnie czuję. Kosmiczna czerń jest czystsza, bardziej uczciwa. Zawsze gdy wracam do domu, zostaję wciągnięty w politykę i zaczynam się bać, że awansują mnie do papierkowej roboty.

Powiedział to z taką odrazą, że Heath roześmiała się lekko.

– Na pewno zamiast tego mógłby pan wybrać robotę w public relations – zasugerowała.

Eric spojrział na nią z przerażeniem.

– Jest pani złą kobietą, komandor Heath.

Ponownie skupił się na odległej gwiazdzie, która teraz była widoczna wyraźniej od pozostałych i zaczynała wyglądać jak Słońce.

– Staram się – odparła z uśmiechem. – Przyszłam zobaczyć, czy pan nie śpi, bo wywołał nas admirał Tanner chwilę po tym, jak skoczyliśmy do układu. Uznałam, że będzie pan chciał o tym wiedzieć.

– Dziękuję. Wyślę standardową odpowiedź i porozmawiam z nim za parę godzin, gdy się wyśpię.

– Powodzenia, komodorze.

Spojrzał na Heath z ukosa, po czym przewrócił oczami.

– Niech się pani wynosi, zanim zrobię coś niemiłego. Na przykład panią awansuję.

– Tylko nie to! – Zamachała rękami. – Do zobaczenia za kilka godzin.

– Do zobaczenia, komandorze.

Gdy wyszła, Eric spojrzał jeszcze raz na rosnącą gwiazdę, po czym ruszył do swojego gabinetu.

Czekała na niego wiadomość powitalna od admirała. Nagrał odpowiedź, przesłał ją, a potem zamknął system. Było już po północy czasu okrętowego, a na orbicie Ranquil mieli się znaleźć o świcie.

Postanowił iść spać i pozwolić trzeciej wachcie na wypełnianie obowiązków bez kapitana, który patrzy ludziom na ręce.

„Odyseusz” był zdecydowanie sporym okrętem.

Zbudowany tak, by korzystać z osobliwości o masie planety, miał mnóstwo krzywizn, których nie było na żadnej innej ziemskiej jednostce. Jednak każdemu, kto stał gdziekolwiek na pokładzie, wszystko wydawało się płaskie i normalne. Grawitacja była stabilna niemal na całym okręcie.

Istniały jednak wyjątki. Dwa punkty „Odyseusza” mogły zachowywać nieważkość z powodu interakcji rdzeni silnika, a kilka innych miało przez to zmienny poziom grawitacji.

W tym momencie pułkownik Deirdre Conner ćwiczyła w jednym z punktów o wysokim ciężeniu. Nie była to zalecana procedura. Nawet niewielkie zwiększenie grawitacji mogło znacznie podnieść ryzyko kontuzji, ale ona i jej marines szybko zrobili sobie z tej sekcji okrętu salę gimnastyczną.

Wokół niej ćwiczyło jeszcze kilku ludzi, co zdarzało się praktycznie zawsze, gdy „Odyseusz” podróżował. Jej kontyngent marines był

wielkości batalionu, z pięcioma setkami żołnierzy i wsparciem. Na okręcie wielkości „Odyseusza” miewała wrażenie, że to za mało, ale było to o pięciuset wyszkolonych wojskowych więcej, niż zwykle przydzielano na okręty morskie.

Konfederacja nawet bez komplikacji w polityce personalnej miała dość problemów z okrętami. Zdecydowano zatem, że marines zostaną na stałe przydzieleni do okrętów kosmicznych, zamiast zmieniać przydział przy każdej misji. Zwykle Deirdre czuła się zbędna na okręcie, nie miała najmniejszego wpływu na jego funkcjonowanie, a bezczynności nie cierpiała. Dlatego przynajmniej ćwiczyła.

Jeśli marines okażą się potrzebni, to będą naprawdę potrzebni, zwłaszcza gdy jednostka nie będzie mogła liczyć na wsparcie w promieniu dobrych kilku lat świetlnych.

Conner miała za zadanie pilnować, aby ludzie pozostawali w gotowości i nie sprawiali zbyt dużych kłopotów w czasie, kiedy nie byli potrzebni. Druga część jej misji okazała się zdecydowanie trudniejsza.

Brała ostatnio trzecią wachtę, bo próbowała rozwiązać pewien problem. Niektórzy z jej marines źle się zachowywali po nocach i chciała to sama ukrócić, zanim kapitan dowie się o wybrykach.

Na razie nie było to nic wielkiego, ale małe problemy mają tendencję do zmieniania się w duże.

Gdy jeden z jej marines podszedł z miną, jakby chciał chwycić za broń, był to znak, że na razie nie pozbyła się kłopotu.

– Co jest, sierżancie? – westchnęła, biorąc ręcznik z podajnika.

– Pułkowniku, bosman Dixon ma dwóch naszych ludzi w anclu za, cytuję, „naruszenie świętości maszynowni” – warknął starszy sierżant.

Conner skrzywiła się i po chwili odpowiedziała.

– Zarzygali ją w czasie tranzycji? – spytała nieco zmieszana. Gdyby się tak zdarzyło, rozumiałaby, gdyby kazał im posprzątać, nawet za pomocą szczoteczek do zębów, choć byłaby to przesada. Ale zamknięcie w anclu?

– Nie, pułkowniku. – Sierżant pokręcił głową. – Ktoś porzucił śmieci z magazynu po całym pokładzie. Bosman uważa, że to dwóch naszych. Jako że zaczął mówić o przeciąganiu pod kilem, uznałem, że przyjdę z tym do pani.

Conner narzuciła bluzę mundurową na przeupocony podkoszulek.

– Jeśli ma dowody, to będą żałować, że tego nie zrobił, zanim trafią w moje ręce – syknęła. – Głupie żarty to jedno, ale tego już za wiele.

– Tak jest. – Sierżant ruszył za nią w stronę wyjścia z sali gimnastycznej. – Ale to nie są ludzie, których podejrzewałbym o coś takiego.

– Nie spodziewam się, aby ktokolwiek z moich marines robił takie rzeczy. Zobaczymy zatem najpierw, jakie dowody ma bosman. Jeśli są twarde, to wykopię obu z okrętu. Będą musieli poczekać na Ranquil na transport do domu.

– Tak jest, ma'am.

Dixon patrzył spode łba na marines siedzących w niewielkiej celi i kręcił uszczelkami skafandra kosmicznego, gdy do pomieszczenia wmaszerowała pułkownik w eskorcie starszego sierżanta. Po raz pierwszy od ponad dwudziestu minut oderwał wzrok od swoich więźniów, stanął na baczność.

– Pułkowniku – zsalutował kobiecie o ponurej twarzy, która spojrzała najpierw na marines, a potem na niego.

– Ponoć ma pan problem z moimi ludźmi – powiedziała krótko. – Zapewne dysponuje pan nagraniem?

Było to bezpieczne przypuszczenie. Cały okręt był monitorowany, a szczególnie maszynownia. Dixon jednak skrzywił się.

– Wszystkie kamery na pokładzie przestały działać w tym samym czasie – mruknął. – Mam jednak nagranie, na którym tuż przed tym obaj wchodzi do magazynu. I proszę zobaczyć stan ich mundurów.

Conner uniosła brew i podeszła bliżej, aby przyjrzeć się swoim podwładnym. Wtedy zdała sobie sprawę, że są w opłakanym stanie. Byli cali w resztkach jedzenia. Wyglądali jak uczniowie podstawówki, którzy obrzucali się czym popadnie.

– Lepiej, żebyście mieli na to dobre wytłumaczenie, albo rozważę sugestię bosmana – warknęła.

Obaj marines, którzy stanęli na baczność, gdy tylko ją zobaczyli, zaczęli praktycznie przekrzykiwać się nawzajem, próbując złożyć nieskładne wyjaśnienia.

– Marines! – ryknął sierżant. – Przestaniecie zachowywać się jak dzieci albo zostawię was na kilka minut z bosmanem bez kamer. Zrozumiano?

Obaj spojrzeli ponad ramieniem sierżanta na minę bosmana i zamilkli.

– A teraz po kolei – dodał sierżant.

Spojrzeli po sobie, po czym jeden z nich, w stopniu kaprała, wystąpił naprzód.

– Sierżancie, pułkowniku... bosmanie. Naprawdę nie wiemy, co się stało. Przysięgamy. Szliśmy na kawę przed wachtą, gdy nagle starszy szeregowy Jan coś krzyknął. Odwróciłem się do niego i trafiło mnie w twarz... nie wiem co. Chwilę później leciał nas cały deszcz śmieci i odpadów, a my szukaliśmy schronienia.

– I znaleźliście je aż w maszynowni? – Bosman spojrzał na nich z niedowierzaniem.

– Chyba nie dobiegliśmy tak daleko. – Kaprał spojrzał znów na starszego szeregowego. – A może?

Conner odwróciła się do Dixona.

– Czy to możliwe, bosmanie?

Bosman z wahaniem skinął głową.

– Możliwe? Tak, ma'am. Ale czy prawdopodobne? Nie. Skoro kamery przestały działać, to ktoś wiedział, co robi. Nie wiem, jak mógł sprawić, że śmieci rozrzuciło tak daleko od magazynu. Każę swoim ludziom poszukać dowodów na tę... historię.

– Proszę to zrobić – odparła stanowczo Conner. – A tymczasem zabiorę marines. Wie pan, gdzie ich znaleźć w razie potrzeby.

Bosman nie był zbyt zadowolony, ale skinął głową.

– Tak, ma'am.

Sierżant krzyknął do obu marines:

– Marines! W prawo zwrot! Naprzód marsz! Raz, dwa...

Gdy wyszli z pomieszczenia, Conner odwróciła się do bosmana.

– Proszę dawać mi znać o postępach śledztwa. Albo moi marines zdecydowanie przegięli, albo ktoś zrobił sobie dość skomplikowany żart ich kosztem. Tak czy siak, chcę to wiedzieć.

– Oczywiście, ma'am. Sam jestem ciekaw – przyznał ponuro bosman. – Tak między nami, wątpię, aby to byli oni. Sprawdziłem ich akta, gdy na panią czekałem, i żaden nie dałby sobie rady z kamerami.

Spojrziała na niego z rozbawieniem.

– To po co było grozić przeciąganiem pod kilem?

Wzruszył ramionami i popatrzył na nią z odrobiną arogancji.

– A czemu nie? Jeśli są winni, to ich wystraszę. Jeśli są niewinni, to

też ich wystraszę. Powinni się mnie bać, ma'am. Taka jest naturalna kolej rzeczy.

Conner pokręciła głową i ruszyła do wyjścia.

- Spocznij, bosmanie. I proszę pamiętać, żeby mnie informować.
- Tak jest.

Na okręcie robiło się jaśniej, w miarę jak zbliżała się pierwsza wachta i wstawał pokładowy ranek.

Eric suszył włosy po wyjściu z łazienki. Wiedział, że niedługo znajdą się na orbicie Ranquil, ale będzie miał jeszcze sporo czasu na śniadanie i kilka kubków kawy, zanim porządnie zacznie dzień.

Ubrał się, po czym przejrzał rejestr wydarzeń z minionej nocy. Większość wpisów dotyczyła rutynowych kwestii technicznych. Ominął wzrokiem wszystko oznaczone szarym kolorem. Na razie nie były to rzeczy istotne.

Wpisy oznaczone na czarno oznaczały nieoczekiwane sprawy techniczne, ale nic, co zakłócałoby działanie okrętu. Przyjrzał im się, ale nie wnikał w szczegóły. Nie było na szczęście żadnych czerwonych wiadomości, oznaczających, że zdarzyło się coś zagrażającego bezpieczeństwu okrętu. Eric nie zacząłby dnia w dobrym humorze i miałby pretensje, że nikt go nie obudził.

Jednak niebieski wpis zatrzymał jego wzrok na nieco dłużej. Wyglądał na pomniejsze naruszenie dyscypliny, więc uznał, że zostawi problem oficerom ochrony i dowódcom marines. Konflikty były czymś nieuniknionym, gdy mieszało się marines z marynarką, nawet jeśli kosmiczna flota nie składała się z oficerów marynarki w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Jako że sam był marine, nawet jeśli obecnie tylko w głębi duszy, Eric dobrze wiedział, jak daleko zająć mogą „przyjazne” żarty i jakie przynieść konsekwencje.

Weston wyłączył ekran i w drodze do wyjścia założył kurtkę. Usłyszał za sobą huk zamykających się drzwi i odgłos uszczelniającej się śluzy.

– Kapitan na mostku!

– Spocznij – powiedział Eric do załogi, która stanęła na baczność.

Zrobił obchód mostka, przyglądając się statusowi każdego ze stanowisk.

– Steph... – zatrzymał się przy zagłębieniu dla pilota, tuż przed stanowiskiem dowodzenia. Stąd kapitan i pilot mieli idealny widok na główny ekran bez wchodzenia sobie w drogę.

– Dzień dobry. – Steph kiwnął głową.

– Dobry. Wszystko w porządku?

– Idzie jak w zegarku – odparł pilot.

Eric spojrział na główny ekran, na którym widać było obraz Ranquil.

– Jakie powiększenie?

– Stukrotne. – Steph nawet nie podniósł głowy znad panelu sterowania. – Szybko decelerujemy. Za godzinę powinniśmy wejść na orbitę.

– Dzięki – odparł Eric i zwrócił się w stronę stanowiska komunikacyjnego. – Jakies wieści z planety?

– Standardowe powitania, sir – odparł dyżurny chorąży.

– Zakładam, że odpowiedzieliśmy?

– Tak, sir.

Eric skinął głową, wrócił do swojego stanowiska i zasiadł w fotelu.

– Dobra robota.

Chorąży spojrział na niego i uśmiechnął się.

– Dziękuję, sir.

Ericowi nie chciało się wyjaśniać, że słowa skierował całego mostka. Reszta załogi służyła z nim dostatecznie długo, by to wiedzieć. Szybko przejrzał rejestr, po czym otworzył pliki, nad którymi ostatnio zaczął pracować.

Nie zdążył zrobić zbyt wiele, kiedy oficer komunikacyjny spojrział na niego z widocznym zaniepokojeniem.

– Sygnał z planety, sir.

– Przekierować do mojego stanowiska – odparł szybko Eric. Nie był pewien, o co chodzi, ale wiedział, że Tanner był dość doświadczoneym i cierpliwym dowódcą, żeby poczekać godzinę z czymś mało ważnym.

Na ekranie pojawił się admirał z ponurą miną. Wyraźnie się postarzał od ich ostatniego spotkania.

– Co się stało, admirale? – spytał Eric bez zbędnych wstępów. Coś musiało zajść, skoro ten pogodny człowiek był tak zaniepokojony.

– Właśnie straciliśmy kontakt z nową kolonią, kapi... komodorze – odparł admirał, ostrożnie wymawiając nowy dla niego stopień. – Wysłałem tam grupę okrętów, ale chyba pamięta pan, że gdy ostatnio jakiś układ zniknął nam z oczu, było to...

– Imperium – dokończył Eric.

– Tak.

– Wyruszymy natychmiast i zapewnimy wsparcie waszym okrętom. Żałuję, że nasza wizyta była tak krótka.

– Ja również chciałbym znaleźć czas na długą, spokojną rozmowę, komodorze – odparł Rael zmęczonym głosem. – Jednak los przyniósł nam coś innego.

– Zdanie się na los jest jak kapitulacja. Nie wierzę w żadną z tych rzeczy – stwierdził Eric. – Do zobaczenia po naszym powrocie.

– Będę czekał, komodorze. Powodzenia. Czy w to pan wierzy?

– Oczywiście. To tylko pech jest mitem, admirale.

Tanner skinął głową i przerwał transmisję. Eric wstał z fotela.

– Powiadomić resztę grupy, że mamy atak Imperium na układ Priminae. Okręty Priminae już są w drodze, ale dla pewności polecimy za nimi.

– Aye, aye, sir – odpowiedział oficer komunikacyjny.

– Sternik, najkrótszy kurs do heliopauzy. Przesłałem ci dane o docelowym systemie. Wygląda na to, że do naszego planu wrócimy później.

– Aye, aye – odparł Steph. Zaczął już wyliczać optymalny kurs do heliopauzy, który pozwoli im na szybki skok do zaatakowanego układu. – Około trzech godzin do skoku przy standardowej prędkości.

– Pełna bojowa moc silników – rozkazał Eric.

– Jest pełna bojowa moc. – Steph ponownie przeliczył dane. – Czterdzieści dwie minuty do skoku.

Dziewięć okrętów grupy zadaniowej „Odyseusza” leciało z zawrotną prędkością. Ich reaktory szumiały, w miarę jak coraz więcej mocy przepływało do napędów Alcubierre’a. W zwartym szyku przyspieszyły do maksymalnej bojowej prędkości. Błysk niebieskiego promieniowania Czerenkowa oznaczał punkt, w którym przekroczyły

prędkość światła w drodze ku krawędzi układu.

Zaś w zaskakująco małym biurze w centrum wojskowym Ranquil siedział drobny mężczyzna, który westchnął, życząc im powodzenia.

W dawnych czasach Rael Tanner nie chciałby dożyć dnia, w którym życzy komuś doświadczenia przemocy, ale najbardziej martwił się kolonią, z którą nagle stracili kontakt.

Jednak nie był już tą samą osobą. Na dobre czy na złe, był dzisiejszym Raelem Tannerem, admirałem floty Priminae, który wyszedł cało z dwóch ataków Drasinów... oraz człowiekiem, który musiał patrzeć, jak ludzie, których nazywał przyjaciółmi, wyruszają, by nieść przemoc w jego imieniu.

Nie bardzo wiedział, jak sobie z tym radzić.

Rozdział 6

Przestrzeń kolonii Priminae

Kapitan Druel Piers stanął na baczność, gdy na wszystkich pokładach „Zeu” rozległy się alarmy tranzycyjne. Powstrzymał chęć zwymiotowania i puścił mimo uszu odgłosy mdłości wydawane przez tych, którzy nie wytrzymali.

– Jesteśmy w docelowym układzie. Wszystkie okręty w gotowości.

Mruknął i machnął ręką. Nie musiał słyszeć, że tranzycja poszła dobrze, bo zakładał, że tak jest. Bardziej interesowało go, co dzieje się w układzie, w którym się znaleźli.

– Obraz z pasywnych sensorów.

– Tak, kapitanie – odparła jego zastępczyni. – Wciąż kompilujemy dane, na razie mamy to.

Przybycie do nowego układu z użyciem terrańskiego systemu tranzycyjnego oznaczało lot na ślepo. Mieli podstawowe skany dalekiego zasięgu, szczególnie pochodzące od dużych źródeł grawitacji, ale tylko w najbliższej okolicy punktu tranzycji. Poza tym byli ograniczeni do tego, co zaczęły odbierać skanery po tym, jak wykonali skok.

Ekranu wypełniały się stopniowo informacjami, podczas gdy pasywne skanery niestrudzenie pracowały w tle. Wyglądało na to, że przynajmniej siedem godzin temu kolonia była w nienaruszonym stanie, a wokół niej orbitował okręt.

– Czy mamy potwierdzenie, że to „Tetanna”? – spytał Druel.

– Nie, kapitanie – odparł oficer sygnałowy. – Pasuje do ogólnej konfiguracji, ale nie mamy wystarczającej rozdzielczości, by to potwierdzić, i nie otrzymaliśmy żadnych kodów.

– Dobrze. Pracujcie dalej, chcę zmapować ten układ tak szybko, jak się tylko da przy pasywnych.

– Tak, kapitanie.

Pol pochylił się nad konsolą.

– Nie widzę tu żadnych anomalii, kapitanie.

– Zakłócenie sygnału to dla mnie wystarczająca anomalia – odparł stanowczo Druel. – Namierzmy jego źródło i dowiemy się, co zaszło. Ale chyba nie ma wielkich wątpliwości. Tylko raz napotkaliśmy tego rodzaju urządzenie zakłócające.

– Tak, kapitanie.

Do czasu, kiedy „Odyseusz” natknął się na coś podobnego w innym układzie Priminae, tego rodzaju zakłócenie sygnału uważano za niemożliwe. Moc potrzebna do przerywania komunikacji nadświatłowej była ogromna, więc teraz dowódca „Zeu” nie miał wątpliwości, że pochodzi z tego samego źródła.

Imperium.

We współczesnym języku Priminae takie słowo nie istniało. Można je było znaleźć tylko w naprawdę starożytnych tekstach.

Druel właśnie to zrobił, gdy przedstawiono mu raport Terran, i sama definicja słowa budziła jego obrzydzenie. Okropna wydawała się idea ciała politycznego rządzonego siłą, a co gorsza, narzucającego swoją wolę innym.

Straszne.

Gorsze od Drasinów. Te bestie kierowały się instynktem, nie rozumem. Nie były niczym więcej niż siłą natury, niezależnie od pochodzenia. Ci... Imperialni... byli racjonalnie myślącymi istotami. Nie potrafił w żaden sposób wytłumaczyć ich działań, nie znajdował dla nich żadnego usprawiedliwienia. Byli po prostu obrzydliwi – i w słowach, i w uczynkach.

Jego myśli przerwała zastępczyni, zwracając mu uwagę na obraz.

– Kapitanie, „Tetanna” opuszcza orbitę.

Druel przyjrzał się uważnie wyświetlaczowi.

– Czy coś zobaczyli? Jesteśmy w stanie to określić?

– Chyba nie znaleźli nic nowego – pokręciła głową kobieta. – Ich odlot jest niespieszny, wydają się ruszać w stronę jednego z punktów Lagrange’a.

Druel spojrział na telemetrię, którą nadal odkodowywali, i zmarszczył brwi. Punkty Lagrange’a układu gwiazdowego były miejscami, gdzie wszystkie masy w danym systemie zmniejszały grawitację do niemal zera. Istniały dziesiątki stabilnych, głównych punktów i setki czy tysiące bardziej marginalnych.

Musieli uzupełnić skany układu.

– Szkoda, że nie było nas tu wcześniej, żeby złapać ich impuls –

westchnął ponuro kapitan.

Niestety, chociaż patrzyli na ruchy okrętu, Druel był świadom, że echa jego impulsu grawitacyjnego dawno już się rozmyły.

Załoga mostka patrzyła, jak „Tetanna” zajmuje pozycję przy jednym z najstabilniejszych punktów Lagrange’a w pobliżu planety i pewnie wysłała wiązkę skanera nadświatelnego. Co tamci wykryli, na razie Druel mógł spekulować, ale nagła zmiana struktury pancerza okrętu i osłon na tryb bojowy oraz raptowne przyspieszenie dawały niezły ogląd sytuacji.

– Dowiedzcie się, co zobaczyli. Natychmiast! – rozkazał wszystkim na mostku.

– Tak, sir!

– Niszczyciele wroga są niemal w zasięgu strzału, kapitanie.

Drey skinął głową. Oczekiwał na tę chwilę już od jakiegoś czasu.

– Przygotować plan manewrów unikowych – rozkazał.

Wszelkie manewry pozwalające uniknąć trafienia zwiększały jednocześnie czas, przez który znajdowali się w zasięgu broni przeciwnika. Gdyby jednak utrzymali stały kurs, atak mógł się okazać o wiele bardziej skuteczny. Pytanie brzmiało, która opcja byłaby niebezpieczniejsza dla „Tetanny”.

Jako że aż dziewiętnaście wrogich okrętów zapewne właśnie do nich strzelało, tak czy inaczej nie mogli stać w miejscu. Gdyby strzelili równocześnie i trafili, nawet opancerzenie „Tetanny” by tego nie wytrzymało.

Drey spojrzął na wskaźnik odległości od celu, przeliczył czas, kiedy dotrą do nich pierwsze salwy laserów wroga, i zaczął odliczać w myślach.

„Pięć... cztery... trzy...”

– Przygotować się na trafienie – rozkazał, mocno chwytając się fotela, choć wiedział, że niewiele to da.

Nie było uderzenia, ale dało się poczuć wibrację na całym pokładzie. Odezwał się alarm.

– Laser przebił pancerz na bakburcie – zaraportował jeden z oficerów. – Zespoły naprawcze są w drodze.

- Czy znamy częstotliwość impulsu? – zapytał Drey.
- Tak, sir – odparła Helena.
- Dopasować pancierz. Utrzymać kurs i prędkość – rozkazał.
- Manewry unikowe? – spytała, przekazując dalej rozkazy przez konsolę.

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Znamy częstotliwość tego, który nas trafił. Jeśli ostrzeliwują szerszy obszar, może nam się poszczęścić i dostaniemy tylko od tego jednego, zanim zorientują się, że nie robimy uników. Dopasować pancierz i utrzymać kurs.

– Tak, kapitanie.

Zwierzchniczka Misrem spoglądała groźnie na ekrany. Jej okręt podążał za niszczycielami i nie mogła się doczekać, aż pozna wynik starcia.

– Niszczyciele ostrzeliwują cały obszar, w którym może manewrować cel – oznajmił jej zastępca. – Pierwsza salwa powinna już ich trafić. Za kilka sekund poznamy wyniki.

– Dobrze. Przekaż wyrazy uznania kapitanom i załogom oraz upewnij się, że nie przestają strzelać. Wolę, żeby przepalili działa, niż przerwali pościg, zanim wróg będzie martwy lub znajdzie się poza naszym zasięgiem.

– Tak jest, zwierzchniczko.

Wstała znad ekranów i przyjrzała się załodze mostka. Wszyscy byli skupieni na swoich zadaniach.

Walka przy tak ekstremalnych odległościach była jednym z najbardziej stresujących aspektów pracy każdego dowódcy i oficera. Błędy mogły mieć bardzo poważne konsekwencje, a różnica czasu między decyzjami a poznaniem ich rezultatów sprawiała, że ludzie byli skłonni częściej je popełniać. Łatwo zapomnieć, że można zostać ugotowanym lub zamrożonym żywcem, jeśli wróg znajduje się bardzo daleko.

Wyglądało jednak na to, że jej oficerowie poważnie traktują swoje obowiązki. Skupiła się więc znowu na obrazie rozgrywającej się powoli bitwy.

– Pierwsze trafienie, zwierzchniczko. Zabraliśmy im nieco powietrza.

Skinęła głową z satysfakcją. Na razie wszystko szło zgodnie z planem.

– Kontynuować.

„Tetanna” przyspieszała z maksymalną mocą. Niszczyciel trafił ją jeszcze dwukrotnie, ale otrzymany od Terran pancierz adaptacyjny bez problemu poradził sobie z potężnymi promieniami.

Drey pocił się jednak przy każdym trafieniu i próbował zdecydować, w którym momencie zmienić rozkazy. Określenie, kiedy wróg dostosuje taktykę do sytuacji, było tu kluczowe. Gdyby niszczycielowi się poszczęściło, mógłby uszkodzić „Tetannę” na tyle, by ją spowolnić, co oznaczałoby starcie z krążownikami.

– Manewry unikowe – rozkazał niechętnie.

– Zmieniam kurs – odpowiedział natychmiast sternik. „Tetanna” zmieniła kurs i zmniejszyła przyspieszenie, żeby zmylić przeciwnika.

Drey zagryzł wargę, widząc, że manewr przedłużył przewidywany czas starcia o prawie trzydzieści minut.

Wspomagane komputerowo systemy wyświetlały tory laserowych promieni wokół nich, śledząc je dzięki odbiciom od drobinek materii. Patrzył, jak promień za promieniem przelatuje przez miejsce, w którym by się znajdowali, gdyby nie zmiana kursu, i pokręcił głową.

„Za szybko. Nie doceniałem ich. Cholera”.

Jeszcze mocniej zaklął, gdy poczuł drżenie okrętu. Rozległ się alarm o uszkodzeniach.

– Draśnięcie na sterburcie – usłyszał. – Bez przebicia pancierza.

– Pełne przyspieszenie bojowe – rozkazał Drey. – Jak najszybszy kurs na obrzeże układu.

– Tak jest, kapitanie. Pełne przyspieszenie bojowe, najszybszy kurs.

„Tetanna” znów przyspieszyła, podczas gdy przestrzeń wokół niej przecinały promienie laserów.

– Co to jest? – syknęła Misrem, wpatrując się w ekran.
– Wygląda na refrakcję jednego z naszych laserów – odparł jej zastępca, marszcząc brwi.
– Wiem – warknęła. – Ale jak to robią? Dostają raz za razem, ale poza pierwszym trafieniem nawet ich nie drasnęliśmy.
Uderzyła pięścią w pulpit konsoli i wstała.
– Dobrze, mają coś, czego nie przewidzieliśmy. – Odetchnęła głęboko. – Przy tej odległości nasze lasery nie są dość rozproszone, by normalny pancierz je w ten sposób odbił.
Zamilkła na chwilę i znów spojrzała na ekrany.
– Kapitanie!
– Zwierzchniczko? – Dowódca jej okrętu flagowego odwrócił się od stanowiska koordynacji lotu.
– Wciąż ostrzeliwujemy szerszy obszar wokół okrętu wroga, tak? – spytała, choć znała odpowiedź.
– Oczywiście, zgodnie z rozkazem.
– Potrzebujemy próbki ich dziwnego pancerza – oznajmiła Misrem.
– Chyba wiem, co tu się dzieje. Kapitanie, nowe rozkazy dla niszczycieli.
– Tak, zwierzchniczko?
– Kontynuować szeroki ostrzał. Ale do każdego sektora mają być przydzielone przynajmniej trzy niszczyciele.
Kapitan wydawał się oburzony.
– Zwierzchniczko, to zmniejszy szanse na trafienie ponad trzykrotnie...
– Zdaję sobie sprawę. Wykonać rozkaz – odpowiedziała beznamiętnym tonem.
Milczał przez chwilę, po czym powoli skinął głową.
– Tak, zwierzchniczko.
Misrem wróciła do ekranów.
„A teraz zobaczymy, czy mam rację”.

– Tutaj!
Druel odwrócił się, patrząc na miejsce, które wskazywała jego zastępczyni.
Komputery „Zeu” pokazywały, że w końcu zlokalizowali wroga.

Zaklął, widząc liczebność wrogich sił.

– To grupa bojowa – mruknął z obrzydzeniem i przestraczem jednocześnie.

Jego własna eskadra była dużo mniejsza. Chociaż Druel nie miał wątpliwości, że jeden do jednego okręty Priminae mogłyby mierzyć się z wrogimi jednostkami, przewaga liczebna stanowiła problem. Nie miał jednak wielkiego wyboru.

– Skupić komputery na ich lokalizacji – rozkazał. – Nawigator, kurs przechwytyjący, gdy tylko zdobędziemy dość danych telemetrycznych.

– Tak, kapitanie – usłyszał.

Druel odwrócił się do zastępczyni.

– Ruszają się wewnątrz układu, a to oznacza działania ofensywne. Pytanie, czy za cel obrali planetę, czy „Tetannę”. Cokolwiek postanowili, powstrzymamy ich na tyle, na ile zdołamy.

– Zrozumiano, kapitanie – odparła kobieta z wahaniem. – Posiadają znaczną przewagę liczebną. To zmniejszy skuteczność terrańskiego pancerza.

– Wiem, ale nie mamy innych opcji. Musimy to zrobić – powiedział stanowczo.

„Tetanna” zatrzęsała się od kolejnych trafień, które w większości jedynie drasnęły pancerz, ale z każdą minutą drażyły kadłub. Drey skrzywił się, widząc raporty o uszkodzeniach. Ludzie z ekip naprawczych starali się łątać krytyczne miejsca.

Byli teraz na optymalnym kursie przy pełnej bojowej mocy silników i próbowali uciec z zasięgu wroga, ale Drey wiedział, że jego okręt czekają kolejne minuty pod ostrzałem, zanim wydostanie się z matni.

Teraz, gdy przeciwnik znał ich kurs, Drey musiał podjąć trudną decyzję: wykonywać nadal manewry unikowe czy uciec w stronę heliopauzy bez oglądania się za siebie.

Warknął, gdy poczuł kolejny wstrząs.

– Utrzymać kurs – rozkazał. – Helena, połącz się z obsługą głównego reaktora. Niech dadzą z siebie wszystko.

– Tak, kapitanie.

Pochylił się nad konsolą i obserwował holograficzny obraz pola bitwy. Krążowniki wroga nadal znajdowały się poza zasięgiem, jako że tylko mniejsze i szybsze okręty były w stanie zniwelować początkową przewagę dystansu „Tetanny”. Mimo wszystko przeciwników było jednak dość, by zagrozić życiu jego załogi.

Walkę w kosmosie można było zredukować do względnie prostych obliczeń matematycznych. Ograniczenia prędkości, odległość i bezwładność – nawet w przypadku okrętów z kompensacją inercyjną – decydowały o wyniku starcia, zanim oddano pierwszy strzał. Niepewny był jedynie czynnik ludzki, nieoczekiwane działania wynikające z geniuszu lub głupoty.

Drey miał nadzieję, że geniusz będzie po jego stronie, a głupotą wykaże się wróg. Wolał jednak szczególnie na to nie liczyć.

– Kolejne trafienie, zwierzchniczko. Skanujemy opary – powiedział zastępca, nie odwracając się.

Misrem skinęła głową, zadowolona, że miała rację.

– Czy wciąż rejestrujemy nieskuteczne trafienia?

– Tak... – odparł zastępca z wahaniem w głosie.

– Chcę wiedzieć, które z naszych okrętów oddały nieskuteczne strzały. Przeanalizować to.

– Hmm... – Mężczyzna wydawał się zdezorientowany, ale mógł odpowiedzieć tylko jedno. – Tak jest, zwierzchniczko.

Misrem rozsiadła się w fotelu.

Potwierdziła tylko to, co już wiedziała. Pancierz wroga był w stanie dostosować się do konkretnej częstotliwości promienia. A przecież nawet najlepsi producenci broni nie potrafili wyeliminować wariantowości promieni – nigdy nie były identyczne.

„To dość imponujące” – musiała przyznać. „Bez tego już zniszczylibyśmy im rdzenie napędu”.

Widać było, że nawet te co skuteczniejsze promienie nie powodowały tylu uszkodzeń, ile powinny, co znacznie przedłużało bitwę. Jako że czas grał na korzyść wroga, Misrem robiła, co mogła, by nie okazywać frustracji. Utrata opanowania w czasie walki, w której mieli miażdżącą przewagę, nie byłaby dobrze widziana przez załogę.

Złoszczenie się na przegraną to jedno, ale atak furii w czasie słabego nawet zwycięstwa sprawiłby, że zaczęłaby uchodzić za niezrównoważoną.

To było nie do zaakceptowania.

Dźwięk powiadomienia sprawił, że jej zastępca spojrział w dół. Z jego miny Misrem wywnioskowała, że nie musi pytać, co zobaczył.

– Nieskuteczne strzały pochodziły wszystkie z jednego okrętu, prawda? – spytała z lekką arogancją w głosie.

– Tak, zwierzchniczko. Skąd...

– Nie martw się – odpowiedziała od niechcenia, wprowadzając tę informację do dziennika razem z sugestią nowej rekomendowanej procedury bojowej. – Kontynuować zgodnie z rozkazem.

– Tak jest, zwierzchniczko.

Druel przygryzł wargę, patrząc na dane telemetryczne, pokazujące początkowy etap bitwy.

„Polecili prosto do planety, nie zostawiając naszemu okrętowi wyboru. Musiał wziąć udział w starciu, chociażby nawet bardzo krótko”.

Nie znał osobiście kapitana „Tetanny”, ale miał on dobrą reputację i był oddany dobru kolonii. Inaczej nie otrzymałby przecież dowództwa nad takim okrętem. To, że nie mógł nic zrobić, aby ocalić kolonię, nie wpłynęłoby na jego nieuchronną decyzję: Druel mógł wnioskować po wektorach lotu, że Drey Marina musiał zdecydować się na szybki atak i wycofanie zamiast samobójczej walki czy zwyczajnej ucieczki.

„Widać wpływy osławionego kapitana Westona” – stwierdził Druel. Dawniej rozważano by jedynie opcje ucieczki albo śmierci w walce.

– Sternik – odezwał się kapitan, przeliczając dane. Uznał, że mają minimalną szansę zainterweniować.

– Tak, kapitanie?

– Najkrótszy kurs przechwytyjący do prowadzących okrętów przeciwnika. Prostopadle do kursu „Tetanny”.

– Tak, kapitanie. Za chwilę przeliczę kurs.

– Przesłać rozkaz do reszty grupy i ruszyć z pełną mocą.

– Tak jest, kapitanie

Wydawszy rozkazy, Druel wrócił do obserwowania rozwoju sytuacji na ekranach.

„Byłoby to ciekawe starcie” – uznał. Na wyświetlaczach pojawiały się coraz dokładniejsze dane, w miarę jak światło docierało do skanerów.

„Tetanna” obrała standardowy wektor wyjścia z układu, w kierunku zgodnym z kursem grupy bojowej „Zeu”. Nie było to jedynie kwestią szczęścia, jako że kurs prowadził także do najbliższej centralnej kolonii Priminae, skąd właśnie przybyły ich okręty.

Teraz niewielka grupa bojowa Druela i wrogie okręty kierowały się prosto na siebie, zaś „Tetanna” znajdowała się pomiędzy nimi. A przeciwnik wydawał się zbyt skupiony na ściganej jednostce, by zdać sobie z tego sprawę.

Wielkim okrętem znów zatrzęsło, gdy trafiła w niego kolejna wiązka laserowa. Przez wyrwę w kadłubie próżnia wysysała atmosferę, powodując śmierć kolejnych członków załogi. Drey zacisnął dłonie na krawędzi konsoli. Próbował nie myśleć o tym, co działo się z okrętem i ludźmi.

Drey nie był skory do przemocy, a nawet sobie nie wyobrażał, że mógłby być.

Jednak w tej chwili miał wielką ochotę odwrócić okręt i wycelować główne lasery we wroga. Mógłby to zrobić. Silniki pozwalały na odlot z układu nawet, gdyby dziób skierowany został w odwrotną do kursu stronę, ale okazałoby się to mało wydajne, a przy rosnącej wciąż odległości trafienie w cel z tylko jednym okrętem nie byłoby warte spadku przyspieszenia.

Nic konkretnego nie mógł uczynić i zjadało go to od środka.

„Czy taka jest wojna? Czekanie, aż zginę, zabijanie albo patrzenie bezsilnie, jak robią to inni? Jak Terranie sobie z tym radzą?”

Rozdział 7

Imperialna grupa zadaniowa

Misrem pochyliła się niżej ku konsoli, obserwując rozwój starcia. Używanie terminu „bitwa” byłoby trochę na wyrost. Zastawiła raczej zasadzkę i to, że okręt Przysiężnych po prostu nie uciekł od razu ani nie popełnił jakiegoś idiotycznego błędu, robiło na zwierzchnicze wrażenie.

Wymiana ciosów między uciekinierami a okrętami Imperium rozbudziła jej ciekawość. Z zainteresowaniem przyglądała się napływającym danym.

Nieliczne trafienia Przysiężnych zadawały dużo większe straty, niż wynikałoby z samej mocy laserów. To oznaczało, że w ich broni było coś nowego, może powiązanego z ulepszonym pancerzem, którego sekret chyba już rozgryzła.

„Jakiś system adaptacyjny. Ciekawe, czy z ich laserami aby nie jest podobnie?” Misrem zanotowała to w dzienniku pokładowym, aby upewnić się, że jeśli ona się tego nie dowie, zrobi to jakiś inny oficer Imperium.

Okręt Przysiężnych był w stanie niemalże ignorować ataki jednego z jej niszczycieli, podczas gdy pozostałe prowadziły ostrzał z różną skutecznością.

Zanotowała także to, po czym zaczęła sporządzać listę rozkazów na przyszłość.

– Nowy sygnał.

Misrem oderwała się od pracy i spojrzała na obraz ze skanerów dalekiego zasięgu.

– Analiza – warknęła.

– Skany grawitacyjne pasują do krążowników Przysiężnych, ale wciąż czekamy na sygnatyry napędów.

– Co? – Zmarszczyła brwi.

To nie miało sensu. Krążowniki mogły pozostać niezauważone do czasu wykrycia przez skanery grawitacyjne, ale gdy jej okręt

skierował na nie wszystkie instrumenty, bierne powinny coś wykazać.

– Żadnego wyjaśnienia – odparł sfrustrowany technik. – Zupełnie jakby po prostu się tam zjawili. Nie mamy o nich żadnych danych.

„Czy oni tam cały czas czekali?” – pomyślała. Nie miało to sensu. Dlaczego dopiero teraz odpalaliby napędy grawitacyjne?

Podeszła bliżej głównego ekranu, żeby lepiej przyjrzeć się liczbom. Nadal zupełnie się nie kleiły.

– Jak dostali się tak blisko? – rzuciła gniewnie. – Jeśli ktoś ich przegapił...

– Nie, zwierzchniczko – odpowiedział od razu technik, zaskakująco stanowczo. – Nikt nic nie przegapił. Sam przejrzałem skany, ale może pani to zrobić osobiście. Nic tam nie było aż do tej chwili.

Spojrzała na niego z ukosa, aż odwrócił wzrok, ale nie podważyła jego opinii. Wiedział, że wszystko sprawdzi, a jeśli ją okłamał, skróci go o głowę.

„Nie, o ile nie jest kompletnym idiotą, musi mówić prawdę”.

Spojrzała ponownie na ekrany, oceniając liczebność wroga.

Nie miał dość sił, żeby zmienić wynik starcia, ale jeśli zamierzał walczyć, na pewno będzie ją to trochę kosztować.

Mogła jednak pogodzić się z tymi stratami, jeśli dzięki nim wykona misję. Przybycie nowych sił przeciwnika mogło być dla niej nawet potencjalnie korzystne.

– Kiedy dostaniemy dane o ich kursie? – spytała cicho, spoglądając na główny ekran.

– Jeszcze kilka godzin, zwierzchniczko.

– Dokładniej, proszę – odpowiedziała nerwowo. Wróciła na swój fotel. – Na moją konsolę. Teraz.

Gdy miała na ekranie liczby, zaczęła oceniać możliwości.

„Może będzie całkiem dobrze”.

Okręt Priminae „Zeu”

Grupa zadaniowa szybko przyspieszała w dół studni grawitacyjnej lokalnej gwiazdy. Druel wiedział, że niedługo dane o ich kursie dotrą do „Tetanny” i wrogiego krążownika. Zapewne jedni i drudzy już wiedzieli o przybyciu grupy, ale niedługo powinni otrzymać dokładniejsze informacje.

Na razie jednak nie wyglądało na to, aby wróg reagował na przybycie nowych jednostek.

„To nie wygląda dobrze” – pomyślał Drey. Jeśli postanowili przeprowadzić atak na ten układ, wiedział, że jego grupka nie zdoła ich powstrzymać. Musieliby pójść za przykładem „Tetanny” i próbować uderzyć, a następnie wycofać się, wiążąc wroga w miarę możliwości. Ale jeśli nie nadejdzie pomoc, trzeba będzie w końcu zdecydować, czy zostać i walczyć aż do śmierci, czy też uciec, by walczyć innego dnia.

Nie mieli szansy na nic więcej niż kupienie mieszkańcom kolonii kilku godzin, może dni.

„Ale zanim do tego dojdzie, przynajmniej wykrwawimy ich na tyle, na ile zdołamy”.

„Tetanna”

– Mamy potwierdzenie, kapitanie. To okręty Priminae.

Drey odetchnął z ulgą. Jego jednostka traciła powietrze na niemal wszystkich pokładach, a kolejne trafienia wciąż przecinały pancierz. Gdyby nadchodzące okręty okazały się wrogiem, oznaczałoby to koniec.

Wtedy jedyną szansą byłoby poddanie się... albo ostateczny atak, by zadać tyle strat, ile zdoła przed zagładą.

Drey cieszył się, że nie musi podejmować takiej decyzji.

– Ustalić ich kurs i porównać z naszym i wroga – rozkazał.

Na dużym wyświetlaczu holograficznym pojawiły się trzy wektory. Przyjrzał im się uważnie, aby zdecydować o najlepszym ruchu.

Napastnicy byli coraz bardziej w tyle, ale był to powolny proces. „Tetanna” straciła na przyspieszeniu z uwagi na uszkodzenia, choć miała wkrótce wyjść poza zasięg broni przeciwnika. Gdy to się stanie, będzie mógł swobodnie opuścić układ.

Ale teraz, gdy przyleciały posiłki, Imperialni mogli się wycofać.

Chociaż, prawdę mówiąc, Drey nie spodziewał się tego. Na razie dowódca wroga wydawał się mało zainteresowany losem własnych ludzi, więc Drey nie oczekiwał, że przejmie się cudzym.

– Utrzymać optymalny kurs ucieczki – rozkazał. Okręty Priminae wyraźnie dopasowały kurs do „Tetanny” i nie widział powodu, aby zakłócać ich plany.

Nie, gdy wymagały one jedynie, by nadal robił to, co już uznał za najlepszy wybór.

Imperialna grupa zadaniowa

– Przesłać rozkazy do wszystkich okrętów – powiedziała Misrem.

– Tak jest, zwierzchniczko. Rozpocynam przesyłanie – odpowiedział od razu zastępca.

Za pomocą gestu przekazała je mężczyźnie, który natychmiast przesłał plik oficerom taktycznym poszczególnych okrętów.

Na ekranie niemal od razu ujrzała wyniki. Kilka okrętów zmieniło nieco szyk. Jeden z krążowników miał wycofać się z dotychczasowej formacji, zastąpiony przez dwa inne.

Zgodnie z rozkazem okręty wystrzeliły.

– Teraz czekamy – powiedziała, zaskakując kilka osób.

Misrem nie chciało się wyjaśniać. Nie musiała. I tak wykonywali rozkazy, nawet jeśli ich nie rozumieli.

Minęło kilka sekund, podczas których przeliczała odległość między swoimi jednostkami a zwierzyną.

Gdy minęło odliczanie, nie stało się nic.

Nie na ekranach, ale Misrem uśmiechnęła się i wstała z fotela.

– Wstrzymać ogień – rozkazała. – Do wszystkich okrętów, wstrzymać ogień.

– Ma’am? – Zobaczyła zaskoczenie na twarzy zastępcy.

– Słyszeliście mnie. Wszystkie okręty mają wstrzymać ogień. Mamy ich. Nie musimy niszczyć zdobyczy.

– Tak, zwierzchniczko – odparł zastępca niepewnie.

Misrem zignorowała go i zaczęła wydawać dalsze polecenia.

– Przygotować Pasożyta do abordażu. Pełna załoga. Czekać na następne rozkazy.

Jak stwierdził Drey, powinien wiedzieć, że za dobrze im idzie.

Znaleźli się niemal poza zasięgiem dział wroga, gdy to się stało.

„Tetanna” była przyzwyczajona do pewnego wzorca strzałów

przeciwnika. Dopasowali pancierz do jednego z niszczycieli, a jako że znali kąt strzału, mogli bezpiecznie ignorować ataki z jego strony.

Ale w pewnej chwili oczekiwane promienie nadleciały nie tylko ze zmienioną częstotliwością, ale również z dwukrotnie większą gęstością. Wtedy wszystko się zmieniło.

„Tetanna” przekręciła się w przestrzeni, gdyż wyciek powietrza wytrącił ją z kursu. Przechyliła się na tyle, że załogą rzuciło o podłogę. Drey nie myślał nawet, że to możliwe.

Wokół rozległy się alarmy. Podniósł się i przyjrzał otaczającym go ekranom, próbując stwierdzić, co się stało, ale było już zdecydowanie za późno.

– Straciliśmy przyspieszenie! Dryfujemy!

„Zaraz nas dogonią” – pomyślał z rozpaczą Drey. „Byliśmy tak blisko!”

Niestety, nie miało to już znaczenia.

– Ekipy naprawcze! – rozkazał. – Uruchomić silniki!

– Kapitanie...

Drey spojrzał na zastępcę.

– Co jest?

– Cisza.

Przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi. Wokół ogłuszająco wyły syreny, ale w końcu dotarło do niego. Nie było już słycać odgłosów rozcinania kadłuba przez lasery. Właśnie ten dźwięk ustał.

– Przestali strzelać – szepnął. – Dlaczego przestali strzelać?

Rozdział 8

Przestrzeń kolonii Priminae

– Tranzycja zakończona!

Podczas gdy komunikat rozlegał się w głośnikach, Eric drżącymi palcami chwycił się poręczy przed nim.

Miał mocniejszy żołądek niż wielu członków załogi, ale i tak musiał walczyć z odruchem wymiotnym. Na pewno nie miał zamiaru zwracać na swoim mostku flagowym. Wziął kilka głębokich oddechów i wyprostował się.

Komputery „Odyseusza” zalewały już sygnały, ale na razie tylko pozostałe Herosy i trzy Włóczęgi były na ekranie. Inne okręty musiały wyjść dalej niż w odległości kilku sekund świetlnych.

„Jest już »Boadicea« i jej eskorta” – pomyślał, zanim na ekranie pojawiły się w końcu wszystkie okręty.

Wszystko jak trzeba.

Skupił się na układzie, w którym się znaleźli. Wyraźnie widział zakłócenia w komunikacji nadświatłowej, rozpraszające ich skany tachionowe. Mimo to wykrywali ślady lokalnej sieci Priminae.

„Dobrze wiedzieć, że wciąż nadają – pomyślał Eric – może nie jest za późno”.

– Zobaczcie, czy uda się połączyć z lokalną siecią. – rozkazał. – Przy tak intensywnym zakłócaniu zapewne nie będzie tam wiele przydatnych informacji, ale lepiej sprawdzić wszystko.

– Tak, kapitanie – odpowiedział oficer komunikacyjny.

– A tymczasem... – Eric wcisnął przycisk na panelu, łącząc się z siecią bojową swojej grupy. – Włóczęgi, utrzymać szyk rozproszony i ciszę. Lećcie w cieniu Herosów. Będziemy waszymi tarczami. Nie pokazujcie się do chwili, aż uzyskacie szansę na dobry strzał. Nie chcemy marnować okazji. „Boadicea”, „Bellerofont” – kontynuował. – Formacja delta. „Odyseusz” leci na czele...

– Kapitanie – przerwał mu oficer sygnałowy – mamy wstępne skany układu. Wykrywamy wyładowania energii w głębi studni. Wyglądają

na lasery.

– Jak głęboko?

– Jakieś dwie godziny świetlne, sir. I lecą w naszą stronę, zważywszy na dotychczasowy wektor.

Eric zastanowił się.

To miało sens, jako że przybyli od strony centralnych światów Priminae. Każdy, kto uciekałby z tego układu, zapewne kierowałby się właśnie tam. Oznaczało to również, że namierzyli okręty Priminae w trakcie ucieczki, bo siły Imperium wycofywałyby się raczej w stronę własnego terytorium.

Musiał założyć, że jego rozumowanie jest prawidłowe. W grę wchodziło mnóstwo czynników, ale musiał działać na podstawie posiadanych informacji.

– Steph, kurs przechwytyjący na przewidywane wektory tych rozbłysków. Pełne przyspieszenie bojowe.

– Aye, aye, skipper. Pełne przyspieszenie bojowe – potwierdził Steph, błyskawicznie przeliczający wektory nawigacyjne. – Będziemy w drodze za sto dwadzieścia sekund.

Eric nie mówił nic więcej. Wiedział, że jego okręty ruszą za dwie minuty, i to mu wystarczyło. Komputery wciąż pracowały nad odkodowaniem danych z układu. Było ich jednak zbyt wiele, żeby udało się przetworzyć wszystkie w rozsądnym czasie.

Komodora najbardziej interesował obszar wokół rozbłysków energii, więc tam skierowana została większość mocy obliczeniowej. Eric dopilnował również, aby komputery nie ignorowały reszty układu. Wszędzie mogli trafić na niespodzianki.

– Widzę liczne rozbłyski laserów przez... przynajmniej trzydzieści sekund – odezwał się do Heath. – Musi tam być minimum dwadzieścia okrętów.

– Więcej, sir – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od ekranów. – Jest tam przynajmniej pełna grupa bojowa przeciwko... nie wiem ilu.

– Która strona jest w dupie? – spytał cicho.

– Naprawdę musi pan pytać?

Eric skrzywił się.

– No cóż, niedługo dowiedzą się, że tu jesteśmy. Więc gdy Włóczęgi dobrze się ukryją, chcę zapowiedzieć nasze przybycie... stylowo.

– Transmisja na cały układ?

– I pokażmy nasze barwy.

Heath przechyliła lekko głowę, zmrużyła oczy.

– Śmiały ruch, kapitanie. Żadnego skradania się?

Parsknął.

– W Herosie? Nie, zostawimy to Włóczęgom. Jak już mówiłem, i pewnie wielokrotnie powtórzę, nie jesteśmy zgrupowaniem lotniskowców. „Odyseusz” oraz pozostałe Herosy to okręty liniowe i tak będziemy walczyć. Wciśniemy im lufy do gardeł, żeby zobaczyć, jak im posmakują.

– Będą mieli przewagę liczebną, sir.

– Przyda im się.

Podczas gdy trzy Herosy przybrały trójkątną formację i zaczęły zakrzywiać przestrzeń w dół studni, sześć towarzyszących im Włóczęgom przestawiło się na czarne, pochłaniające energię ustawienia pancerza.

Na pokładzie „William H. Bonneya” kapitan Sheila McGavin spoglądała na obraz z własnych komputerów jednostki zamiast na przesył z Herosów. Walka w układzie była na tyle zażarta, że nie miała wątpliwości, co się dzieje. Wciąż jednak żałowała, że nie dysponują większą ilością danych.

Podczas poprzedniego spotkania z tymi draniem „Hood” został przecięty na pół. Spora część załogi została na szczęście ewakuowana, ale McGavin wolałaby, aby jej okrętu nie spotkał podobny los.

– Sternik, przesyłam wektor. Wyjdziemy spod ekliptyki. Potwierdzić.

– Potwierdzam – odpowiedział natychmiast sternik. – Wykonać od razu?

– Czemu nie? Jesteśmy przyciemnieni, czas się schować.

– Tak jest. Kurs wprowadzony. Pełna moc silników.

„Bonny” zatrzęsł się lekko, opadając poniżej płaszczyzny wiatrów słonecznych i przyspieszając.

– Mam nadzieję, że się uda – szepnęła Sheila na tyle cicho, by nikt jej nie usłyszał.

Skupiła się teraz na lecących przodem Herosach. Przeklęła pod nosem, gdy zmieniły standardowe kolory na pełne regalia. „Odyseusz”

mienił się na niebiesko i srebrno.

– Cholera, wygląda na to, że komodor z niczym się nie kryje! – zauważył Grant.

Sheila pokręciła głową, nie patrząc nawet na pierwszego oficera.

– Na to wygląda.

Grant Mitchel zagwizdał, gdy okręty skończyły wyświetlać barwy i uruchomiły pełną moc silników. Teraz nie było szans, aby nawet pasywny skaner przegapił ich przybycie. Zapewne taki właśnie był cel.

– Czego Weston nie rozumie w słowie „eskorta”? Mielibyśmy stanowić osłonę dla Herosów, do cholery – mruknął Mitchel.

– Poprzednio też tak zrobił, z tego, co wiem – westchnęła Sheila. – Komodor nie uważa, aby Herosy potrzebowały eskorty w tradycyjnym rozumieniu. Uważa je za miecze i tarcze całej formacji i tak ich zamierza użyć.

– A czym jesteśmy my?

Sheila uśmiechnęła się ponuro.

– Sztyletami wbijanymi wrogom w plecy. Każ załadować torpedy.

Grant skrzywił się i skinął głową.

– Aye, aye, ma'am.

Wcale mu się nie dziwiła. To była koszmarna broń.

Eric spoglądał na najnowszy obraz okolicy. Przebywali w układzie od ponad dwudziestu minut, wciąż przyspieszając. Zgodnie z obecnymi wskazaniem apogeum walki miało miejsce jakieś półtorej godziny temu, po czym bitwa ucichła, ale nie ustała.

Nie był pewien, jak interpretować te dane. Miał nadzieję, że nie oznaczało to zagłady wielu dobrych ludzi.

„Próżne nadzieje”.

– Niedługo zobaczymy walkę na skanerach nadświatlnych – oznajmiła komandor Heath, podchodząc do jego stanowiska. – Chciał pan wiedzieć.

– Dziękuję. Komandorze, impuls nadświatlny.

– Aye, skipper – odparła Heath i odwróciła się. – Skaner! Przygotować impuls!

- Tak jest. Impuls gotowy.
- Eric stanął na środku pokładu dowodzenia.
- Rozświetlmy ten układ.
- Wysłać impuls!

Tachiony można nazwać bękartami wszechświata, który nienawidzi ich istnienia. Pozbawione masy cząstki są bardziej niż rzadkie według każdej definicji naturalnego wszechświata, ale można powiedzieć, że nie istniały nawet, gdy stworzone zostały z pomocą technologii. Nie istniały według miary czasu, jako że ich istnienie kończyło się w momencie, gdy się zaczynało, ale podczas tej chwili dało się je zaobserwować w przestrzeni.

Inaczej niż w przypadku skanerów opartych na efekcie Dopplera, skanery tachionowe nie mierzyły czasu odbicia od celu, ale polegały na paralaksie. Gdy pojedynczy tachion trafiał w obiekt, rozświetlał się on na sprzęcie wykrywającym impuls energetyczny. Dwa lub więcej skanerów rejestrowało sygnał i porównywało wyniki, aby określić odległość od celu.

Dla każdego z odpowiednim sprzętem impuls tachionowy był jak laska dynamitu wybuchająca po drugiej stronie ulicy. Nie dało się go przegapić.

Misrem pochylała się nad konsolą taktyczną, gdy kolejna wiązka laserowa trafiła w burty jej okrętów. Ekran zalały raporty o uszkodzeniach.

– Przesunąć drugą kohortę niszczycieli na prawą flankę – rozkazała, ignorując wstrząsy. – Skupić ogień na prowadzących okrętach wroga. Chcę uszkodzić ich tyle, ile się da, żebyśmy mogli później pozbierać ten bałagan bez pośpiechu, przez czterdzieści lat świetlnych.

– Tak, zwierzchniczko. Druga kohorta zmienia formację. Priorytetyzujemy...

Misrem zeszytniała, słysząc kolejną syrenę alarmową. Spojrzała na ekran skanerów dalekiego zasięgu.

– Raport! – warknęła.
– Nadświatlny impuls skanujący, zwierzchniczko. Proszę czekać... – Technik zmarszczył brwi, pochylił się nad konsolą. – Sporządzamy obraz.

– Już? – spytała Misrem. – Doskonałe wyczucie czasu. Jak daleko są?
– Czternaście centali świetlnych – odparł technik. – Uruchomili wiązkę w momencie, gdy i tak ich wykryliśmy.

– Profesjonalne. Pokaż.

– Na ekranie.

Spojrzała na główny ekran i wykrzywiła twarz, rozpoznając lśniący pancierz i kolory okrętu prowadzącego.

– To oni – stwierdziła bez śladu zdziwienia w głosie.

O ile się nie myliła, mieli do czynienia z anomaliami. Pomyłka była możliwa, jako że Przysiężni używali takich samych konstrukcji okrętów i panczerzy, ale zwierzchniczka potrafiła wyczytać pewność siebie w formacji wroga.

Zdradzali gotowość do walki, inaczej niż zdesperowane okręty Przysiężnych. Anomalie były... niemal jak Imperium.

– Zawrócić eskadry niszczycieli – rozkazała. – Chcę mieć szyk bojowy na długo przed ich przybyciem. Zostawić uciekające okręty Przysiężnych.

– Zwierzchniczko? – Zastępca spojrzał na nią zdumiony. – To tylko trzy krążowniki.

Misrem roześmiała się.

– Jeśli są tylko trzy, zjem własny miotacz. Zwiększyć intensywność skanów we wszystkich sektorach.

– Impuls nadświatlny!

– Zlokalizować! – rozkazał Druel, przecierając mokre od potu czoło.

Chwilę później zaskoczyło go, gdy imperialne niszczyciele zaczęły odlatywać, dając jego załodze szansę na złapanie oddechu.

„Co tu się...”

– To „Odyseusz”, kapitanie!

Druel prychnął. „To wszystko wyjaśnia”.

Odwrócił się w stronę ekranu taktycznego.

- Położenie i wektor?
- Wektor przechwytyjący, dwadzieścia jednostek od nas. Zbliża się ekstremalnie szybko – zameldował technik obsługujący skanery. – Wyciskają wszystko z silników, kapitanie.
- Czy to ich pełna grupa bojowa? – spytał.
- Nie, sir. Tylko trzy okręty. „Odyseusz”, „Boadicea” i „Bellerofont”. „Dziwne nazwy” – pomyślał Druel.
- To cała grupa, Stel.
- Sir? – Stel Avira spojrział na niego znad konsoli skanera. – Myślałem, że składa się z dziewięciu okrętów.
- Owszem. Krążowniki wspomagają okręty terrańskiej klasy – wyjaśnił. – Nie widać ich, ale są... gdzieś tam.
- Nic nie widzę na skanach grawitacyjnych.
- I nie zobaczysz. Te okręty nie korzystają z osobliwości. Mają bardziej prymitywne reaktory, podobne jak „Odyseja”. Przy reaktywnym pancerzu Terran nie zobaczymy ich aż do chwili, kiedy wystrzelą. Nie martw się, to nie w nas celują.
- Zwrócił się do sternika.
- Przygotować się na manewr! Chcę, żeby cała grupa była gotowa najdalej za sto sekund!
- Kapitanie, mamy wycieki atmosfery na wszystkich pokładach – odparł jego zastępca. – Podobnie jak wiele innych naszych okrętów. Potrzebujemy czasu na naprawy.
- Przeprowadzimy je w czasie walki – odpowiedział stanowczo Druel. – Gdy Terranie walczą razem z nami, to jedno, ale gdy walczą za nas, to co innego. Uformować szyk.
- Tak, kapitanie.

„Tetanna” dryfowała, a powietrze wyciekało z każdego pokładu szybciej, niż kompensowały to generatory. W pewnej chwili sensory wykryły impuls.

Na początku go zignorowano. Drey miał ważniejsze rzeczy na głowie, a jeśli celowało w niego więcej okrętów wroga... cóż, niewiele mógł na to poradzić.

- Ewakuować i uszczelnić wymienione przed chwilą pokłady –

rozkazał ekipom naprawczym. – Nie są w tej chwili konieczne do funkcjonowania okrętu i nie możemy marnować na nie powietrza. Zajmiemy się nimi, jeśli przeżyjemy.

– Kapitanie! – zawołała Helena z drugiego końca pokładu dowodzenia. – Powinien pan to zobaczyć.

– Jeśli to więcej złych wieści, nie mam czasu – warknął Drey.

– Tym razem to chyba dobre wieści, kapitanie.

– W takim razie tym bardziej nie mam na nie czasu. Dobre wieści same sobie poradzą.

– To „Odyseusz”, kapitanie. Terranie przybyli do układu.

Eric przeglądał odbite sygnały, pokazujące sytuację, w jaką się właśnie pakowali.

– No, to jest coś, prawda? – spytał cicho, gdy podeszła do niego komandor Heath.

– Owszem, kapitanie.

Patrzyli na walczące strony, z których to Priminae zdecydowanie dostało się mocniej, ale nie bez strat po stronie przeciwnika. Większa grupa pasowała do tego, co wiedzieli o Imperium, chociaż niszczyciele były czymś nowym.

– Będziemy musieli się nauczyć, jak sobie z tym radzić – westchnął Eric.

Tak jakby miał za mało problemów.

– Wrogie niszczyciele odlatują od dotychczasowych celów, capitaine – zawołała Milla, która monitorowała sytuację taktyczną. – Wygląda na to, że wracają do głównego szyku.

– Widzę, dziękuję – odparł Eric. – No cóż, przynajmniej traktują nas poważnie.

– Wolałabym, żeby nas nie doceniali – stwierdziła oschle Heath.

– Wykrywam zwiększenie energii skanerów przeciwnika – kontynuowała Milla. – Chyba szukają Włóczęgów.

– Wolałabym też, żeby byli głupi.

– Oraz żeby bitwą nie rządziły prawa Murphy’ego, skoro już mówimy o życzeniach – dodał Eric.

– Jestem optymistką, kapitanie – odparła pierwsza oficer. – Nie

rekrutką.

Eric roześmiał się.

– Oczywiście. Cóż, na razie Włóczęgi muszą radzić sobie same. Ale może jakoś uda nam się im pomóc.

– Co ma pan na myśli, sir? – spytała Heath, nieco zaniepokojona wyrazem twarzy dowódcy.

Na „Bellerofoncie” kapitan Jason Roberts pokręcił lekko głową, widząc otrzymane rozkazy.

Eric Weston był znany z niekonwencjonalnego myślenia, ale czasami Jason wolałby służyć pod kimś myślącym nieco mniej nietypowo, mimo tego, że komodor skutecznie dezorientował wrogów. Na pewno byłoby to mniej stresujące.

Jednak nie zanosilo się na to.

Były ranger US Army wstał z fotela i stanął na środku pokładu dowodzenia.

– Przygotować się na manewr bojowy. Komodor ma dla nas zadanie.

Śmiech dochodzący ze stanowiska pilota wcale go nie uspokoił.

– Komandorze poruczniku, jeśli ma pan coś do powiedzenia reszcie załogi, proszę bardzo – powiedział Roberts.

– Przepraszam, kapitanie. – odparł Ray „Palnik” Little, podłączony już do komputera „Bellerofonta”. – To taki tik nerwowy, gdy słyszę, że Raze ma dla mnie zadanie.

Roberts westchnął.

– Wcale się nie dziwię. Ale zrobmy to, zachowując chociaż odrobinę powagi.

– Aye, aye, sir.

– Utrzymać dystans manewrowy od „Odyseusza” i „Boadicei” – rozkazał Roberts. – Niedługo czeka nas ostrzał, więc zostawmy sobie trochę miejsca na uniki. Uzbrojenie gotowe?

– Aye, skipper – odparła porucznik Marcia Sanderson. – Kondensatory pracują, działa załadowane, wyrzutnie grawitacyjne gotowe do strzału.

Roberts wolałby dysponować paroma wyrzutniami torped

impulsowych, nawet jeśli go przerażały. Ale musiało im wystarczyć to, co mieli. W końcu Herosy i tak były ciężko uzbrojone.

- Połączyć komputery z „Odyseuszem” i „Boadiceą”.
- „Nie żeby miało to teraz wielkie znaczenie” – pomyślał.
- Komputery połączone, sir.
- Strzelać na rozkaz komodora.

– Ognia.

Głos Erica był dziwnie cichy, zważywszy na to, że właśnie rozkazał oddanie salwy o tak wielkiej energii, że mogłaby zagrozić planecie.

– Rozpaczam ostrzał z dział grawitacyjnych, capitaine – potwierdziła Milla ze stanowiska taktycznego.

Nie poczuli nawet drgań pokładu, ale wszyscy je sobie wyobrażali. Wszystkich przeszły dreszcze, gdy wystrzelono pociski wysokiej prędkości za pomocą przyspieszenia grawitacyjnego, które zastąpiło dawne działa elektromagnetyczne, zamontowane na „Odysei”. Gdy dziesięciotonowe pociski opuściły bąbel grawitacyjny okrętów, odpaliły się ich własne silniki, dzięki którym przyspieszyły niemal do prędkości światła.

– Czas do trafienia: dziesięć sekund – powiedziała spokojnie Milla, jak gdyby nie wysłała w kosmos broni kinetycznej, która potrafiłaby wybić populację planety. Odliczyła głośno ostatnie kilka sekund, po czym zamknęła oczy, podczas gdy komputery wszystkich Herosów skoordynowały uruchomienie wielkich laserów.

Wszystkie trzy krążowniki szumiały od mocy potrzebnej do uruchomienia ich ogromnych dział. Wiązka impulsów świetlnych leciała przez kosmiczną otchłań ku wrogowi, choć znajdowali się daleko poza normalnym zasięgiem takiej broni.

– Przygotować się do manewru – rozkazał Eric. – Rozpacz decelerację na mój znak. Kurs i relatywna prędkość względem wroga zero-zero-zero przy dziesięciu kilometrach. Wlećmy im prosto w paszczę.

– Potwierdzam, zero-zero-zero i prędkość względna wobec formacji wroga – powiedział Steph, połączony przez interfejs neuronowy z komputerem „Odysei”. – Chcesz bijatyki, Raze, będziesz ją miał.

Rozdział 9

Przestrzeń kolonii Priminae

– Zmiana fal grawitacyjnych, zwierzchniczko! Wykrywam manewry wrogich okrętów!

Misrem skrzywiła się. Rozważała aktywny skan formacji wroga, ale wiedziała, że nie uzyska wielu nowych informacji, dane nie dotrą też szybciej niż analiza zmian grawitacyjnych.

Fale grawitacyjne płynęły w normalnym wszechświecie z prędkością światła, ale grawitacja była funkcją załamania przestrzeni przez masę. Skanery odpowiednio dostrojone do tego załamania potrafiły wykrywać zmiany dużo szybciej, niż pozwalały na to standardowe prawa fizyki. Nie było to tak precyzyjne jak wizualna analiza, nie mówiąc o dokładniejszych skanerach, ale wystarczyło, aby stwierdzić, co planuje wróg.

– Oni... hamują, zwierzchniczko.

Misrem mrugnęła.

Tego się nie spodziewała.

– Jaki wektor? – spytała.

Odpowiedź uzyskała po chwili.

– Kurs przechwytyjący względem nas.

Czuła, jak z twarzy odpływa jej krew. Wzięła kilka głębszych oddechów, zanim się odezwała zduszonym głosem:

– Potwierdzić to.

– Potwierdzam, zwierzchniczko. Przeliczyłem wszystko trzy razy.

Nie powiedziała, co myśli, ale w duchu nazwała to niemożliwością. Żaden dowódca okrętu czy nawet eskadry nie decydowałby się na tak bezpośrednią walkę z przeważającymi siłami wroga. To było szaleństwo. Kompletne szaleństwo i głupota.

„Te anomalie zdecydowanie są szalone, ale do tej pory nic nie wskazywało na głupotę”.

– Zwiększyć intensywność skanów! – krzyknęła. – Znaleźć ich niszczyciele! Gdzieś tam są, wiem o tym. Znaleźć wszystkie jednostki

wroga!

– Oni są szaleni.

Druel parsknął na słowa zastępczyni.

– Co do tego wielu by się z tobą zgodziło – przyznał. – Ale sądzę, że jest w tym coś więcej, niż się wydaje. Terrańskim Herosom towarzyszą zwykle niszczyciele. Widzisz je, Pol?

Oficer przejrzał dane telemetryczne i powoli pokręcił głową.

– Nie, ale...

– Właśnie: ale – odparł Druel. – Nawet z czyhającą gdzieś na okazję do ataku eskortą wątpię, aby terrańskie okręty były w stanie przetrwać bezpośrednie starcie z tak wielką grupą. Zgodzę się, że Eric Weston jest szalony zgodnie ze wszystkimi znanymi mi standardami. Ale nie jest głupcem ani samobójcą.

– W takim razie co robimy? Nie znamy jego planów, dołączenie do Terran oznaczałoby dla nas teraz samobójstwo!

Druel powoli skinął głową. Nie mieli pojęcia o strategii Terran, a bez tej informacji nie zamierzał ryzykować życia swoich ludzi.

– Zapewnimy im osłonę i wsparcie z bardziej... przytomnej odległości. Nie chcemy potencjalnie pokrzyżować ich planów.

– Tak, kapitanie.

– Znamy tożsamość dryfującego okrętu? – spytał Eric, podczas gdy czekali, patrząc na coraz niższe liczby pokazujące odległość od wroga.

– To „Tetanna”, capitaine – odparła Milla. – Odkodowałam jej sygnał identyfikacyjny.

– Okręt Priminae czy Imperium? – spytał, nie rozpoznawszy nazwy.

– To okręt kolonii. Nowy, klasy Heros, zgodnie z terminologią Terran.

Tego właśnie się spodziewał, ale i tak się skrzywił. Zdawał sobie sprawę, jakie lanie może znieść Heros, zachowując sprawność, więc widok „Tetanny” okaleczonej i tracącej powietrze był dla niego bolesny.

– Niech ekipa ratownicza pozostaje w gotowości i czeka na rozkaz. Możemy nie mieć zbyt wiele czasu na ewakuację załogi Priminae, więc nie należy go marnować.

– Aye, sir. Odpalą reaktor, gdy tylko znajdziemy się w zasięgu.

– Dobrze. Nie chcę, żeby tak skończyli nasi ludzie albo sojusznicy, jeśli możemy pomóc – stwierdził stanowczo.

Śmierć w przestrzeni kosmicznej była dostatecznie straszna, ale miewał koszmary o tym, co stało się z załogą krążownika Priminae, którego rdzeń się zapadł. Było to nawet odrobinę zabawne, zważywszy na to, że on uważał ich za tak samo szalonych jak oni jego, gdy chciał zainstalować torpedy impulsowe na „Odyseuszu”.

Śmierć od jednego i drugiego była koszmarem. Ale z zagrożeniem eksplozji antimaterii już dawno się pogodził. Z wessaniem do czarnej dziury jeszcze nie.

– Capitaine – Milla wyrwała go z zamyślenia – już niemal czas.

Eric spojrział na obraz taktyczny, sprawdził liczby i skinął głową.

– Racja. Obrócić się bokiem do wroga i przygotować impuls nadświetlny!

– Gotowy – odezwał się natychmiast technik obsługujący skanery.

– Robi się – stwierdził Steph, przekręcając okręt i zachowując jednocześnie wektor zakrzywienia przestrzeni.

„Bellerofont” i „Boadicea” zrobiły to samo, kierując w stronę wroga wszystkie działa tranzycyjne.

Eric sprawdził zegar, czekając na odpowiedni moment.

– Uruchomić impuls, jeden ping – rozkazał. – Teraz!

– Impuls wysłany!

– Dane celownicze dla dział – rzucił szybko Eric.

– Dane celownicze zaktualizowane – odparła Milla. – Gotowe do strzału.

– Ognia!

– Salwa oddana – odpowiedziała, gdy „Odyseusz” otworzył ogień z dział tranzycyjnych ułamek sekundy przed „Bellerofontem” i „Boadiceą”.

– Powtórzyć! – rozkazał Eric.

– Impuls wysłany!

– Salwa oddana!

Wszystkie okręty ponownie użyły skanerów tachionowych i otworzyły ogień.

Mimo nazwy wspomagane przez rakiety, pola masy przeciwnej i początkowy wystrzał z dział grawitacyjnych kinetyczne pociski wysokiej prędkości – PWP – były najwolniejszą bronią w arsenale okrętów klasy Heros.

Lecące przez przestrzeń kosmiczną przy osiemdziesięciu procentach prędkości światła dziesięcotonowe pociski nie ważyły niemal nic w czasie, gdy działały ich pola masy przeciwnej. Dzięki dziobowym sensorom PWP były w stanie teoretycznie dostosowywać kurs, ale w praktyce działały w linii prostej, podobnie jak lasery.

Wystrzelone jako pierwsze, PWP znalazły się niemal u celu, gdy wyprzedziły je lasery Herosów. Zakrzywione przez pola grawitacyjne okrętów promienie w większości nie trafiły.

Niektórym jednak się to udało i przebiły one pancerze okrętów wroga w momencie, w którym PWP nagle odwróciły pola MP, by znacznie zwiększyć efektywną masę, zanim zderzą się z nieprzyjacielem.

Właśnie wtedy działa tranzycyjne umieściły bomby atomowe w środku wrogich jednostek.

Alarmy, które nagle rozległy się na całym okręcie i zapewne w całej jej grupie bojowej, sprawiły, że Misrem niemal podskoczyła.

– Trafienia laserów na...

Bardziej poczuła, niż usłyszała wybuch, od którego podłoga pod jej stopami mocno zadrżała. Wszyscy chwyтали się czego mogli.

– To nie był laser – warknęła. – Co w nas trafiło?

– Pocisk kinetyczny – odparł oficer sygnałowy. – Skoordynowany z laserem...

– Impuls nadświetlny!

Misrem czuła, że przestaje panować nad sytuacją. Działo się zbyt wiele rzeczy naraz. Odwróciła się do oficera sygnałowego z nowym rozkazem, ale właśnie w tej chwili kilka ekranów na pokładzie dowodzenia rozświetliło się na biało, po czym zgasło.

– Co teraz? – ryknęła.

– Eksplozje atomowe w całej grupie bojowej – wykrztusił technik. – Wewnątrz naszych pól grawitacyjnych!

Misrem pobladła.

– Jak im się to udało bez wykrycia?

– Nie wiadomo. Komputery wciąż analizują sytuację, ale głowice musiały być częścią serii pocisków kinetycznych.

Misrem zagotowała się. Rozważała położenie. Broń atomowa poza polami grawitacyjnymi osobliwości nie stwarzała zagrożenia. Zakrzywiona czasoprzestrzeń wokół okrętu rozpraszała zarówno promieniowanie, jak i rozbłysk energii. Ale wewnątrz była to dużo poważniejsza sprawa. Wyczyszczenie napromieniowanych części pancerza tak, aby okręt nadal był bezpieczny, zajmie tygodnie.

Nie mówiąc już o uszkodzeniach, które zadały pociski kinetyczne.

Wyczucie czasu wroga było imponujące.

„Oni wiedzą, jak walczyć” – uznała. Skanery zresetowały się po detonacjach atomowych.

– Raporty o uszkodzeniach!

– Tracimy powietrze na wszystkich pokładach, zwierzchniczko. – Zastępca podszedł bliżej. – Nie trafiły w nas lasery, ale mamy przynajmniej osiemset ton napromieniowanego pancerza, który teraz trzeba będzie rozebrać, oczyścić i wymienić po powrocie do domu. Jeśli podróż potrwa zbyt długo, stracimy piętnaście procent załogi przez chorobę popromienną.

Misrem jęknęła cicho.

– A reszta grupy? – spytała tak, jakby wolała nie usłyszeć odpowiedzi.

– Straciliśmy jeden niszczyciel. Wygląda na to, że bomba atomowa wybuchła wewnątrz jego kadłuba.

– Jak?!

– Nie wiadomo.

– Mów dalej. – Misrem machnęła ręką, starając się powstrzymać gniew.

– Największe szkody zadały pociski kinetyczne – kontynuował. – Efektywność laserów zmniejszyło zakrzywienie przestrzeni, ale ataki kinetyczne miały... zdumiewającą siłę.

To przykuło jej uwagę.

– Pokaż.

Zastępca bez słowa podał jej raport, wskazując na istotny fragment. Misrem wpatrywała się w jego treść przez chwilę, po czym spojrzała mu w oczy.

– Co oni w nas wystrzelili? Małe planetoidy?

– Wykrylibyśmy to, zwierzchniczko. Wciąż analizujemy sytuację. Ale ich pociski albo uległy zniszczeniu podczas zderzenia, albo poleciały dalej, więc nie jesteśmy pewni.

– Kim oni są? – spytała cicho Misrem, tak aby nie przykuć uwagi reszty załogi. – To nie Przysiężni.

– Nie, zwierzchniczko – zgodził się zastępca. – Używają jednak podobnej technologii i coraz bardziej jasne jest, że część z niej kupili od Przysiężnych bądź im ją ukradli.

– Wymienili się. U Przysiężnych też zaszły zmiany, jeśli chodzi o sprzęt i taktykę, choć jeszcze nie potrafią wykorzystać pełni uzyskanego potencjału. Z tymi... anomaliami jest inaczej.

Myślała o przeczytanym dawno temu raporcie Aymesa. Wtedy uznała ten termin za przesadzony. Kimkolwiek byli przeciwnicy, wciąż przecież byli ludźmi. Nie potrzebowali specjalnej nazwy.

Nawet Przysiężni i mieszkańcy Imperium aż tak się nie różnili między sobą, mimo kwestii filozoficznych i przesądów, które skłóciły ich starożytnych przodków.

Teraz jednak nie miała czasu na dogłębną analizę.

– Kiedy znajdą się w zasięgu naszej broni?

– Przy obecnym wektorze? Bardzo szybko.

– Utrzymać szyk bojowy. Wszystkie okręty mają być gotowe do walki.

– Manewry unikowe za – Eric sprawdził zegar – cztery minuty. Raczej nie powitają nas zbyt serdecznie.

Heath udało się zachować panowanie nad sobą, inaczej niż niektórym z członków załogi.

– Nie mam pojęcia dlaczego – stwierdziła, dumna z tego, że jej głos brzmi pewnie. – Są tacy drażliwi?

Eric uśmiechnął się lekko.

– Założyłbym się, że tak, komandorze.

– Zapewne więc lepiej, żebyśmy odpowiednio zaplanowali manewry?

– Zgadza się.

Eric stwierdził, że walka w kosmosie nadal wydaje mu się nieco dziwna. Na pokład wszedł podoficer z kubkiem kawy. Komodor przyjął napój z grzecznym skinieniem głową i upił łyk gorącego naparu, zastanawiając się, jak daleko zaszedł i jak niezwykle było jego życie.

Jako marine kiedyś oceniał działania jako minuty przerażenia, godziny napięcia i tygodnie monotonii. W powietrzu, jako pilot, przeżywał sekundy przerażenia, minuty napięcia i tygodnie monotonii.

Odkąd objął dowodzenie nad „Odyseją”, a teraz nad „Odyseuszem”, stosunek czasu trwania przerażenia w porównaniu do napięcia znów się zmienił. Chwile oszałamiającego strachu nadal się zdarzały, ale najgorsze były godziny rosnącego napięcia, które zżerały ludzką psychikę.

Jedynie tygodnie monotonii były czynnikiem stałym.

„To musi być jedna z tych niepisanych zasad wszechświata” – stwierdził, sącząc kawę.

Okręty zmieniały pozycje w szyku przez cztery minuty odliczania na wypadek, gdyby wróg odpowiedział kontratakami. Ale po kilku kolejnych minutach jasne się stało, że nic nie zaszło. Eric zmarszczył brwi i zastanowił się nad implikacjami.

„Nie są jak Drasinowie. Są nieprzewidywalni, ale rozważni”.

To nie zapowiadało nic dobrego.

Rozważny wróg rzadko robił głupie błędy. Czasami to spowalnia, sprawia, że wolniej, mniej instynktownie reaguje się na sytuacje. Ale w walce kosmicznej było sporo czasu na przemyślenie wszystkich opcji.

Wolałby impulsywnego, bezmyślnego wroga. Byłoby dużo prościej.

Mostek „Juraja Janosika” był cichy i ciemny. Jego kapitan wpatrywała się w pasywne dane telemetryczne, na których musiała polegać w czasie, gdy jej okręt klasy Włóczęga kontynuował lot w głąb

układu Priminae.

Kapitan Aleska Stanislaw była dość ostrożną kobietą, co okazało się zbawienne pod koniec wojny z Blokiem, gdy dowodziła niszczycielem na Morzu Arabskim. Uważała, że ostrożność przyda jej się również teraz, gdy miała dowodzić pierwszym okrętem kosmicznym pod banderą swojego kraju.

Wraz z pozostałymi Włóczęgami leciała w stronę wnętrza układu bez ujawniania się, w rozproszonym szyku. Zwykle oznaczałoby to, że dostępny obraz otaczającej ją okolicy byłby dość ograniczony ze względu na naturę pasywnych skanów.

Jednak z uwagi na ogromną energię generowaną przez okręty wroga i przez Herosy „Janosik” mógł zebrać całkiem sporo danych o układzie i walczących w nim jednostkach.

Wróg emanował energią w takim stopniu, że Aleskę przechodziły ciarki. W miarę jak się zbliżali, prawdziwym zagrożeniem stawało się to, że „Janosik” potencjalnie mógł wchłonąć zbyt wiele energii, szkodliwej dla zdrowia jego załogi, szczególnie przy zaczernionym pancerzu.

Na razie jednak zarówno przed tym, jak i przed wykryciem chroniło ich prawo odwrotnych kwadratów. Wciąż musieli jednak zamknąć zewnętrzne pokłady i wciągnąć ludzi do wnętrza okrętu, aby chronić ich przed promieniowaniem kosmicznym i burzami słonecznymi.

– Herosy rozpoczęły walkę z siłami wroga – oznajmił oficer sygnałowy, porucznik Jürgen.

Wszyscy mówili cicho, zupełnie jak na objętym ciszą okręcie podwodnym, chociaż w kosmosie nie miało to sensu.

Aleska uśmiechnęła się na tę myśl, ale kiedy się odezwała, sama mówiła prawie szeptem.

– Dziękuję, poruczniku. Czy mamy już informacje o wynikach?

– Trochę trafień, nieznane uszkodzenia. Ale wydaje się, że... wkurzyło to wroga.

– Skąd to wiadomo?

– Znacznie podkreślił moc skanerów. Większość z tego skupili na wektorze, z którego przyleciały Herosy.

– Dobrze. Wiedzą, że tu jesteśmy, ale myślą, że lecimy razem z wielkimi jednostkami, jak przy poprzednim starciu. Niestety, będziemy zmuszeni wyprowadzić ich z błędu i wystawić się, więc lepiej, żebyśmy zadziałali najskuteczniej jak można.

– Tak, ma’am.

Wcisnęła ikonę na ekranie, wywołując głównego inżyniera, który wyraźnie na to czekał.

– Ma’am. – Skinął grzecznie głową.

– Wszystkie załadowane? – spytała, spoglądając na inny ekran.

– Tak jest. Nie możemy się doczekać, żeby się ich pozbyć.

– Ja również – zapewniła go. – Już niedługo.

– Oby – mruknął. – Nie wszyscy z nas są tak lekkomyślni jak Doohan.

Nie mogła nie przewrócić oczami na myśl o głównym inżynierze „Autolikosa”, który stał się już legendą, zwłaszcza wśród Włóczęgów. Celowe wypuszczenie antymaterii na własnym okręcie zrobiło z niego bohatera dla garstki szaleńców, głównie inżynierów, oraz uczyniło postrachem całej reszty.

Słyszała, że komodor Weston praktycznie odmówił mu wstępu na „Odyseusza”, choć trudno stwierdzić, czy zrobił to serio, czy żartem.

– Dam panu znać, kiedy tylko będziemy mogli wystrzelić. Dziękuję.

Sześć okrętów klasy Włóczęga, ukrytych wśród niemal nieprzeniknionej czerni, zbliżało się po cichu do swoich celów, podczas gdy Herosy wyprowadziły już otwarcie pierwsze uderzenia.

Wśród kosmicznej ciszy okrzyki furii na okrętach Imperium nie były słyszalne, ale oczywiste. Wskazywała na to moc ich skanerów, jednak nie znając wektorów lotu, mieli małe szanse na namierzenie któregokolwiek z Włóczęgów.

Kapitanowie okrętów zgadzali się co do jednego – panika w szeregach wroga miała dobre i złe strony.

Oczywiście byłoby bardzo źle, gdyby któryś z Włóczęgów został zauważony w czasie użycia czarnego maskowania pancerza.

Choć sprawiało to, że byli prawie niewidzialni, miało również wady. Największą było to, że pochłaniali sporą część spektrum energetycznego, w tym światło, jako że promienie – także promienie skanerów – nie mogły się od nich odbijać. Dzięki temu pozostawali ukryci, ale też dużo bardziej narażeni na różnego rodzaju promieniowanie, nie tylko laserowe, ale i kosmiczne.

Nawet pomijając problemy związane z bitwą, w której używano potężnych laserów, zwykle promieniowanie tła i wiatry kosmiczne zmuszały Włóczęgi do tego, by w końcu „wynurzyły się”. Przełączenie ustawień pancerza na bardziej odbijające było konieczne, inaczej narażało się załogę na chorobę popromienną, a sam okręt wymagałby długiej i kosztownej dekontaminacji.

Taka była natura kosmosu.

Rozdział 10

– Wszystkie okręty przyjęły szyk, zwierzchniczko.

Misrem spojrzała na zastępcę, po czym gestem poleciła mu odejść. Skupiała się na nadlatujących siłach wroga i próbowała dzielić uwagę między to, co robili teraz i co zrobili poprzednio, i odgadnąć, gdzie wśród czarnej otchłani kryły się niszczyciele.

– Niech się ruszają – rozkazała. – Wróg chętnie oddaje ogień nawet z ekstremalnej odległości, więc spodziewam się go jeszcze więcej, gdy będą blisko. Standardowe wzorce manewrów unikowych.

– Tak, zwierzchniczko.

Ledwie powstrzymała się przed chodzeniem tam i z powrotem, gdy rozmyślała o nadchodzącym ataku. Przysiężni byli przewidywalni, niezbyt impulsywni i nie za dobrzy w starciach zbrojnych. Nie byli tchórzami, mimo tego, co myślało wielu w Imperium. Po prostu nie wykazywali takiej chęci do walki, jak większość Imperialnych.

Siły Imperium były zdyscyplinowane. Musiały, jako że służba cesarzowej to nie przelewki.

Anomalie okazały się jednak czymś zupełnie innym.

Były skłonne walczyć z brawurą obcą Przysiężnym i zdecydowanie nie brakowało im dyscypliny. Na dodatek pewna doza... nieprzewidywalności utrudniała rozszyfrowanie ich działań.

„Zupełnie jakby dowódca wroga pozwalał swoim ludziom sporządzać własne plany i wykonywać je bez nadzoru”.

Porzuciła tę myśl, bo była absurdalna. Nie można koordynować bitew kosmicznych, jeśli każdy dowódca działa po swojemu. Żadna sieć bojowa nie poradziłaby sobie z tym chaosem, nie przy opóźnieniach w komunikacji nadświatłowej.

A nawet jeśli udało im się jakoś to zrekompensować, wzdrygała się na myśl o spuszczeniu niektórych ze swoich kapitanów ze smyczy. W każdej organizacji zdarzały się niekompetentne osoby na wysokich stanowiskach. Miała wielu kapitanów, którzy byli przyzwoitymi menedżerami, ale słabymi dowódcami bojowymi, i nie wątpiła, że podobnie bywało też w innych kulturach.

Nie, Misrem podejrzewała, że ma po prostu do czynienia z bardziej

kreatywnymi manewrami i szykami bojowymi, niż kiedykolwiek do tej pory napotkało Imperium. Nie byłby to pierwszy raz. Podobnych taktyk używano już z różną skutecznością, ale ostatecznie Imperium zawsze wygrywało. Kreatywność bywała użyteczna, ale nie była silniejsza od siły, dyscypliny i liczebności – a wszystkich tych trzech rzeczy nie brakowało w Imperium.

Teraz musiała jedynie znaleźć te cholerne niszczyciele!

– Utrzymać ogień laserowy – rozkazał Eric. – Wszystkie Herosy, wstrzymać ostrzał z dział tranzycyjnych i grawitacyjnych.

– Aye, sir – odpowiedziała Milla. – Wstrzymać ogień kinetyczny, kontynuować ostrzał laserowy. Maksymalna częstotliwość ognia, sir?

– Tak, tylko ich nie przepal. Chodzi o to, żeby wróg nie miał chwili oddechu.

– Aye, aye.

Eric stwierdził, że Milla całkiem nieźle wpasowywała się w łańcuch dowodzenia okrętu. Gdy przydzielono ją pod jego dowództwo, miał jednak pewne obiekcje.

Nie wątpił w jej kompetencje, ale czasami naiwność dziewczyny sprawiała, że wydawała się mniej inteligentna, niż była w istocie. W połączeniu z ogólną niechęcią Priminae do konfrontacji nie prezentowała postawy, jakiej by wymagał od oficera, szczególnie zajmującego się uzbrojeniem.

„Pacyfistka obsługująca dostateczną siłę ognia, by usmażyć planetę razem z księżycami. Cóż, teraz to brzmi całkiem uspokajająco”. Eric uśmiechnął się na tę myśl, chociaż wyglądało na to, że Milla nie jest zdeklarowaną pacyfistką.

Podejrzewał, że Drasinowie wypalili wiele z jej idealizmu. Przygnębiło go to nieco bardziej, niż powinno. Potrzebowali teraz każdej sprawnej w walce osoby. Szczery idealizm był czymś, co Eric zawsze podziwiał w każdym jego przejawie. Wprawdzie osobiście takiej postawy nie preferował, ale doceniał jej wartość. Gdy usłyszał, jak Milla przeklina chwilę później, oderwał wzrok od obliczeń, żeby zobaczyć, co się stało. Drobna kobieta mamrotała pod nosem i uderzała dłonią w konsolę. Coś zdecydowanie szło nie tak.

– Porucznik Chans? – Eric spytał tak spokojnie jak mógł.

– Przepraszam, capitaine – mówiła z silniejszym akcentem niż zwykle. – Systemy laserowe ulegają przeciążeniu. Mam problem z powstrzymaniem ich przed przegrzewaniem. Systemy kontrole nie działają tak sprawnie, jak powinny.

– Dziwne. Nie mieliśmy z nimi wcześniej problemów – stwierdził Eric. – Czy na innych Herosach też?

– Nie, capitaine. A przynajmniej jeszcze nie, ale „Odyseusz” uczestniczył w walkach częściej niż „Boadicea” czy „Bellerofont”. Możliwe, że to jakiś błąd w oprogramowaniu, który wystąpił dopiero teraz.

– Znajdź go i napraw. A potem ustal, czy potrzebujemy poprawek w całej flocie, czy to dotknęło tylko nas.

– Tak, capitaine. Ale na razie muszę ręcznie sterować zasilaniem – mruknęła, odcinając komputer od kondensatorów. – Na szczęście namierzanie działa jak trzeba.

Eric skinął głową, wiedząc, jak bardzo straciliby na skuteczności, gdyby musieli celować bez wsparcia komputerów.

– Dobrze, proszę kontynuować – powiedział, odchodząc od konsoli taktycznej i wracając na środek mostka, skąd mógł mieć na oku wszystko, co działo się w centrum dowodzenia.

„Miejmy nadzieję, że to jedyny występ pana Murphy’ego w tej bitwie” – pomyślał Eric, ledwie się powstrzymując przed powiedzeniem tego głośno.

– Steph – zawołał. – Odległość i względna prędkość.

– Mamy pół jednostki astronomicznej – odpowiedział natychmiast Stephanos. – Zbliżamy się z prędkością trzech dziesiątych c i wciąż zwalniamy. Jesteśmy teraz w granicach ich maksymalnego zasięgu.

– W takim razie wkrótce do nas wystrzelą, jeśli już tego nie zrobili. – Eric wcisnął guzik na konsoli. – Maszynownia, jak tam diagnostyka pancerza? Brak problemów?

– Żadnych, sir – odparł główny inżynier. – Ustawienia „biały rycerz” działają podręcznikowo.

Eric nie odpowiedział. Właśnie tego oczekiwał, a inżynier nie powiedział mu nic nowego. „Biały rycerz” był nazwą ustawienia pancerza zapewniającego największy stopień odbijania promieni lasera. Nie byli jednak w stanie utrzymać go długo przy takiej mocy, jaką rzuci na nich wróg.

„Lepiej sprawmy, żeby nie mieli w co trafiać”.

– Steph?

– Skipper?

– Rób swoje.

– Aye, aye. – Pilot uśmiechnął się szeroko i wywołał sieć. – Palnik, Szulerka, czas się zabawić. Pełna moc silników, manualna kontrola. Lećcie za mną.

Eric nie słyszał odpowiedzi, ale potrafił sobie je wyobrazić. Spojrzał na Millę.

– Lasery, wstrzymać ogień.

– Aye, kapitanie. Wstrzymuję ogień.

Heath podniosła wzrok znad ekranu.

– „Bellerofont” i „Boadicea” wstrzymują ogień. Przyspieszamy w sam środek formacji wroga. Kontakt za dziesięć minut... nie, osiem... siedem... Cholera, komandorze, wykracza pan poza zalecaną bezpieczną prędkość! Jeśli mam dzisiaj zginąć, wolałabym, żeby zabił mnie wróg.

– „Odyseusz” to wytrzyma – zachnął się Steph, nawet na nią nie patrząc.

– Być może on tak, ale gubimy „Bellerofonta” i „Boadiceę”!

– Co? – Steph zamrugał, po czym przyjrzał się liczbom na wyświetlaczu. – O kurwa.

Sądząc po tonie jego głosu, Eric cieszył się, że nie widzi twarzy pilota. Coś mu mówiło, że Steph właśnie pobladł.

– Co jest?

– W moim programie nie ma takiego poboru mocy, przysięgam – odparł Steph, z furią wduszając kolejne przyciski na konsoli. – Niech ktoś da mi manualną kontrolę!

– Nie ma ręcznej kontroli nad poborem mocy z reaktora. – Heath połączyła się z maszynownią. – Co się dzieje?

Inżynier na ekranie pokręcił głową.

– Nie wiem. Przekraczamy nawet teoretyczne możliwości naszych reaktorów. Nie mam pojęcia, skąd pochodzi ta moc.

– Kontakt za trzy minuty! – zawołał Steph. – Zaczynamy tracić połączenie z resztą krążowników! Za minutę będziemy sami!

– Kiedy, do cholery, Murphy zaczął czytać w myślach? – syknął Eric pod nosem.

– Słucham? – Heath odwróciła się w jego stronę.

Komodor wziął głęboki oddech i zmusił się, żeby usiąść z powrotem w fotelu.

– Powiedziałem, że nie ma już powrotu. Trzeba dostosować się do sytuacji. Steph, masz ster. Jak mówiłem, rób swoje. Podziałaj im na nerwy.

– Aye, aye, Raze. Masz to jak w banku.

Eric podszedł do stanowiska dyżurnego inżyniera na mostku.

– Komandorze, proszę wraz z głównym inżynierem znaleźć problem.

– Tak jest.

Następnie podszedł do stanowiska Milli.

– Poruczniku, to nie będzie łatwa potyczka. Musimy wstrzymać ogień do chwili, kiedy znajdziemy się na miejscu, a następnie wypuścić wszystko, co mamy. Ten problem z poziomem mocy laserów...

– Tak?

– Proszę o tym zapomnieć. Spalić je, jeśli trzeba. Czy to jasne?

Przełknęła ślinę.

– Tak jest.

– W takim razie wykonać. Nie będzie czasu na wydawanie rozkazów, więc proszę strzelać wedle uznania.

– Rozumiem, capitaine. Nie zawiodę.

– Tak myślałem – skłamał Eric gładko, wracając na swoje stanowisko. Musiał teraz zmusić się, żeby usiąść i zrobić, co tylko możliwe w nadchodzącej walce.

Czyli siedzieć bezużytecznie w fotelu.

„Chcę znowu być pilotem myśliwca” – pomyślał.

– Co oni robią, do cholery? – warknął Roberts, widząc, jak „Odyseusz” wyprzedza „Bellerofonta” i „Boadiceę”.

– Co ważniejsze – dodał jego pierwszy oficer – jak, do cholery, to robią? Mamy pełną moc bojową, a oni zostawiają nas daleko w tyle. Ten okręt nie powinien być taki szybki.

– Co mamy w sieci? – Roberts spojrział na ekran.

– Nieznana awaria. – Komandor wzruszył ramionami. – Tyle na

razie wiedzą.

– Cholera. Kto kusił Murphy’ego? – spytał Roberts.

Nikt się nie przyznawał, więc skupił się na misji.

– Dobrze, dopóki nie dostaniemy nowych informacji albo rozkazów, trzymamy się planu. Pilnujcie, czy „Boadicea” jest z nami, i dopasujcie działania do tego, co robi komodor.

– Tak, kapitanie.

Roberts skrzywił się, patrząc na ekrany, na których widać było, jak „Odyseusz” wyprzedza ich niczym uciekająca planetoida.

„Przynajmniej lecą w stronę wroga” – pocieszył się.

– Powodzenia, komodorze.

Na całym okręcie znów rozległy się alarmy, przywołując Misrem do rzeczywistości.

– Co znowu? – warknęła, stając na środku mostka.

– Skanery grawitacyjne wykazują, że okręty wroga znów przyspieszają.

„To nawet dobrze” – pomyślała. „Przynajmniej nie są samobójcami”.

– Jaki kurs?

– Ten sam.

„Oczywiście, że ten sam. Co ja sobie myślałam?”

– Jeszcze raz, są nadal na kursie przechwytyjącym?

– Tak, zwierzchniczko. Są... chwileczkę. – Zdezorientowany oficer wpatrywał się w odczyty instrumentów.

– Co jest?

– Okręt prowadzący oddalił się od reszty. Ten sam kurs, ale przyspieszenie jest... – Szeroko otworzył oczy.

Misrem miała dość dopytywania, o co chodzi. Odepchnęła mężczyznę, stanęła przed wyświetlaczem.

– Czy naprawdę tak trudno...

Jeszcze raz sprawdziła dane.

– To niemożliwe. Żaden okręt takiej wielkości nie może poruszać się tak szybko.

– Zwierzchniczko, bardziej boję się tego, dokąd leci – powiedział oficer, wskazując na wektor przechwytyjący.

Misrem musiała się upewnić, czy dobrze rozumie dane.

Okręt był na kursie kolizyjnym z jej grupą.

„Czy to dla tych szaleńców standardowa taktyka?” Przypomniało jej się poprzednie starcie, podczas którego została w niemal martwym okręcie, bo założyła, że nikt nie jest dość szalony, by ryzykować kolizję dwóch jednostek zasilanych przez osobliwości.

– Złamać szyk – rozkazała przez zaciśnięte zęby. – Zejdźmy tym maniakom z drogi. Strzelać w trakcie lotu.

– Tak, zwierzchniczko – odparł sternik z wyraźną ulgą.

Nie dziwiła się jego reakcji. Był na mostku również poprzednio i jako jeden z nielicznych przeżył.

Druel mrugał, próbując zinterpretować to, co widzi. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, choć obserwację potwierdzały liczby.

– To na pewno nie awaria sensorów? Echa, przez które widzimy ich w złym miejscu? – Nie tylko nie wierzył w to, co widzi, ale też nie chciał wierzyć.

To, że Terranie jakoś zmodyfikowali napędy swoich krążowników tak, by przekraczały teoretyczne maksimum, to jedno. Ale jeśli użyli ich w ataku samobójczym, brzmiało to... niepokojąco.

– Sprawdziłem instrumenty. Działają prawidłowo, kapitanie – zapewnił go oficer sygnałowy.

– Tego się obawiałem – odparł oschle Druel. – Dobrze więc, osłaniamy ich szarżę.

– Kapitanie?

Połowa załogi mostka spojrzała na niego tak, jakby to on był szaleńcem.

– Z odległości – dodał. – Nie lecimy w środek tego chaosu.

Wyglądało na to, że wszystkim ulżyło.

„Terranie wszystkich nas zarażają swoim myśleniem, jeśli moi podwładni uznali, że byłbym tak szalony”.

– Wysłać ekipy ratunkowe – rozkazał Eric, gdy od punktu

docelowego dzieliła ich minuta. – Niech zabiorą z „Tetanny” tylu ludzi, ilu się da.

– Aye, sir – odparła Heath, przekazując rozkaz dalej. – Ekipa ratunkowa startuje.

„Dobrze. Chociaż część załogi ocaleje, jeśli wszystko tutaj pójdzie źle” – pomyślał ponuro Eric.

– Wiemy cokolwiek o awariach?

– Nic, sir. – Heath wciąż przeglądała dane z maszynowni. – Nie są nawet pewni, czy to awaria.

Spojrzał z ukosa na pierwszą oficer.

– A co innego?

– Zupełnie nieznan fenomen. Wszystkie instrumenty wydają się w pełni sprawne. Nie widać też śladów zużycia. Wyciągają i wymieniają części, ale to nic nie daje.

„Świetnie”. Eric zacisnął pięści, ale trzymał je pod konsolą, żeby nikt tego nie widział.

– Niech szukają dalej.

– Aye, sir.

Właśnie tego nie znosił w dowodzeniu okrętem, szczególnie gdy coś szło nie tak. Tego siedzenia beczynnie, podczas gdy jego ludzie robią swoje.

Spojrzał na telemetrię. Od pozycji wroga dzieliło ich tylko kilka sekund.

Popatrzył na Millę. Chciał doskoczyć do niej, wydać rozkaz strzału, ale teraz wszelkie decyzje spoczywały w jej rękach. Najlepiej znała systemy uzbrojenia, a przy tej odległości wszystko zależało od jej współpracy ze Stephelem. Mieli pełniejszy dostęp do informacji niż on i mogli podjąć odpowiednie działania.

Weston zmusił się, by usiąść i wyglądać jak kapitan.

„W tej chwili mógłby mnie zastąpić worek ziemniaków”.

– Teraz, Stephane! – zawołała Milla, podczas gdy jej palce tańczyły na konsoli.

– Odwracam ciąg silników! Trzymajcie się, przetestujemy systemy inercyjne! – odparł Steph.

Eric poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Nie wiedział, czy na skutek nagłej zmiany przyspieszenia, czy słów Stepha. „Przetestujemy systemy inercyjne” nie było czymś, co chciało się usłyszeć podczas pobytu na pokładzie. Nawet niewielki błąd mógł

skończyć się rozsmarowaniem załogi po ścianach.
„Wtedy przynajmniej szybko się to skończy”.

Rozdział 11

Obiekty istniejące w rzeczywistym wszechświecie definiowane są przez swoją masę w relacji do innych aspektów. Jedynym prawdziwym wyjątkiem od reguły były cząstki zwane przez ludzi tachionami, pozbawione masy, istniejące przez niemierzalny w czasie moment.

Podczas gdy okrętowe technologie, takie jak MP z wczesnych ziemskich okrętów czy bardziej zaawansowane wersje używane przez Priminae oraz współczesne ziemskie jednostki, wpływały na to, jak masa wchodziła w interakcje z wszechświatem, nic nie było w stanie całkowicie pozbawić obiektów masy – czy to najmniejszych protonów, czy największych ciał niebieskich.

Gdy więc „Odyseusz” szarżował na formację wroga z prędkością zbliżoną do świetlnej, a Stephanos odwrócił ciąg, zmiana przyspieszenia niewiele zmodyfikowała, dopóki nie znaleźli się pośród okrętów przeciwnika.

Zmieniła jednak konfigurację generatorów zakrzywienia czasoprzestrzennego „Odyseusza”, umieszczając dodatni bąbel czasoprzestrzenny przed okrętem.

Sterowanie jednostką wielkości Herosa wymagało dwóch zakrzywień czasoprzestrzennych. Bąbel w kierunku, w którym podróżował okręt, musiał być ujemny, żeby ten do niego spadał. Z drugiej strony znajdował się bąbel dodatni, czyli „wzgórze”, z którego okręt opadał w dół. Tworzyło to coś w rodzaju ciągłej fali, na której się unosił.

Odwrócenie wektora przyspieszenia w ruchu oznaczało rozpoczęcie procesu zwalniania i odwracania lotu, ale także wytworzenie ściany czasoprzestrzennej między dziobem okrętu a nadchodzącym ogniem – potężnej na tyle, by zakrzywić i odbić promienie laserów.

Salwa uderzyła w falę grawitacyjną dość mocną, by całkowicie rozproszyć jej fotony.

Znając amplitudę zakrzywienia, Milla ostrożnie przygotowała równania, na których opierać miała się jej własna salwa. Promienie, które wypuszczał „Odyseusz”, nie były odporne na jego pole

grawitacyjne, ale je wykorzystywały. Uderzając w nie, zakrzywiały się, podobnie jak promienie wroga, ale w efekcie uzyskały właśnie docelowy wektor.

Pajęcza sieć promieni dość silnych, by spopielić kontynenty, trafiła w jednostki wroga, przebijając ich kadłuby. Dziesiątki promieni zostało odbitych przez pola czasoprzestrzenne wroga, ale większość trafiła.

Okręty Imperium ginęły wśród ognia i lodu.

Gdy „Odyseusz” był już w samym środku formacji wroga, przeciwnik odpowiedział ogniem.

„Białe rycerz” odbijał dziewięćdziesiąt siedem procent ich mocy, ale były to imperialne lasery. Nawet broń Priminae potrafiła spowodować uszkodzenia przy trzech procentach mocy, a wersja używana przez Imperium była mocniejsza.

– Dostajemy! – oznajmiła Heath, skupiona na kontroli uszkodzeń. – Przebiecia kadłuba na pokładach od trzydziestego do pięćdziesiątego!

Eric skrzywił się. Nie bardzo miał coś do powiedzenia teraz, gdy piłka była w grze i nic nie mogło jej zatrzymać. Jego ekrany pokazywały większość tego, co widziała Heath, ale nie wtrącał się w jej robotę – na razie dobrze sobie radziła.

Wyryw w kadłubie pojawiło się sporo, ale były one w większości płytkie i ledwie naruszały pancierz. Gorzej, gdy zaczęły dostawać w miejsca, w których pancierz już został uszkodzony.

Szum laserów „Odyseusza” był teraz wyraźnie słyszalny. Oznaczało to, że strzelają w dużo szybszym tempie niż zalecane. Eric miał nadzieję, że wytrzymają dość długo, żeby okręt przetrwał bitwę.

– Uwaga, będzie ostro! – oznajmił Steph.

Eric chwycił się krawędzi konsoli, mimo że wiedział, jak bezużyteczny to gest. Jeśli systemy kompensacji inercyjnej zawiodą, wszyscy staną się mokrymi plamami. Rzeczywistym odbiorcą komunikatu była porucznik Chans i miał on przygotować ją do nowych warunków.

Komandor gładko obrócił okręt, osłaniając go przed ogniem wroga za pomocą dodatniego zakrzywienia grawitacyjnego, zaś ujemne

przekręcając tak, by zderzyło się z niszczycielem wroga, który nie uciekał dość szybko.

Eric otworzył szeroko oczy, patrząc na dość przerażający widok tego, jak kadłub okrętu nieprzyjaciela przekręca się i w końcu pęka pod napięciem generowanym przez osobliwość „Odyseusza”. Mniejsza jednostka była rozrywana przez sztuczną studnię grawitacyjną.

– Cholera! – wydusił. – Nie wiedziałem, że osobliwość jest dość silna, by to zrobić.

– Nie jest – odpowiedziała Milla, ustawiając automatyczny tryb ognia. Żaden człowiek nie mógł dotrzymać tempa szalonym manewrom Stepha, zwłaszcza przy zmieniającym się zakrzywieniu czasoprzestrzennym. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Z jakiegoś powodu mamy więcej mocy niż normalnie, Raze – wyjaśnił Steph beznamiętnym tonem kogoś zanurzonego w transie interfejsu neuronowego. – Nie wiem skąd, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– Rób, co możesz – rozkazał Eric. Żołądek wciąż podchodził mu do gardła. – Uderzmy w nich wszystkim, co mamy. Wypuścić resztę PWP. Wycelować działa w niszczyciele i strzelać wedle uznania.

– Aye, capitaine – odpowiedziała Milla.

PWP były dużo bardziej podatne na zakrzywienia grawitacyjne niż lasery, nawet biorąc pod uwagę ich pola MP. Po opuszczeniu okrętu ciężkie pociski kręciły się w przestrzeni. W końcu uruchomiły się ich pola masy przeciwnej i poleciały w pozornie przypadkowych kierunkach.

Przy tak niewielkiej odległości między okrętami PWP nie miały dość czasu, by osiągnąć pełną prędkość, ale też rzadziej pudłowały niż przy większych dystansach.

Gdy dziesięciotonowe bloki uderzyły w cele, generatory pola PM odwróciły polaryzację i ich potężne masy przebiły się przez okręty Imperium jak deszcz żelaza przez papier.

W gąszczu laserów i pocisków kinetycznych rozbłyski tachionów z dział tranzycyjnych przeszły praktycznie niezauważone, gdy „Odyseusz” otworzył wszystkie baterie. Atomowy ogień rozerwał

niszczyciele przeciwnika, jako że przy tej odległości działonowi byli w stanie dokładnie wycelować salwy.

Okręty Imperium odpowiedziały zdwojonym ogniem laserowym, przypalając już uszkodzone burty „Odyseusza”. Promienie wbiły się głęboko w okręt, przebijając jego pancerz. Pokład za pokładem gotował się od ognia wroga.

Sekundy po tym, jak znalazł się wśród wrogich okrętów, w „Odyseuszu” ziała wielka wyrwa, z której ulatniało się powietrze.

– Zabierz nas stąd! – rozkazał Eric. – Niech ktoś prześle mi pełny raport o uszkodzeniach.

– Kompiluję, sir – odpowiedziała Heath. – Nie wygląda dobrze.

– Będzie jeszcze gorzej – odparł ponuro Eric. – Przeżyliśmy tylko dlatego, że uznali, iż nikt nie będzie dostatecznie szalony lub głupi, żeby spróbować zrobić to, co właśnie wykonaliśmy.

Wpatrywał się ponuro w ekrany, na których wyświetlały się raporty o uszkodzeniach.

– Niestety, mieli rację, to było szaleństwo. Jak bardzo źle to wygląda?

– Systemy broni wciąż się trzymają, capitaine – oznajmiła Milla. Brzmiała zbyt spokojnie, jak dla niego.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym sprawdził jej dane biometryczne. Stan zdrowia wszystkich na pokładzie był monitorowany, szczególnie tych na mostku, jako że w kosmosie wszelkie problemy zdrowotne mogły okazać się śmiertelne.

Jej serce dudniło i widział już, że ręce jej się trzęsą. Ktoś, kto nie byłby przerażony po tym, przez co przeszli, nie byłby też kimś, komu chciał powierzać kontrolę nad bronią. Podobnie ktoś, kto nie panował nad swoim strachem. Ten byłby jeszcze gorszy. Eric znał siłę strachu i szanował dyscyplinę, jakiej wymagało jego poskromienie. Skupił się na sterniku.

– Jak stery, Steph?

– Dobrze, Raze – odparł Stephanos lakonicznie, jak zawsze, gdy był w „strefie”.

Ludzie radzili sobie ze strachem na różne sposoby. Eric wiedział, że

gdyby sprawdził dane biometryczne Stepha, okazałoby się, że komandor niemal zasypia. Ale jego krew wykazałaby co innego. Pilot wydawał się tym spokojniejszy, im więcej miał w żyłach adrenaliny.

– Pamiętaj, żeby oddychać, Steph – powiedział Weston. – Łączność?

– Wciąż działa – odparł oficer komunikacyjny.

„O kurczę” – pomyślał Eric.

Po tym, co przeszli, zaskakiwało go, że nie mieli większych uszkodzeń newralgicznych systemów. Zapewne stracili spore ich części, ale „Odyseusza” zaprojektowano z myślą o sporej redundancji. Mimo wszystko jednak to, że byli w funkcjonalnym stanie, zadziwiało.

– Mamy nowe dane, sir – oznajmiła technik obsługująca skanery. W jej głosie brzmiało więcej zaskoczenia niż przerażenia.

Całkiem dobrze to rozumiał.

– Co jest?

– Priminae zaatakowali wroga, gdy my znaleźliśmy się w środku formacji – powiedziała drżącym głosem.

„Zapewne dlatego przeżyliśmy” – pomyślał Eric.

– Zrozumiano. Co z pozostałymi Herosami?

– Rozpoczynają ostrzał z większej odległości.

Eric uśmiechnął się.

– Cóż, są chyba mądrzejsi od nas.

Steph parsknął, a parę osób roześmiało się nerwowo. Eric tymczasem próbował ustalić, co robić dalej.

„To zawsze jest problem, gdy przeżyje się coś, co miało zabić” – pomyślał z wisielczym humorem. „Nigdy nie ma planu na szczęśliwy traf”.

Miał jednak dość doświadczenia z tego rodzaju sytuacjami, by zacząć wyciągać wnioski. Czas zrobić to, co zawsze robił w przeszłości, tylko być może tym razem sprawniej, dzięki większej wiedzy.

Dostosować się. Improwizować. Przewyciężyć przeszkody.

– Steph, przygotuj się do kolejnego ataku.

– Aye, sir – odparł komandor bez śladu wahania, choć Eric widział niepewność na twarzach reszty załogi.

– Nie możemy wyglądać na słabych – wyjaśnił. – Czas, żeby upewnić wroga, że osiągnęliśmy zamierzony efekt.

– Racja – dodał Steph lakonicznie. – Lepiej niech myślą, że kompletnie zwariowaliśmy, niż że mieliśmy awarię.

Z otwartych ran „Odyseusza” ulatniało się powietrze i różnego rodzaju odłamki. Pozostawiał za sobą smugę kryształków lodu, lśniących w świetle lokalnej gwiazdy. Piękno tego obrazu maskowało trud zespołów naprawczych, przeciskających się przez zniszczone korytarze, a czasami i przez ciała poległych.

– Rozciąć tę ścianę, inaczej nigdy się tam nie dostaniemy – warknął Dixon, powstrzymując się przed próbą kopnięcia przeszkody.

I pewnie udałooby mu się przebić. Ze spawów, które trzymały ściankę w miejscu, zostało niewiele. Ale gdyby źle wycelował, ryzykowałby rozcięcie skafandra.

Zespół naprawczy przyniósł lasery i zaczął pracować przy blokujących przejście ścianach. Nowe przecinacze były lżejsze i potężniejsze niż te, których używali wcześniej, ale niosły ze sobą nowe zagrożenia, szczególnie gdy zespół zbliżał się do zewnętrznego kadłuba i wszelkich wciąż aktywnych elementów pancerza.

Odbite światło dawnych przecinaczy laserowych mogło co najwyżej osmalić skafandry, gdy się nie uważało, ale nowe z łatwością cięły zarówno kompozytowy materiał, jak i mięso oraz kości, przy ułamku dawnej mocy. Dixon obserwował więc uważnie ludzi, również za pomocą oprogramowania uruchomionego na wizjerze. Poruszali się szybko, ale ostrożnie.

„Nie ma tylu ciał, ilu można by się spodziewać” – pomyślał z ulgą, ale i pewnym wstydem.

W czasie walki niemal całą załogę wycofano na wewnętrzne pokłady. Na tych bliżej pancerza zostały jedynie zespoły szybkiego reagowania w ciężkich skafandrach.

Niestety, nie wszystkim to pomogło.

Niektórzy po prostu mieli pecha i zostali spopieleni bezpośrednio przez promień lasera. Innych, znajdujących się bardziej w głębi okrętu, zabiła dekompresja, wysysając ich w kosmiczną czerń.

W najlepszym razie miną godziny, zanim załoga zostanie przeliczona, a jej stan zweryfikowany.

„Patrząc po tym, jak tu wygląda, nie spodziewam się dobrych wieści”. Dixon westchnął, przyglądając się uszkodzeniom.

Nigdy by nie uwierzył, jak głęboko i szeroko promienie laserów mogły rozciąć „Odyseusza”, gdyby nie widział tego na własne oczy.

Poczuł mocne drganie. Zobaczył, że ściana została usunięta i upadła cicho w niemal całkowitej próżni.

– Dobrze, idźcie do wyrwy. Chcę mieć atmosferę w ciągu godziny albo nigdy tu nie posprzątamy!

Poszedł za ludźmi niosącymi ciężki sprzęt naprawczy. Musieli to robić fizycznie, bo nie było dość miejsca, aby skorzystać z podnośnika opartego na masie przeciwnej. Nie było to proste, ale cóż, praca to praca.

Dotarli do wyrwy i znów do gry wkroczył przecinacz laserowy. Tym razem z niższym ustawieniem mocy, by wygładzić poszarpany pancerz i wyczyścić go z przypadkowych odłamków. Dixon poczuł ucisk w żołądku i mdłości, kiedy patrzył na kosmiczną przestrzeń przez ten otwór, ale jakoś udało mu się opanować. Nie miał czasu na choroby.

Łata składała się z ceramicznego betonu, miała pneumatyczne mocowanie. Umieścili ją w odpowiednim miejscu, po czym uruchomili mechanizm i odstąpili, by patrzeć, jak wszystko układa się w całość. Na początku konstrukcja miała około trzech metrów kwadratowych, ale powiększyła się czterokrotnie i w końcu wypełniła cały otwór. Była dość elastyczna, by dopasować się do kształtu uszkodzenia. Polali ją jeszcze katalizatorem i patrzyli, jak reakcja egzotermiczna utwardza materiał, generując jednocześnie ogromne ilości ciepła. Ostatecznie mieli całkiem solidny kawałek pancerza. Bariera nie była dość gruba, by przetrzymać atak przeciwnika, ale solidna dostatecznie, żeby chronić załogę przed zwyczajnymi niebezpieczeństwami czyhającymi w przestrzeni kosmicznej.

– Rozpylić pianę dyfrakcyjną i zaplombować – rozkazał Dixon. – Mamy jeszcze trzy dziury na tym poziomie. Dopiero potem będziemy mogli wpuścić powietrze.

To miał być długi dzień dla „Odyseusza”.

Podczas gdy na niemal każdym pokładzie ciężko pracowały zespoły naprawcze, Eric Weston próbował ustalić, co właściwie wpakowało

ich w kłopoty.

Początkowo zamierzał wykonać coś w rodzaju manewrów wojennych, użyć trzech krążowników i wywabić siły wroga tak, aby mogły zająć się nimi Włóczęgi. Nieoczekiwane superprzyspieszenie „Odyseusza” doprowadziło do konieczności zmiany planów.

Teraz musiał ustalić, co się właściwie stało, i zapobiec ponownemu takiemu zdarzeniu, chyba żeby udało się to kontrolować. Powinien też znaleźć sposób, by wrócić do pierwotnego planu bitwy.

„No cóż, przynajmniej naruszyliśmy szyki wroga”.

Imperialni nie mogli zbudować teraz spójnej formacji. Nie żeby Weston im się dziwił. Krążownik zasilany przez dwie czarne dziury o masie planet nie był czymś, co chciało się mieć w samym środku floty. Niewiele brakowało, a spowodowałby reakcję łańcuchową, która mogłaby potencjalnie zniszczyć wszystko na sporym kawałku przestrzeni.

Ta konstatacja sprawiła, że Ericowi przyszła do głowy pewna myśl.

„Ciekawe, dlaczego nigdy nie wykorzystali osobliwości jako broni? To w końcu coś przerażającego i potencjalnie bardziej niszczycielskiego niż antimateria”.

Na razie jednak nie zamierzał się w to zagłębiać. Miał ważniejsze rzeczy na głowie.

– Steph, co z naszym kursem? Wygląda... dziwnie.

– Bo próbuję walczyć z okrętem, Raze. – W głosie sternika słyhać było frustrację. – Mamy dziwne fluktuacje pól grawitacyjnych.

– Tracimy stabilność? – spytał Eric.

To byłyby złe wieści. Utrata stabilności generatorów grawitacyjnych zakrzywiających czasoprzestrzeń była czymś bardzo groźnym dla całego tego kawałka układu gwiazdowego na kilka najbliższych dekad.

– Raczej nie. Szczerze mówiąc, czuję się, jakbym płynął pod prąd. Jakby...

– Niech ktoś się, do cholery, wreszcie dowie, co jest grane z naszymi systemami – warknął Eric.

– Nasi ludzie nad tym pracują – zapewnił główny inżynier. – Ale na razie nie mają szczęścia.

– Niech dobrze szukają.

– Tak, sir.

Eric podszedł do stanowiska pilota i pochylił się nad fotelem.

– Dasz sobie radę, Steph?

– Żaden problem. Bywało gorzej.

Eric skinął głową i wrócił na swój fotel, udając, że nie słyszy szeptu Steph'a chwilę później.

– No dalej, trzymaj się jakoś, wiem, że to trudne, ale damy radę...

Rozdział 12

Druel spoglądał w ciszy na dane telemetryczne.

Nie był sam. Na całym pokładzie dowodzenia panowała dość znacząca cisza.

– Co to było, na Otchłań? – wykrztusił w końcu. – Jaki mieli plan? Czy ktoś go zrozumiał?

Jego oficer komunikacyjna trzęsła się w fotelu.

– Nie, sir. Plan był inny. Jestem teraz połączona z ich siecią bojową. „Odyseusz” doznał awarii.

– Jaka awaria zwiększa moc okrętu powyżej nawet teoretycznego maksimum?

– Nie wiedzą. Wszystko, co zdarzyło się potem, było... improwizacją.

– Mrugnęła i przechyliła głowę, czytając dane z ekranu.

Druel zakrył twarz dłońmi i masował przez chwilę skórę, po czym odgarnął włosy i wziął głęboki oddech.

– W takim razie dobrze, że ich osłanialiśmy. Weston to uosobienie chaosu, przysięgam na Otchłań.

– Sir! – wydusił z siebie oficer obsługujący skanery.

– Co? Co znowu? – Druel bał się odpowiedzi.

– „Odyseusz”... zmienia kierunek lotu. Przygotowują się do kolejnego ataku.

Druel na chwilę oniemiał. Spojrzał na mężczyznę, po czym znów na ekrany, gdzie okręt rzeczywiście to robił.

– Niemal boję się spytać, ale co mówi o tym ich sieć bojowa? – rzucił Druel, nie patrząc na oficer komunikacyjną.

Zaskoczona kobieta spojrzała znów na ekran.

– Wygląda na to, że kapitan Weston chce, aby wróg myślał, że jego poprzedni manewr był celowy.

Druel jęknął.

„Oczywiście”.

– Terranie. Jeśli wszyscy są tak szaleni, Drasinowie byli chyba miłośnikiem.

– Sir? – Kobieta spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Wspieramy ich – rozkazał Druel. – Dopasować kurs do wektora

Terran. Utrzymać wspólny szyk. Tym razem pokażemy wrogowi, na co nas stać.

Okręty Priminae zmieniły kurs i przyspieszenie, by dołączyć do „Odyseusza”, który ponownie zmierzał w stronę wroga. Po drugiej stronie formacji Imperium pozostałe dwa Herosy zbliżały się z nieco mniej szaloną prędkością. Zaś ich Włóczęgi wciąż kryły się w ciemnościach.

Na „Janosiku” Aleska Stanislaw nie była bardziej zadowolona z sytuacji niż dowódca Priminae, choć lepiej rozumiała motywy komodora.

– Proszę zanotować – odezwała się do pierwszego oficera. – Chcę, żeby przejrano wszystkie nasze systemy aż do poziomu kwantowego, gdy to się skończy. To, co się stało, mogło mieć źródło w technologii Priminae, ale winne może być też oprogramowanie wspólne z Włóczęgami.

– Zanotowano, skipper. – Jürgen skinął głową.

Nagły szaleńczy manewr „Odyseusza” całkowicie zmienił pierwotne plany, ale pozostałe Herosy utrzymały kurs i nie sygnalizowały chęci zmiany szyku, więc ona również trzymała się początkowych założeń.

– Mocno przeorali formację wroga, kapitanie – powiedział cicho jej pilot. – Myślałem, że będzie po nich.

– Pewnie byłoby, gdyby nie wsparcie Priminae. Chociaż spodziewam się, że jeszcze bardziej pomogło im to, że nikt po drugiej stronie nie wierzył w możliwość popełnienia takiego szaleństwa.

Rozległ się śmiech załogi.

„Ja na jego miejscu potrzebowałabym chyba nowych spodni”.

Siła ognia jednostki klasy Heros zapierała dech w piersiach, szczególnie na tak małym dystansie, na jaki Weston podszedł do wroga. Zwykle walczono na ogromne odległości i efekt ten nie był aż tak spektakularny. Nagrania „Odyseusza”, który wypuszcza wszystko, co ma, prosto w twarz przeciwnika, zapewne wejdą do kanonu kształcenia w akademii.

Jako przykład tego, czego absolutnie nie robić.

– Przygotować się do ataku – rozkazała. – Ponieśli straty, ale nadal

mają przewagę liczebną, więc niech pyrrusowe zwycięstwo „Odyseusza” nie uderzy wam do głowy. Walka się jeszcze nie skończyła.

– Boże, on to przeżył – powiedział Roberts, kręcąc głową.

Nie mógł stwierdzić, czy czuł ulgę, podziw, czy tylko kompletne niedowierzanie na widok tego, jak jego były kapitan po raz kolejny wymyka się śmierci w sytuacji, w której inni dziesięć razy zdążyliby zginąć.

– Raze ma zbyt wiele szczęścia, by zginąć, sir – stwierdził komandor porucznik Little przy sterach.

– Szczęście zawsze się kiedyś kończy – odparł stanowczo Roberts.

– Proszę spróbować pograć z komodorem w karty i wtedy to powiedzieć. Rzadko lataliśmy do walki, nie wisząc mu pieniędzy. Żartowaliśmy, że nie pozwala nam zginąć, dopóki nie spłacimy długów. Cóż, dla większości z nas to działało.

Roberts parsknął.

– W takim razie ciekawe, jakiemu bogu komodor jest winny pieniądze, bo ktoś zdecydowanie czuwa nad tym durniem.

Załoga mostka spojrzała ze zdumieniem na swojego zwykle małowównego kapitana, nie wierząc własnym uszom. Ale on zdążył już wrócić do swojego typowego stoicyzmu.

– Zaraz ostatnia zmiana kursu przed walką. Sprawdzić wszystkie systemy i zająć stanowiska – rozkazał.

Zapadła chwila ciszy, zanim ktokolwiek przemówił. W końcu jednak instynkt i przyzwyczajenia wzięły górę i wszyscy zaczęli robić swoje.

– Aye, sir. Wszyscy na stanowiska.

Na imperialnym okręcie flagowym panował mniej wesoły nastrój, choć jego załoga była równie zdezorientowana.

– Jak, na Otchłań, udało im się to przeżyć? – ryknęła Misrem, choć znała odpowiedź.

Przetrwali, bo nikt, nawet ona sama, nie wierzył, że zrobią to, co

zrobili. Cóż, dzięki temu oraz wsparciu laserowemu ze strony Przysiężnych, którzy zaatakowali ją z flanki.

Jej okręty znajdowały się teraz w kiepskim stanie, ale podobnie było z wrogiem. A przynajmniej w większości – dwa pozostałe krążowniki wciąż nie odniosły uszkodzeń i miała pewność, że wrogie niszczyciele nadal gdzieś się kryją. Nie wiedziała, dlaczego jeszcze nie zaatakowały. Sama użyłaby ich, aby osłabić wroga, zanim rozważyłaby taką samobójczą szarżę.

Jeszcze długą chwilę po niej była cała spięta, bo spodziewała się, że stanowiła przygotowanie do ataku niszczycieli, ale to też się nie zdarzyło.

Misrem niemal tego żałowała.

Wciąż nie miała pojęcia, jakiej taktyki trzymają się anomalie. Ta niewiedza ją denerwowała.

– Wrócić do szyku – rozkazała. – Pozostałe krążowniki niedługo znajdą się w zasięgu ataku...

– Zwierzchniczko! – krzyknął oficer obsługujący skanery.

Odwróciła się.

– Co znowu?

– Wrogie okręty. Oni zawracają!

– Co robią?!

Była pewna, że nie są dość sprawni, by wrócić do walki. Mimo że przetrwali ten dziwaczny atak na jej okręty, tracili powietrze i musieli ponieść znaczne straty w ludziach.

Podeszła do monitora, by zobaczyć dane na własne oczy.

„To szaleńcy” – pomyślała na widok danych telemetrycznych. „Co z nimi jest nie tak? Tak się nie robi. Walka to nie miejsce na głupie posunięcia”.

– Eskadra Przysiężnych zmieniła kurs i dołącza do nich – dodał nerwowo technik, wskazując inny z ekranów.

– To szaleństwo zaraziło nawet ich – szepnęła Misrem z niedowierzaniem.

To nie pasowało do Priminae.

„Co zrobiliśmy, gdy spuściliśmy na Galaktykę Drasinów? Przysiężni nigdy by tak zajadle nie walczyli. Poddaliby się dawno temu, przynajmniej ci, którzy by przetrwali. Każdy profil psychologiczny tak mówi. Jak to możliwe, że nastąpiła pomyłka?”

Znała dobrze sposób myślenia Przysiężnych i nic nie tłumaczyło

tego, co właśnie się działo. Powinni uciekać, aby przegrupować się i wrócić z większymi siłami.

„Jeśli to przykład tego, z czym mamy do czynienia, Imperium może potrzebować więcej niż jednej floty w tym sektorze. Znacznie więcej”.

Możliwości produkcyjne Przysiężnych stanowiły poniekąd tajemnicę, choć analitycy imperialni byli niemal pewni swoich szacunków. Jeśli mieli rację, Misrem wiedziała, że obecne siły Imperium mogły mieć spore kłopoty.

Mieli dość sił, by zmusić Przysiężnych do kapitulacji w oparciu o dostępne profile psychologiczne, ale te profile nie zawierały informacji o skłonnościach do rzucania okrętu za okrętem w wir walki, aż w przestrzeni nie będzie dryfować ani kawałek złomu. Jeśli zamierzali walczyć do ostatka, Misrem wiedziała, że ma zbyt mało sił.

Sprawdziła pozycje znanych celów. Wyglądało na to, że uderzą na jej pozycje z obu stron mniej więcej w tym samym czasie. Trudno było dokładnie to ocenić, bo wiele z okrętów wciąż przyspieszało.

– Mam tego dość – stwierdziła. – To kompletni imbecyle, posiadający o wiele większe siły, niż powinni przy takiej predylekcji do szalonych działań.

Wciąż miała dość okrętów, by stawić czoła nieprzyjacielowi, ale kosztem niemal kompletnej dewastacji własnych jednostek, nawet jeśli zwycięży. W najlepszym przypadku, zakładając brak kolejnych niespodzianek, straciłaby co najmniej dwie trzecie okrętów, zanim przeciwnik zostałby unieszkodliwiony.

„Nie do przyjęcia”.

Wycofanie się było jednak jeszcze mniej akceptowalne.

„Jak, na Otchłań, wdałam się w walkę na śmierć i życie o bezużyteczny dla Imperium układ Przysiężnych? To kompletny absurd”.

– Czy mamy informacje od żołnierzy wysłanych na okręt wroga? – spytała, patrząc na oficera komunikacyjnego.

– Bez problemu dokonali abordażu i powinni niedługo zdobyć potrzebne informacje.

Misrem skinęła głową. Potrzebowała tych danych, by jej misja nie okazała się fiaskiem.

– Dobrze. W takim razie kurs na wrogi okręt. Poinformować ich, że chcę, aby opuścili pokład razem z danymi, zanim tam dolecimy.

– Tak, zwierzchniczko.

Gdy tylko eskadra zaczęła zmieniać kurs, rozległ się alarm, ku zaskoczeniu wszystkich.

– Co tym razem? – syknęła Misrem.

– Wykryto wrogi niszczyciel. Zaraz będzie w zasięgu ataku!

Misrem jęknęła cicho, ale nie mogła z tym nic zrobić.

– Przygotować przeciwśrodki na wszystkich okrętach! Osłaniamy naszych na krążowniku wroga i chcemy ich stamtąd ewakuować jak najszybciej. A wtedy zabieramy się z tego szaleństwa!

Rozdział 13

– Ma’am – pilot promu zbliżającego się do „Tetanny” odwrócił się przez ramię – powinna pani to zobaczyć.

Pułkownik Conner odpięła pasy, podeszła do kokpitu i pochyliła się nad pilotem.

– Co jest?

Mężczyzna wskazał na przestrzeń przed nimi, gdzie „Tetanna” unosiła się pośród czerni i rosła na ekranie.

– Widzi pani te światła?

– Widzę.

– Nie widzieliśmy ich z dalszej odległości, ale to okręty, i to nie Priminae.

– Kurwa!

Na promie ratunkowym był oddział marines, ale nie dość liczny, żeby poradzić sobie z poważnym abordażem. Poleciała na tę misję, bo jej marines i tak nie mieli co robić, a to była szansa, żeby zająć się czymś sensownym.

Wyglądało na to, że dostanie więcej, niż przypuszczała.

– Wciąż musimy się tam dostać. Damy radę się przebić?

– Nie mamy komunikacji z załogą, ale zdołamy wejść przez wyrwy w kadłubie. Niektóre są dość spore. Żeby dostać się na pokład, trzeba będzie użyć przenośnych śluz.

– Dobrze, nowy plan. Spróbujemy wejść na pokład. Proszę zacumować nas w miejscu, gdzie nas od razu nie zestrzelą. Gdy moi ludzie wejdą na pokład, ma pan odlecieć na bezpieczną odległość i nie wdawać się w starcie z wrogiem, jeśli to możliwe.

– Bez obaw.

Prom, nawet obsadzony i dowodzony przez marines, nie nadawał się zbyt do walki. Mieli jakieś lasery w razie potrzeby, ale te stateczki były zbyt małe, żeby wyposażyć je w porządną pancierz, a poza tym miały za zadanie głównie dostarczać ludzi i ładunki na miejsce, więc nie mogły przenosić zbyt ciężkiego własnego uzbrojenia.

– Proszę nas tam zawieźć. Damy sobie radę z całą resztą. Ale gdy będzie trzeba się zmywać...

- Będziemy czekać, pułkowniku. Proszę się nie martwić.
- Dobra. – Poklepała go po ramieniu i odepchnęła się, dryfując w nieważkości na tył wahadłowca. – Sierżancie!
- Pani pułkownik? – Sierżant wyprostował się na baczność, co było nieco zabawne. Z podziwem jednak zauważyła, że szybko udało mu się przekreślić w nieważkości równoległe do niej.
- Wyciągnąć sprzęt – rozkazała. – Ktoś nas uprzedził, więc będziemy musieli zapewne zmierzyć się z wrogiem na pokładzie.
- Przyjąłem – odparł, a następnie ryknął: – Marines! Przygotować sprzęt!

Promy z piechotą morską, wysłane z „Odyseusza”, zbliżały się do „Tetanny” trajektorią balistyczną do niemal ostatniej chwili. Odpaliły silniki manewrowe z pełną mocą, gdy znalazły się blisko uszkodzonego krążownika.

Prowadzący prom uruchomił pole masy przeciwnej, podchodząc do wyrwy w kadłubie, i wleciał do niej w całości. Kokpit został już uszczelniony, a marines znajdowali się w próżni, gotowi do akcji. Otworzył się właz i oddział czołowy wyskoczył na spalony pokład.

Pozostali zaczęli wyrzucać sprzęt z tyłu wahadłowca, nie zważając na porządek, a następnie wyskoczyli sami.

Wyładowanie promu zajęło nieco ponad trzy minuty. Następnie marines usunęli się, by prom mógł odlecieć i zrobić miejsce dla kolejnego.

Na przeorany przez lasery pokładzie okrętu Priminae Conner kazała swoim marines ruszać się, zanim prom zdążył odlecieć. Mieli robotę do wykonania.

– Zamontujcie przenośną śluzę przy tej ścianie. – Wskazała miejsce, które wyglądało na względnie nienaruszone.

Przy odrobinie szczęścia marines mogli szybko dostać się na pozostałe pokłady. Ale zdawała sobie sprawę, że na razie mieli spore szanse na natknięcie się na kolejne pozbawione powietrza części okrętu, w których trudniej było nawigować. Gdyby trafili do ślepego zaułka, mogłoby ich to spowolnić na tyle, że wróg zdołałby przejąć pełną kontrolę nad jednostką.

– Kapralu Han – zatrzymała jednego ze swoich specjalistów od komunikacji – podłączcie mnie do sieci okrętu. Chcę wiedzieć, czy ktoś wciąż tu dowodzi.

– Tak, ma’am. – Kapral szybko zasalutował, po czym chwycił za komputer z zestawem przekaźników i ruszył do najbliższego panelu.

– Sierzancie! – zawołała. – Musimy przyjąć, że aby uzyskać dostęp do istotnych części okrętu, potrzebujemy wielu śluz. Niech ktoś wyznaczy najszybszą możliwą ścieżkę na pokłady wewnętrzne. Chcę mieć czystą drogę ewakuacyjną, zakładając, że znajdziemy załogę. To znaczy, że trzeba będzie po drodze zabezpieczać śluzy.

– Tak, ma’am. Możemy dopasować pułapki do naszych sygnałów rozpoznawczych – powiedział z wahaniem.

Conner rozumiała, z czego wynika jego niepewność. Myśl o zostawieniu za sobą pułapek i poleganiu na transponderach również ją przyprawiała o ciarki. Wystarczyłoby, że wróg zagłuszy sygnał w złym czasie i miejscu, aby wpadli na własne miny.

Niestety, miała za mało marines, by rozważyć inne możliwości.

– Zróbcie to – rozkazała. – Miny kierunkowe powinny wystarczyć.

– Tak jest.

Podczas gdy ludzie zabrali się do wykonania zadań, wyciągnęła komputer i zaczęła pracować nad wyznaczeniem najlepszej drogi do maszynowni i pokładu dowodzenia. To były dwa najbardziej newralgiczne miejsca okrętu i zapewne wróg również na nich się skupiał. Oba znajdowały się w głębi kadłuba, dobrze chronione przez kolejne warstwy ceramicznych ścian, ale rozmieszczono je po przeciwnych stronach głównego rdzenia, co było dość niefortunne.

„Nie mam dość ludzi, żeby rozdzielić siły. Najpierw mostek czy maszynownia?”

Ostatecznie zdecydowała się na maszynownię. Musieli się dowiedzieć, jak bardzo uszkodzony jest okręt, a w tym miejscu powinni uzyskać najpełniejszy dostęp do tego rodzaju informacji. Pokład dowodzenia zapewne je miał, ale zależnie od tego, jak bardzo był uszkodzony, mogło dość do odcięcia komunikacji między tymi obszarami.

– Pułkowniku! – odezwał się kapral Han przez sieć taktyczną. – Udało się. Wewnętrzne układy komunikacyjne wydają się nietknięte, ale wygląda na to, że padło morale. Na wszystkich kanałach słychać panikę, głównie wezwania ekip naprawczych, ale też raporty

o atakach wroga.

– Jakież komunikaty w pobliżu maszynowni albo mostka? – spytała, łącząc się z systemem.

– Trudno stwierdzić. Panuje tam straszny chaos.

– Nasłuchuj dalej i daj mi znać, jeśli coś się wyklaruje. Ruszamy do maszynowni, gdy tylko przygotujemy służbę.

Korytarze rozświetlały rozbłyśki laserów, tworząc śmiercionośną sieć, która sprawiała, że wszyscy po obu stronach walki trzymali głowy nisko, jednocześnie do siebie strzelając.

Semicenturion Leif przycisnął się do ceramicznej ściany i wykrzykiwał rozkazy, zarazem strzelając z miotacza w wypełniające się dymem powietrze. Wiedział, że ten dym rozproszy promienie, ale przy niewielkich odległościach nie był to bardzo istotny czynnik, jedynie zwiększała się zauważalnie temperatura na pokładzie.

Jeśli wkrótce nie skończą tej walki, zacznie to stanowić problem. Nie wiedział, czy systemy chłodzenia wciąż działały. Lasery mogły szybko rozgrzać okręt do niebezpiecznego poziomu, nawet jeśli działały nieco poniżej optimum, a podejrzewał, że na okręcie Przysiężnych nic nie funkcjonowało już na optymalnym poziomie.

„Musimy osiągnąć cel i uciec z tej pułapki, zanim się ugotujemy”.

Początkowo desant szedł gładko. Nikt nie był gotów na bezpośrednią walkę, dlatego zorganizowanie jakiegokolwiek oporu zajęło Przysiężnym mnóstwo czasu. Teraz to się zmieniło. Opór stawał się zaciekły, ale niezbyt skuteczny. Niewielu z przeciwników wydawało się rozumieć dość dobrze działanie własnej broni, a jeszcze mniej wykazywało wolę walki.

Nie oznaczało to, że było łatwo. Nawet niechętna walce dłoń mogła wypuścić laser o takiej samej mocy co gorliwa, a gdy promienie przeszywały powietrze, tylko głupiec próbował szarżować.

Głupiec albo żołnierz z ważną misją.

– Oczyścić ten pokład. Uruchomić automatyczne systemy ognia. Chcę się przebić do głównego komputera, zanim zwierzchniczka zdecyduje się zostawić nas tutaj, żebyśmy się ugotowali!

Jego ludzie rozproszyli się bez słowa. Znali swoje zadania i zaczęli je

wypełniać, zanim skończył mówić.

Leif był niemal zawiedzony słabością oporu, mimo jego względnej zaciekłości. Była to prymitywna obrona, którą mógłby bez trudu przełamać, gdyby wyznaczono mu taki właśnie cel. Spodziewał się, że obrońcy zostali wyposażeni w broń bardziej pasującą do okoliczności.

Strzelanie z laserów bojowych na pokładzie własnego okrętu nie było najlepszym pomysłem. Nawet jeśli nie przebiły kadłuba, co zawsze mogło się zdarzyć, wzrost temperatury stanowił obciążenie dla wszystkich systemów.

Leif nie mógł zdecydować, czy Przysiężni są samobójcami, czy idiotami.

W każdym razie nie był to jego problem.

Nagła seria eksplozji zaskoczyła Leifa. Wyrzwał za róg i zobaczył, jak spora sekcja ściany opada na pokład pośród kłębow dymu.

„Co to ma być, na Otchłań?” – pomyślał, cofając się.

– Czy to nasi?

– Nie, sir – odparł zastępca. – Nie ma tam nikogo od nas.

– Wątpię, aby Przysiężni zrobili wielką dziurę we własnym okręcie. Co tu się dzieje?

– Wysadzić.

– Tak jest. – Kapral cofnął się za róg i uruchomił detonator. – Uwaga na wybuch!

„Tetanna” odniosła tak duże uszkodzenia, że wszystkie szyby wind były niesprawne. Praktycznie każdy pokład został w jakimś stopniu zniszczony, co odcinało Conner i jej marines od większości bezpośrednich dróg do maszynowni i pokładu dowódczego. Próba obejścia barier zajęłaby zbyt wiele czasu.

Conner postanowiła więc stworzyć nową, bezpośrednią drogę.

Ładunki wybuchły w serii eksplozji, która wycięła trzymetrowy otwór w ceramicznej ścianie okrętu. W chwili, gdy część ściany zaczęła opadać, marines już ruszali naprzód.

W powietrzu po drugiej stronie lśniły promienie laserów, które zgasły, gdy zarówno Priminae, jak i żołnierze Imperium spojrzeli w ich stronę.

– Granaty dymne! – rozkazała Conner.

Opancerzeni marines podążający na czele formacji odpięli z pasów granaty i rzucili je przed siebie. Ładunki zaczęły syczeć, jeszcze zanim upadły na pokład i korytarz wypełnił lśniący, biały dym, osłaniający szarżę marines.

Conner została z tyłu z dwuosobową obstawą i monitorowała sieć taktyczną.

– Pierwszy oddział na prawo. Wróg z ręcznymi laserami na waszej drugiej. Unieszkodliwić ich! Trzeci oddział, osłaniać załogę Priminae i wyciągnąć ich z dymu. Nie widzę, żeby mieli maski gazowe.

Rozpraszający lasery dym składał się z substancji, których nie należało wdychać. Współczesna medycyna pozwalała na wymianę płuc, ale pułkownik nie życzyła tego nikomu.

Żołnierze nieprzyjaciela mieli pełne pancerze środowiskowe, więc dym nie miał wpływu na ich zdrowie. Ale tak zwane zatrucie ołowiem było zupełnie inną kwestią.

„Oczywiście współcześnie raczej uranem” – pomyślała Conner.

Kłęby dymu wypełniające korytarz okrętu były zwykle złym znakiem.

Leif nie wiedział, co się dzieje, ale nie zapowiadało to nic dobrego. Co gorsza, dym ulatniał się z wrzuconych do pomieszczenia obiektów, więc najwyraźniej zrobiono to celowo.

„Tak jak myślałem, lasery to zły pomysł” – skonstatował ponuro, wpatrując się w zbliżającą się ścianę dymu.

Widział jakieś poruszające się sylwetki i szybko wystrzelił z lasera w ich stronę. Nie bardzo zaskoczyło go, że promień rozproszył się na wszystkie strony i że stał się niegroźny. Temperatura w pomieszczeniu wzrosła niemal natychmiast o pół stopnia, ale laser przestał być śmiertelnościaną bronią.

„Ciekawe rozwiązanie problemu”.

– Czas na zwanie z wrogiem – oznajmił. – Dym rozproszy ich lasery w takim samym stopniu, jak...

Rozległ się huk i jeden z jego ludzi padł.

– Co to było, na Otchłań? – warknął Leif, szukając osłony.

– Broń kinetyczna, sir!

„Przebijająca nasz pancierz bojowy? Zgodnie z danymi naszego wywiadu Przysiężni nie dysponują takimi środkami!”

Leif słyszał plotki, że w tym regionie pojawił się nowy gatunek, używający okrętów wykraczających poza standardy Imperium, ale nie było żadnych raportów o bezpośrednich starciach. A na pewno nie o walkach piechoty. Jeśli to byli oni, mogło się okazać, że informacje, po które ich wysłano, otrzymają z pierwszej ręki.

– Przysłać trzecią kohortę – rozkazał. – Czy mamy już systemy ognia automatycznego?

– Tak, semicenturionie.

– Dobrze. Ustawić je tutaj. Powstrzymać siły wroga, podczas gdy my dokończymy pracę. Upewnić się, że nagrają i przekażą dalej wszystko, co się stanie.

Kapral Jack Rivers prowadził pierwszy oddział, używając wizjera termicznego, ale takie rozwiązanie średnio się sprawdzało ze względu na cząstki rozgrzanego metalu, zawieszane w białym dymie.

Czuł się jak w piekle. Widoczność była niemal zerowa, namierzanie termiczne niewiele lepsze i robiło się coraz gorsze, gdy tylko ktoś wystrzelił z lasera. Nawet sieć bojowa między nim a resztą oddziału działała tak powoli, jak połączenia, o których słyszał wcześniej tylko na lekcjach historii.

„Co to właściwie jest megabit w prawdziwych jednostkach?” – pomyślał, zirytowany powolnym przesyłem danych.

Z drugiej strony jednak nie zamienił się w różową mgiełkę za sprawą idiotycznie silnych laserów bojowych. Z frustracją jakoś sobie radził.

Karabin szturmowy trzymał oparty na ramieniu, ale nie spoglądał przez jego celownik. I tak byłby teraz bezużyteczny, w najlepszym razie marginalnie skuteczniejszy niż jego HUD.

Uniósł pięść.

– Zatrzymać się. Widzę ruch.

– Przyjąłem – usłyszał niewyraźną odpowiedź pośród szumu. – Stoimy.

Pierwszy oddział zatrzymał się za nim, podczas gdy Rivers przyklęknął i uruchomił skanery ultradźwiękowe. Dym tylko nieznacznie zakłócał ich działanie, ale miały bardzo ograniczony zasięg i ich wyniki czasami niełatwo dało się zinterpretować. Kapral nie był ekspertem, ale nie martwił się teraz szczegółami. Po prostu szukał przesunięć dopplerowskich pasujących do charakterystyk człowieka, ufając, że wróg znajdował się przed nim, a sojusznicy z tyłu.

– Widzę cel – powiedział cicho, naciskając spust i wysyłając w stronę poruszającej się sylwetki serię pocisków. Wróg padł jak marionetka, której przecięto sznurki. – Cel zdjęty.

– Dobra robota, Rivers – pochwalił go sierżant. – Widzisz jeszcze kogoś?

– Ruch na skanerach dźwiękowych. Nic solidnego. Nic w zasięgu wzroku.

– Przyjąłem. Ruszaj naprzód, jeśli uważasz, że dasz radę.

– Potwierdzam, ruszamy naprzód.

Dym się przerzedzał, dając mu lepszą widoczność, ale też bardziej narażając ich na ogień nieprzyjaciela. Zanim więc wstał, Rivers chwycił kolejny granat.

– Wypuszczam dym – powiedział.

Granat stukał o pokład, podskakując, zaczął unosić się z niego lśniący dym. Z obrazem ultradźwiękowym jako głównym na wyświetlaczu hełmu, Rivers wstał i ruszył naprzód.

Przeszedł trzy kroki, zanim w uszach odezwały mu się alarmy. Zaklął i padł na podłogę.

– Kurwa! Co to było? – zawołał, czołgając się do ściany, podczas gdy skanery pancerza wykazywały, że temperatura wzrosła o kolejny stopień. Chryste, co tu się stało?

– Impulsy laserowe z kilku źródeł. Utrzymajcie pozycję, jeśli możecie. Jeśli nie, wycofajcie się – rozkazał sierżant. – Próbujemy określić rozmieszczenie wroga.

– Rzucić tam odłamkowy? Może to ich wykurzy, sierżancie.

Zapadła krótka cisza, zanim padła odpowiedź:

– Zrób to.

Rivers chwycił za okrągły granat przy pasie, aktywując ładunek za pomocą kodu i upewniając się, że czytniki IFF pokazują ich transpondery na zielono, w razie gdyby zdarzyło się coś

niespodziewanego. Ten element nowych granatów ocalił jego życie już kilkakrotnie, zwykle gdy jeden z jego ludzi – oczywiście nie on sam – niecelnie rzucił. Dzięki temu w najgorszym razie wróg nie mógł też użyć granatu przeciwko niemu.

Przygotowawszy detonator, Rivers znów przyklęknął i rzucił granat tak, by wylądował za linią wroga.

Kapral nie wiedział, dlaczego granat wybuchł tylko kilkanaście metrów od niego, gdy jeszcze szybował wysoko w górze. Wstrząs był na tyle silny, że mógłby zabić nieopancerzonego marine. HUD z obrazem ultradźwiękowym zmienił się w jeden wielki szum, więc pancerz przełączył się na zwykły widok.

Fala uderzeniowa odepchnęła dym i przez sekundę Rivers widział miejsce, w którym wróg ustawił jakiś rodzaj automatycznej wieżyczki.

– O ku...

Nie dokończył zdania, jako że laserowe stanowisko znów otworzyło ogień i ugotowało go w pancerzu w ułamku sekundy, zanim sam pancerz również uległ spaleni. Z kaprała nie zostało nic poza popiołem.

Conner przeklęła pod nosem, gdy otrzymała ostatnie bajty danych z pancerza martwego już kaprała. Sprzęt nagrywał i nadawał wszystko do ostatniej chwili.

– Wycofać się! Wycofać się! – krzyczała. – Wróg umieścił w korytarzu jakieś wieżyczki laserowe.

Widziała na wyświetlaczu, jak oddział pierwszy wycofuje się, a drugi zapewnia mu osłonę ogniową.

Imperialna piechota nie zrobiła na niej poprzednio szczególnego wrażenia, ale wtedy pułkownik miała zdecydowaną przewagę i oni o tym wiedzieli. Tym razem byli bardziej skłonni do walki. W niewielkim stopniu górowali nad ludźmi Conner – oni przybyli tu, oczekując bitwy, ona była na misji ratowniczej. Jej marines mieli wyciągać ludzi z ognia, nie traktować ich ogniem.

– Cholernie niezły system obronny – stwierdził sierżant.

Conner skinęła głową, przełączając się na własny HUD.

– Jakiś rodzaj stanowiska automatycznego. Namierzyło granat

w połowie drogi do celu, przez dym. Nawet jeśli opar był rzadszy na tamtej wysokości, system jest silniejszy niż cokolwiek, co widzieliśmy. Moglibyśmy szarżować na tę pozycję i ją unieszkodliwić, ale ogromnym kosztem. Na razie nie warto. Ale chcę zablokować ten korytarz. Położyć miny zbliżeniowe. Jeśli chcą nam zagrozić przejście, odwziewamy się tym samym. Możemy stąd zabezpieczyć główną drogę do maszynowni.

– Tak, ma’am. – Sierżant wydał rozkazy kilku żołnierzom. – Ale tamci też muszą to wiedzieć.

Skinęła głową.

– Co oznacza, że idą na mostek. Znajdź mi optymalną drogę.

Drey kuśtykał po pokładzie dowodzenia. Oparł się o konsolę i wyświetlił potrzebne mu informacje.

– Zażarta walka na wszystkich wewnętrznych pokładach – powiedział, spoglądając na stanowisko inżyniera. – Czy wróg dotarł już do maszynowni?

– Nie, kapitanie. Mam raporty o tym, że żołnierze sił terrańskich również weszli na pokład i zaczęli zabezpieczać drogę w tamtym kierunku.

Drey chciał spytać, w jaki sposób Terranie dostali się na okręt, ale podejrzewał, że odpowiedź brzmiała „przez jedną z dziur zrobionych przez wroga”, więc darował sobie.

– Poinformować tyłu naszych, ilu zdołacie, i dopilnujcie, żeby wiedzieli, że mają współpracować z Terranami – powiedział zmęczonym głosem. – Nie chcemy, żeby przez jakieś pomyłki wróg zyskał dostęp do kontroli napędu.

Nie miał pojęcia, dlaczego nieprzyjaciel chciał dostać się do tej właśnie sekcji. Tak, była to najbardziej podatna na atak część okrętu, ale „Tetanna” dryfowała w przestrzeni. Imperialni nie musieli przejmować kontroli, chyba że zamierzali zająć cały okręt. To miałyby sens, gdyby był rzeczywiście podatny do walki, ale Drey obawiał się, że tak nie jest.

Pokład dowodzenia znajdował się niedaleko maszynowni, mógł zatem zostać zaatakowany. Jeśli chciało się uzyskać dostęp do kontroli

nad okrętem i nad umysłami oficerów floty kolonialnej, stanowił najlepsze miejsce. Dowódca wiedział to i dopasował odpowiednio linie obronne, ale wróg wydawał się jednak bardziej zainteresowany maszynownią.

Drey spoglądał na spływające raporty.

„Czego szukacie?”

Conner pędziła korytarzem śladem dwóch oddziałów marines. Większość ludzi przydzielona do tej misji biegła za nią, a trzeci oddział zabezpieczał tyły. Poruszali się szybko, próbując pokonać labirynt wnętrza krążownika Priminae.

Zmieniająca się grawitacja lokalnych osobliwości zasilających okręt komplikowała sytuację. Odniesione w bitwie uszkodzenia i zasadzki wroga sprawiały, że było to niezwykle frustrujące.

Kolejnych trzech ludzi zginęło pod ostrzałem wroga, a kilku ledwie uniknęło śmiertelności ognia sojuszników. Zaczynała też niepokoić rosnąca temperatura.

Na korytarzach było już ponad trzydzieści stopni Celsjusza. Nie było to samo w sobie aż takim problemem, marines zdarzało się walczyć w gorętszych miejscach na Ziemi, ale na okręcie taki ukrop nie był dobrym znakiem.

Kosmiczna próżnia nie przewodzi dobrze ciepła. To znaczyło, że kontrola nad temperaturą okrętu stanowiła znaczny problem nawet w normalnym położeniu. Jasne było, że systemy chłodzenia ledwie funkcjonowały.

Gdyby całkowicie przestały działać, krążownik mógłby zmienić się w piec, w którym nawet opancerzeni marines nie przetrwaliby długo.

Salwa laserów sprawiła, że Conner i ludzie wokół niej padli na ziemię, podczas gdy marines na pierwszej linii odpowiadali seriami z karabinów.

– Raport! – zawołała, trzymając pistolet i czołgając się do ściany.

– Dwóch zginęło – odparł krótko jeden z marines. – Vicker oberwał, ale żyje. Trzeba sanitariusza!

– Już idę! – Najbliższa sanitariuszka pobiegła do rannego.

– Zabrać go do punktu ewakuacyjnego – rozkazała Conner. –

Gdybyśmy musieli się stąd zabierać, zapewne nie będzie ani chwili do stracenia. Idziemy dalej.

– Tak, ma’am – odparła sanitariuszka. Przyklęknęła przy rannym i zbadała go na tyle, na ile mogła przez dymiącą zbroję. – Żyje, ale musi się ochłodzić. Co się stało?

– Laser przypieklł ścianę, przed którą stał – odpowiedział jeden z marines, nie oglądając się nawet za siebie. – Zobacz sama.

Conner i sanitariuszka wzdrygnęły się na widok sylwetki mężczyzny odbitej na przeciwległej ścianie.

„Jezu, ci ludzie nie mają za grosz rozsądku! Kto używa czegoś tak silnego na pokładzie okrętu?”

– Dobra, odciągnij go i zajmij się na tyle, na ile możesz. Potem idźcie do punktu ewakuacyjnego. W razie potrzeby wezwij prom, mają tam lepszy sprzęt medyczny.

– Tak, ma’am – odpowiedziała sanitariuszka. Dała znak dwu marines, żeby jej pomogli. – Powodzenia.

Conner ruszyła naprzód, na pozycje pierwszego oddziału.

– Jak to wygląda? – spytała.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, ma’am – odpowiedział sierżant Gallows. – Chyba kierują się na mostek, tak?

– O ile jesteśmy w stanie to stwierdzić.

– W takim razie kiepsko im idzie – odparł sierżant.

– Dlaczego tak myślisz? – Conner zmarszczyła brwi pod hełmem. Wyświetliła wszystko, co mieli o ruchach przeciwnika.

Sierżant wskazał na jeden z korytarzy odchodzących od skrzyżowania, które zajmowali.

– Najlepsza droga na mostek biegnie tędy. Oni poszli tam. – Wskazał następny korytarz. – Możliwe, że nieco zawrócili. Przy tutejszych zakrzywieniach grawitacyjnych czasami trudno się połapać.

Wiedziała, że to prawda. Pokłady okrętów klasy Heros polegały na grawitacji swoich rdzeni napędu. Znaczyło to, że chociaż podłogi i ściany wydawały się proste, tak naprawdę się zakrzywiały. Efekt stawał się tym silniejszy, im bliżej rdzeni się znajdowali. A zarówno mostek, jak i maszynownia były schowane w głębi okrętu.

Krażenie w kółko na wewnętrznych pokładach było czymś normalnym, zanim człowiek przyzwyczał się do ich rozkładu.

– Trasa, którą wybrali, zaprowadzi ich do pokładu dowodzenia, ale jest znacznie dłuższa – wyjaśnił sierżant. – Może po prostu tego nie

wiedzą.

Pokręciła głową.

– Musimy założyć, że mają schematy okrętów. Sami korzystają z podobnych konstrukcji, więc są w pełni świadomi problemów i dobrze na nie przygotowani. Co jeszcze tam jest?

Jej ostatnie pytanie było retoryczne, jako że sama już zdążyła przyjrzeć się rozkładowi korytarzy. Praktycznie wszystkie kluczowe systemy umieszczono w głębi okrętu, co znaczyło, że kontrola nad środowiskiem, mostek, maszynownia, stacje kontroli uzbrojenia znajdowały się bardzo blisko siebie.

„Może im chodzić o cokolwiek. Mamy za mało danych”.

Na tę myśl przeszedł ją nagły dreszcz.

– Dane – powiedziała cicho.

– Słucham, pułkowniku?

– Dane, sierżancie. Gdzie jest główny komputer?

Na wyświetlaczu hełmu pojawiła się żółta kropka. Niezwłocznie przesłała informację swoim ludziom.

– O cholera. Myśli pani, że chcą zrobić zrzut danych? – spytał sierżant. – Co mają w tutejszych komputerach?

– Za dużo. Nie wiem, czy jest tam położenie Ziemi, ale nie zdziwiłoby mnie to. Nie będzie tam szczegółów konstrukcji napędu tranzycyjnego, ale podstawy jego działania już tak. Schematy broni, pancerza... Jezu, jest tego mnóstwo.

– Kurwa.

Rozdział 14

– Na mój znak wystrzelić torpedy impulsowe! – rozkazała Aleska, gdy „Janosik” zbliżał się do formacji wroga.

– Aye, kapitanie. Zasięg za dwadzieścia sekund... Odliczanie daję na główny ekran.

Aleska skinęła głową. Wiedziała, że wróg zaraz ich zobaczy, a to oznaczało, że zrobi się o wiele ciekawiej. Odliczanie do salwy niemal upłynęło, gdy zaskoczył ją rozbłysk światła na jednym z ekranów. Usłyszała krzyk.

– To był „Kid”! Dorwali „Kida”!

Przeklinała w myślach, pilnując się, aby nie robić tego głośno. Rzut oka na dane potwierdzał meldunek. Ponieważ pancierz „Billy Kida” – jak pieszczotliwie nazywano okręt „William H. Bonney” – wciąż pochłaniał wszelkie promieniowanie, laser w ułamku sekundy zmienił w gaz jego większość kadłuba.

– Zmienić konfigurację pancierza! – rozkazała Aleska, gdy skończyło się odliczanie. „Janosik” wystrzelił salwę antimaterii. – Ustawienie „biały rycerz”. Pełne przyspieszenie, wracamy do szyku z Herosami i łączymy się z siecią bojową!

Na ekranie pojawiło się więcej świateł. Pozostałe Włóczęgi otworzyły ogień z własnych wyrzutni impulsowych, wypuszczając w przestrzeń śmiercionośne błyski.

Zniszczenie „Kida” mocno wstrząsnęło załogą „Bellerofonta”, ale Roberts nie dał po sobie nic poznać. Jego myśli były mieszaniną gniewu i żałoby, jednak miał misję do wykonania.

– Włóczęgi strzelają i zmieniają ustawienia pancierzy.

– Dobrze – odparł Roberts. – Wypuścić wszystkie PWP. Pełna moc bojowa laserów.

– Tak jest, sir!

„Bellerofont” otworzył ogień, a parę sekund później zrobiła to „Boadicea”. Na pozycje wroga spadł śmiercionośny deszcz z wielu

źródeł, gdy terrańskie okręty dały z siebie wszystko.

Gdyby wokół nich była atmosfera, huk broni zatrzęsłoby światem. Słyszeli jednak tylko szum kondensatorów i niemal niedostrzegalne wibracje systemów grawitacyjnych wyrzucających PMP w przestrzeń.

– Wykrywam negatywną materię!

Misrem zacisnęła pięść.

– Wypuścić przeciwsrodki!

– Wypuszczam!

Jej okręt zatrzęsł się, czego nigdy dotąd jeszcze nie poczuła na żadnej innej jednostce. Misrem bardzo się to nie podobało.

Nie dało się jednak tego obejść. Systemy zostały zainstalowane naprędce i nie można było ich dostosować lepiej w tak krótkim czasie.

Z okrętów jej grupy wystrzeliły urządzenia wyrzucające materię na kursie przechwytyjącym wobec pocisków wroga. Misrem miała nadzieję, że to zadziała. W przeciwnym razie sprawy mogły potoczyć się bardzo źle.

– Przeciwsrodki uruchomione!

Na ekranach urządzenia eksplodowały zgodnie z planem, rozsiewając chmurę materii przed pociskami z antymaterii. Broń wroga zderzyła się z chmurami i uległa anihilacji w rozbłysku energii.

Nie był to idealny gambit, bo część salwy wroga przedostała się dalej i spadła na imperialne okręty, rozrywając je na strzępy. W mgnieniu oka zwierzchniczka straciła jeden krążownik i dwa niszczyciele.

Ale i tak było dużo lepiej, niż mogłoby być.

Nadszedł czas odpowiedzieć pięknym za nadobne.

– Ognia – rozkazała Misrem. – Zabić te szkodniki. Wysłać je do Otchłani.

Okręty jej grupy otworzyły ogień laserowy do wrogich jednostek, które wyłoniły się z cienia. W tej chwili odezwały się syreny alarmowe.

– Nadlatują pociski wroga, zwierzchniczko!

Roberts był w szoku, patrząc na odczyty ze skanerów.

„Wypuścili folię zakłócającą” – pomyślał. Zanotował to w pamięci, aby zawnioskować o wyposażenie ziemskich okrętów w podobne środki.

Wyglądało na to, że tamci wysłali jakieś prowizoryczne ładunki odłamkowe. Wystarczyło to, by powstrzymać torpedy. Każda materia w zetknięciu z antymaterią ulegała anihilacji.

„Jedna z naszych najlepszych broni stanie się bezużyteczna, jeśli to udoskonalą”.

Już teraz zablokowali ponad sześćdziesiąt procent pocisków.

– Strzelają do Włóczęgów, kapitanie – odezwał się Little ze stanowiska pilota. – Pozwolenie na ogień osłonowy?

– Udzielam.

Aleska trzymała się mocno konsoli, gdy „Janosik” obracał się w przestrzeni, próbując uniknąć ognia wrogich laserów.

Wiedziała, że nawet przy pancerzu z ustawieniem „białego rycerza” Włóczęgi były zbyt małe, żeby całkowicie poradzić sobie z takimi poziomami mocy. Jedno z draśnień osmalilo bakburkę okrętu, uszkadzając tyle systemów, że wołała teraz o tym nie myśleć. Kolejne trafienie w to miejsce oznaczało koniec „Janosika” i jego załogi.

Skrzywiła się, widząc mrugającą kropkę na skanerze. Oznaczało to, że znów ich namierzono. Jeśli wróg był w stanie tak się dostosować, następnym razem pewnie nic już nie zobaczy. Odliczała sekundy. Założyła, że jeśli nie zginie, zanim doliczy do trzynastu, oznaczać to będzie, że wróg się jednak nie dostosował.

Przy dwunastu lokalne słońce zasłonił cień, co wskazywało na coś albo bardzo bliskiego, albo bardzo dużego. Sprawdziła główny ekran w samą porę, aby zobaczyć, jak „Bellerofont” przyjmuje na siebie promień lasera przeznaczony dla „Janosika”.

– „Bell” nas osłonił, kapitanie!

– Widzę! Sternik, obrócić nas wokół ujemnej studni grawitacyjnej „Bella”. Taktyczny, co nam zostało?

– Straciliśmy PWP na bakburcie, kapitanie. Ale mamy pełny zestaw na sterburcie.

– Sternik, słyszałeś. Obróć nas sterburtą do wroga – rozkazała Aleska. – Taktyczny, rzuć na nich, co tylko mamy, gdy okrążymy „Bella”!

Obaj oficerowie potwierdzili przyjęcie rozkazów i „Janosik” zaczął okrążać wielką jednostkę.

– Trzymajcie się – powiedział pilot. – Wyłączę naszą MP, gdy spadniemy w studnię grawitacyjną „Bella”.

„Co on chce zrobić?” Aleska wzdrygnęła się. Nie odezwała się jednak. W chwili, gdy liczył się każdy ułamek sekundy, nie należało podważać decyzji specjalistów.

„Janosik” obrócił się i poleciał w stronę studni grawitacyjnej przed wielkim okrętem. Używając jej do zwiększenia przyspieszenia, niszczyciel zaczął drzeć, lecąc przez pole grawitacyjne, aż znalazł się w miejscu, w którym ponownie uruchomił pole MP.

Włóczęga wystrzelił z za „Bellerofonta” z ogromną prędkością i wysłał w kierunku wroga wszystko, co mógł.

Przy tak niewielkim dystansie pociski wysokiej prędkości przemierzyły drogę w ciągu sekund zamiast godzin, przebijając się przez przeciwśrodki, które zatrzymały antymaterię, i uderzając w formację wroga.

Za nimi zaś dały ognia działa „Bellerofonta”, podczas gdy „Janosik” obrócił się, by posłać nieprzyjacielowi swoje ostatnie ładunki nuklearne.

– Wróg atakuje z... niespodziewaną zaciekłością, zwierchniczko.

Misrem skinęła głową. Okręty anomalii, o ile miała co do nich rację, walczyły z użyciem innej taktyki niż Przysiężni.

Ci ludzie okazali się dużo bardziej kreatywni, ale co ważniejsze, widziała u nich lepszą koordynację, nawet jeśli przeczyła temu początkowa szalona szarża.

„To dziwne istoty, przynajmniej patrząc na to, jak walczą”. Wciąż nie wiedziała, co o nich myśleć.

Początkowy kontakt wskazywał raczej na szalonych wojowników. Nie było to coś, co często spotykano w kulturach zdolnych do podróży międzygwiazdnych, jednak się zdarzało. Dawno temu Imperium już

miało do czynienia z tego rodzaju gatunkiem.

Walka z nimi była wyzwaniem, ale ich nacisk na osobistą chwałę wiele ich kosztował. Wymiana uszkodzonych okrętów wymagała czasu i środków. Barbarzyńców ostatecznie nie było stać na dłuższą kampanię.

Misrem wprawdzie zaskoczył początkowy zaciekły atak, lecz to, co teraz widziała, było znacznie gorsze. Siły wroga walczyły w zwartym szyku, osłaniając się nawzajem i dobrze wykorzystując zalety poszczególnych okrętów. To wielokrotnie zwiększało ich skuteczność.

Potrzebowała więcej informacji.

– Zewrzeć szyki. Ewakuować kogo się da z uszkodzonych jednostek – rozkazała. Nie lubiła zostawiać swoich na pastwę wroga. – Wszystkie okręty mają podczas manewrów kontynuować ostrzał.

Nie każdy dowódca w Imperium myślał podobnie. I nawet ona nie wahałaby się poświęcić swoich, gdyby wymagała tego misja, ale dobrze wyszkolony personel był sporo wart.

– Tak, zwierzchniczko.

– I powiedz naszym ludziom na okręcie Przysiężnych, że jeśli nie opuszczą go na czas, każę go spopielić razem z nimi na pokładzie.

Oficer komunikacyjny skrzywił się, ale potwierdził rozkaz.

Zabranie swoich było ważne, ale misja była przecież ważniejsza.

– Sukinsyny – ryknęła kapitan Hyatt, gdy „Boadicea” osłoniła dwa niszczyciele klasy Włóczęga na tyle, na ile mogła, biorąc na siebie ogień laserowy.

– Tak, ma’am – wydusiła komandor Jennifer „Szulerka” Samuels, połączona z okrętem przez interfejs neuronowy.

Hyatt widziała, jak czasami komandor się wzdryga, i zastanawiała się, co czuje. Interfejs nie był całkowicie dwukierunkowy. Nikt nie był dość głupi, aby zaprojektować system sprawiający, że użytkownik czuć będzie prawdziwy ból. Wysyłał jednak pewne dane do nerwów w ramach systemu kontrolnego.

Rozbłyski światła, trafienia lasera w kadłub i różne inne bodźce pozwalały pilotowi podejmować szybkie decyzje manewrowe. Z tego, co kapitan wiedziała, sama nie będąc kompatybilna z interfejsem,

potrafiło to być dość chaotyczne środowisko pracy. Jedną z kluczowych cech, jakich szukano u kandydatów, była zdolność skupienia się przy przeładowaniu informacjami i wyławiania tylko istotnych danych.

Hyatt znów skupiła się na walce. Zauważyła, że wróg zaczął manewrować tak, by oddalić się od ich okrętów. To był krytyczny moment walki i niestety, zapowiadało się na to, że będą musieli mocno improwizować, zważywszy, że „Odyseusz” znajdował się po drugiej stronie linii wroga, poza zasięgiem bezpośredniej komunikacji.

Mądry ruch był dość oczywisty: pozwolić przeciwnikowi odlecieć z układu. „Odyseusz” odniósł zbyt ciężkie uszkodzenia podczas początkowego ataku. Wróg miał na tyle jeszcze dużą przewagę liczebną, że próby pokonania go za wszelką cenę tu i teraz wydawały się głupie i samobójcze.

Ale mądre posunięcia niekoniecznie stanowiły domenę komodora, więc Hyatt nie była pewna, co zrobi „Odyseusz”.

„Nie żeby mieli wielki wybór, jeśli kapitan Roberts i ja podejmiemy decyzję, zanim Weston zbliży się na tyle, żeby wydać rozkazy” – pomyślała.

Decyzja technicznie powinna być wspólna. Ona i Roberts mieli identyczne stopnie, ale zgodnie z tradycją on posiadał dłuższy staż kosmiczny, jako że do niedawna ona była kapitanem okrętu morskiego.

Nie spodziewała się, aby wynikła między nimi poważna różnica zdań. Kapitan „Bellerofonta” był znany z rozsądku, podejmował ryzyko, jeśli zaszła taka potrzeba, ale trzymał się regulaminu o wiele ściślej niż jego były dowódca.

– Wróg się oddala, kapitanie – zameldował oficer dyżurujący przy skanerze.

– Widzę – odpowiedział Roberts. – Dać znać „Boadicei”, że podążamy za nimi, aż przelecą obok okrętu Priminae, który wcześniej unieszkodliwili. Niech myślą o nas, nie o ludziach na tamtym krążowniku.

– Aye, sir.

Robertsza niepokoił fakt, że wróg wycofuje się tak szybko. Ale choć Imperium prawie na pewno zwyciężyłoby w tym starciu, jego dowódcy zdawali sobie sprawę, że byłoby to pyrrusowe zwycięstwo. Najwyraźniej nie wiedzieli też, jak bardzo przegrana osłabiłaby siły Priminae i Terran.

Gdyby mieli pojęcie, jak ograniczona liczebnie była obecnie ziemska „flota”, walczyliby aż do końca, a z terrańskich sił zostałyby tylko proch.

Dlatego komodor tak bardzo chciał wywierać wrażenie podczas każdego spotkania z flotą Imperium. Niech myślą, że mają do czynienia ze sporymi siłami, z grupą, która przeleci przez maszynkę do mielenia i poprosi o jeszcze.

Każdy wyszkolony człowiek, każda tona stali i ceramiki, każda sztuka broni i każdy rdzeń osobliwości były ważną częścią dostępnych sił.

Nikt nie miał pojęcia, jak wielkie jest Imperium. Zeznań jeńców nie można było oczywiście przyjmować bezkrytycznie, ale ludzie na górze uważali, że jest naprawdę ogromne. Czas był pieniądzem, który miał zdobyć Eric Weston, a Jason Roberts planował dopilnować, by jego dowódca osiągnął cel.

– Mocniej przycisnąć ich niszczyciele. Walić w nie na tyle, na ile się da.

– Aye, aye, kapitanie.

Śmiercionośne promienie, niemal dorównujące mocą kosmicznym kataklizmom, przemierzały pustą przestrzeń między walczącymi flotami, przebijając się z łatwością przez pancerze. Pociski wbijały się w kadłuby, wyzwalając energię, przy której wybuchy atomowe zdawały się petardami.

Mimo całej tej destrukcji trzon obu grup był w stanie znieść wiele, nie tracąc funkcjonalności.

Mniejsze okręty – Włóczęgi i imperialne niszczyciele – ginęły wśród cichych płomieni, spopielaone lub rozrywane na atomy. Ale krążowniki obu stron brały na siebie cios za ciosem, odpowiadając

tym samym wrogowi.

Bitwa zmieniła się w bijatykę między olbrzymami dzierżącymi wielkie maczugi. Ale mimo niszczycielskiej mocy wroga imperialne siły utrzymały szyk i zaczęły przyspieszać, oddalając się od okrętów Terran.

„Boadicea” i „Bellerofont” zakrzywiały przestrzeń, zmieniając kurs na przechwytyjący. Pozostałe Włóczęgi tworzyły eskortę, ostrzeliwując nieprzyjaciela z laserów.

„Odyseusz” i eskadra Priminae w końcu zbliżyły się na tyle, żeby zaatakować.

– Okręty wroga wycofują się z walki, komodorze.

Eric skinął głową ze swojego fotela.

– Widzę, porucznik Chans. Dziękuję.

Pole bitwy nie zmieniło się zbyt wiele od czasu, kiedy przebili się przez szyk przeciwnika, wprowadzając sporo zamieszania, ale zbierając również mocne ciągi. Nieprzyjaciel wciąż miał wystarczającą przewagę liczebną, żeby mierzyć się z Terranami i Priminae. Pytanie brzmiało, jakim kosztem. Wyglądało na to, że Imperialni uznali cenę za zbyt wysoką.

„I dobrze” – pomyślał ponuro Eric.

Nie miał złudzeń, że ta sytuacja potrwa długo. Na razie siły Imperium próbowały stwierdzić, z kim i czym właściwie mają do czynienia i ile kosztować ich będzie starcie. W pewnej chwili jednak skończą z rekonesansami i zaczną na dobre atakować kolejne układy gwiazdne. Było to nieuniknione, bo tak właśnie działały imperia przez całą historię.

Bardzo często żadna zewnętrzna siła nie była w stanie powstrzymać ich ekspansji. Po prostu zagarniały kolejne terytoria, aż rozpadały się w wyniku wewnętrznych tarć. To również było nieuniknione.

Eric nie chciał, żeby Ziemia ucierpiała, czekając, aż zdarzy się to ostatnie, więc zamierzał powstrzymać Imperium w dowolny sposób.

– Jakie mamy opóźnienie sygnałów w stosunku do reszty grupy? – spytał, spoglądając na pierwszą oficer.

– Nieco powyżej minuty i maleje, sir – odpowiedziała Heath. – „Bell”

i „Bo” ścigają wroga, ale myślę, że jedynie pro forma. Nie wykonują ostrych manewrów.

Eric skinął głową.

– Kapitan Roberts zna nasze rozkazy. Mamy sprawić, żeby dwa razy się zastanowili, ale nie ginąć bezsensownie w chwałę. Dopasować profil do nich, zbieżny kurs.

– Aye, komodorze. – Wprowadziła rozkazy i przesłała je dalej. – Kurs wroga przechodzi obok uszkodzonej „Tetanny”.

Eric spojrział na dane telemetryczne. Heath miała rację. Wcześniej nie przywiązywał do tego okrętu wielkiej wagi, jako że był praktycznie wyłączony z walki.

– Cholera. Są tam nasi.

– Komodorze – odezwała się Milla – myślę, że oni też mogą mieć tam swoich.

– Co? – Eric spojrział na nią, a następnie odwrócił się do stacji skanerów.

– To prawda – potwierdził technik. – Parę ich małych Pasożytów przywarło do kadłuba „Tetanny”. Przegapiliśmy je. Zapewne znajdowały się po drugiej stronie okrętu, a my byliśmy rozproszeni.

Sytuacja nie była najlepsza. Nie wysłał dość marines, by porządnie bronić okrętu wielkości „Tetanny”. Eric nie był nawet pewien, czy miał dostateczną ich liczbę na pokładzie, choć dowództwo uważało inaczej.

– Dobra, w najlepszym razie chcą zabrać swoich – powiedział. – Ale nie liczymy, że to jedyny cel. Imperialni nie wykazywali wcześniej wielkiej troski o pojedynczych żołnierzy. Przeprowadzić symulację. Chcę mieć opcje wyciągnięcia stamtąd naszych.

– Aye, skipper – odpowiedziała Heath. – Wymyślimy coś tak szybko, jak się da.

– Przesłać wszystko do „Bella” i „Bo” – rozkazał. – Są bliżej niż my, mają więcej promów i więcej marines. Większość naszych ludzi wciąż zajmuje się naprawami.

– Tak jest. Przekażę im dane – odparła Heath. – Niech oni też myślą nad rozwiązaniami. Jeśli sami dadzą radę przeprowadzić akcję ratunkową, będziemy mieli mniejszy problem z opóźnieniami.

Eric skupił uwagę ponownie na okrętach Imperium, ale nie mógł się powstrzymać przed zerkaniem co chwila na dryfującą „Tetannę”.

Rozdział 15

Conner sięgnęła po pistolet, gdy jeden z żołnierzy Imperium przebił się przez linię obronną i szarżował na jej pozycję. Opróżniła magazynek, zanim zbliżył się na dwadzieścia metrów. Gdy opancerzony mężczyzna padł, oceniła sytuację, wyrzuciła pusty magazynek i przeładowała broń.

– Wygląda na to, że jednak kierowali się na mostek – powiedziała, krzywiąc się.

– Coś w pani głosie sprawia, że wydaje się pani mieć wątpliwości – odpowiedział sierżant. Chwycił karabin szturmowy i stanął między pułkownik a linią obrony, w razie gdyby ktoś znów próbował ataku. Wolałby, żeby Conner nie nalegała na to, by zobaczyć sytuację na własne oczy. W końcu po to mieli w pancerzach zamontowane skanery.

– Jest ich niezbyt wielu – przyznała. – Ale walczą bardzo żąrcie.

– Jeśli każe mi pani zrobić dywersję, spodziewa się pani, że zadziałam bez przekonania? – odparł sierżant oschle.

Conner musiała przyznać, że miał rację. Jej marines zrobiliby, co w ich mocy, żeby wróg kupił zmyłkę. Niestety, znaczne uszkodzenia okrętu sprawiały, że nie mogła potwierdzić przypuszczeń. Wewnętrzne skanery działały bardzo słabo nawet na tej głębokości z powodu fluktuacji w działaniu reaktorów.

– No cóż – powiedziała w końcu. – Chyba jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Sierżancie, proszę przygotować oddział na misję zwiadowczą.

– Rider! Rusz tu dupę! – zawołał od razu sierżant.

Podbiegł do nich kapral.

– Tak, sierżancie?

– Pułkownik ma misję dla ciebie, Ramireza, Kenseya i Dowa.

Kapral odwrócił się do pułkownik, pospiesznie salutując.

– Pani pułkownik, melduję się na rozkaz.

Conner przyjrzała mu się.

– Potrzebuję kilku par oczu w rdzeniu biblioteki okrętowej. Mam pewne obawy, kapralu. Chcę je rozwiązać.

Marine przez chwilę milczał, ale Conner widziała, jak pobiera z sieci dane dotyczące rdzenia biblioteki komputerowej „Tetanny”. Po paru sekundach skinął głową.

– Tak, ma’am. Rozwiejemy je.

– Ani przez chwilę nie myślałam inaczej, marine – powiedziała Conner. Podeszła do podoficera, klepnęła go po ramieniu. – Do roboty.

– Oorah! – krzyknął natychmiast Rider, po czym udał się do reszty oddziału.

– Teraz lepiej dostańmy się na mostek i zabezpieczmy go na wypadek, gdyby miało się okazać, że uganiam się za duchami, sierżancie – stwierdziła stanowczo Conner. – Proszę przygotować wszystkich do akcji. Należy oczyścić ten pokład z sił wroga za pięć minut albo, na Boga, sama pójdę tam i zacznę strzelać. Chce pan tego, sierżancie?

– Nie, ma’am! – Pokręcił głową.

To było faktycznie ostatnie, czego chciał. Gdyby dała się zabić, musiałby wyjaśnić komodorowi, w jaki sposób stracili wyższego oficera na cholernej misji ratunkowej. A gdyby przeżyła i rzeczywiście pomogła, trudno byłoby powstrzymać ją w przyszłości przed osobistym udziałem w akcjach.

Lepiej zająć się tym samemu.

Kapral Rider wrócił do pozycji reszty oddziału. Szeregowy Ramirez spojrzał na niego pytająco.

– Co jest, Rider?

– Misja od pułkownik. Przygotuj się. Musimy zrobić mały zwiad.

– Brzmi jak dobra zabawa. – Szeregowiec uśmiechnął się pod hełmem i skinął do stojących obok marines. – Mamy zadanie od pułkownik, musimy iść. Dacie sobie radę?

– Jasne – odparł jeden z nich i machnął ręką. – Dajcie mi tylko sekundę, żebym zapełnił dziurę.

– Proszę bardzo – powiedział Rider. – Na razie nadal planuję trasę.

Było łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, nawet przy dostępie do wewnętrznych systemów okrętu. Uszkodzenia stanowiły tylko pierwszy z problemów. Całe pokłady zostały odcięte ze względu na

toksyczne wyziewy, pożary i brak powietrza. Wróg zajmował kluczowe pozycje między nimi a celem, co potwierdzało obawy pułkownik. Co gorsza, wiele potencjalnych tras było przed nimi ukrytych, bo wewnętrzne skanery w tych sekcjach uległy uszkodzeniu.

Gdyby wybrał jedną z tych dróg i pomylił się, straciliby cenny czas. Z drugiej strony, wszelkie inne wymagałyby wdawania się w walkę. Rider wolał nie stracić oddziału, jeśli misję można wykonać bardziej dyskretnie.

– Dobra, mam trasę – powiedział w końcu. – Wyruszamy, gdy tylko będziemy mogli to zrobić, nie zabijając wszystkich.

– Mamy osłonę, Rider – powiedział szeregowy Dow, snajper. – Możemy iść.

– Dobra, odłączamy się po kolei. Kierunek: biblioteka pokładowa – powiedział kapral z uśmiechem.

– Pierdolisz? – wyrzucił z siebie Ramirez. – Co to za miejsce dla marines w samym środku strzelaniny?

– Miejsce, które każe nam sprawdzić pułkownik – odpowiedział Rider. – Jeśli się myli, żadna strata. Jeśli nie, zgadnij, co wróg może zrobić w rdzeniu pamięci okrętu?

Kensey uderzył Ramireza w tył hełmu.

– Ma rację, Ram. Chodźmy dopilnować, żeby w bibliotece nikt nie mówił zbyt głośno, co?

Ekipa zwiadowcza oddzieliła się od reszty, ich miejsce zajęli nowi marines.

Doczołgali się do skrzyżowania między korytarzami. Następnie wstali i zaczęli biec w wyznaczonym kierunku.

Odgłosy walk zbliżały się do pokładu dowodzenia. Drey upewnił się, że załoga otrzymała lasery ręczne. Nie spodziewał się, by drzwi długo wytrzymały, gdy wróg w końcu nadejdzie, ale na tym poziomie dało się prowadzić całkiem niezłą obronę i miał nadzieję, że przynajmniej na jakiś czas powstrzymają przeciwnika.

Niestety, nie miał złudzeń co do ostatecznego wyniku.

Lasery piechoty szybko pozbawią ich wszelkiej osłony, zawężając

pole manewru. Miał tylko nadzieję, że spróbują chociaż zminimalizować straty, przynajmniej na początku, co da obrońcom choćby niewielkie szanse na odegranie się.

– Zabezpieczyć wszystkie panele. Zablokować wszystko – rozkazał Drey, zajmując pozycję przy swojej konsoli. – Czegokolwiek szukają, nie znajdą tego tutaj.

– Tak, kapitanie! – Helena biegła od stanowiska do stanowiska, przyglądając się pracy innych oficerów.

Syk powietrza sprawił, że uwagę kapitana przykuł główny właz na pokład dowodzenia. Zaczął żarzyć się na czerwono i unosił się z niego dym.

– Przecinają! Odejść od drzwi! – rozkazał Drey, machając ręką na ludzi, którzy osłupieli z przerażenia. – Dalej, ruszać się!

Drzwi były ceramiczne i szybko osiągnęły temperaturę, przy której każdy metal we wszechświecie zacząłby się topić. Na razie jednak wciąż się trzymały. Nie stopiły się ani nawet nie wygięły, ale w końcu musiały ulec – osiągnęły sublimację, przechodząc z formy stałej w gazową.

Powietrze przecięła błękitna kreska, uderzając w jedną ze ścian. Znajdowały się tam przewody elektryczne, z których zaczęły sypać się iskry. Połowa mostka straciła zasilanie i światła przygasły.

Drey odpowiedział czerwonym ogniem laserowym, zostawiającym powidoki w jego oczach. Nie wiedział, czy w coś trafił, ale chociaż w końcu mógł coś zrobić.

Inni oficerowie poszli za jego przykładem. Błyski ich laserów rozpały powietrze. Na ich czerwone promienie odpowiadały błękitne, niewymierzone zbyt celnie, poza tym, że trudno było nie trafić w coś ważnego, gdy strzelało się na pokładzie dowodzenia. Drey poczuł, jak przewraca mu się w żołądku, gdy zdał sobie sprawę, że wróg nie wydawał się zainteresowany przejęciem kontroli nad okrętem.

„Mogliby po prostu nas zestrzelić. Po co wysyłać tu ludzi?” – zastanowił się.

Przygotował się w myślach na ostatni wysiłek.

Conner czuła się bezużyteczna, patrząc, jak sierżant dowodzi oczyszczaniem korytarza. Wolałaby sama tam być, ale podoficer miał rację. Pułkownicy nie powinni pchać się na pierwszą linię. Gdyby się tam pojawiła, oznaczałoby to, że coś poszło bardzo nie tak.

„Ach, gdzie te czasy, gdy byłam tylko kapitanem...” – pomyślała, patrząc na walkę za pośrednictwem sieci. Nie wyglądało na to, żeby nowe rozkazy mogły coś znacząco zmienić. Nie lubiła przeszkadzać swoim ludziom, gdy robili coś dobrze, ani wrogom, gdy robili coś źle. Tymi zasadami kierowała się w swojej karierze i na razie dobrze na tym wychodziła.

Przyklęła, gdy na suficie niedaleko jej pozycji pojawiły się błyski laserów, świecące na czerwono i emitujące na tyle dużo ciepła, by poważnie poparzyć nieopancerzonego człowieka. Wyglądało na to, że jeśli nie opanują szybko sytuacji, większość okrętu stanie się niezdalna do użytku.

„Jeśli nie uda się doprowadzić systemów chłodzenia do pełnej sprawności, trzeba będzie opuścić łajbę” – zdecydowała. Ochłodzenie okrętu choćby na tyle, żeby dało się przeprowadzić sensowne naprawy, mogło zająć całe tygodnie, zważywszy na to, że nie mogli wyłączyć rdzeni, które wciąż generowały ciepło.

Conner stwierdziła, że na szczęście to nie miał być jej problem. Walki chwilowo ustały dzięki śmiałym manewrom jej sierżanta. Wstała i przejrzała to, co widzieli jej podwładni, po czym podeszła do podoficera.

– Dobra robota, sierżancie.

– Dziękuję. Przekażę to ludziom – odparł spokojnie, zupełnie jakby jego pancerz nie był osmalony w wyniku draśnięcia laserem.

Zauważyła, że sprzęt ochronny sierżanta zgłasza niski poziom chłodziwa i zakłócenia różnych funkcji. Nie było jednak sensu poruszać tego tematu. Mogła co najwyżej kazać mu iść do punktu ewakuacyjnego i chociaż wiedziała, że nie zignoruje bezpośredniego rozkazu, wątpiła, by jej to kiedyś wybaczył albo zaufał jej, jeśli ona teraz nie potrafiłaby zaufać jemu.

Mimo wszystko jednak nie zamierzała puścić go ponownie na linię, dopóki jego systemy nie ochłodzą się na tyle, żeby kontrolki świeciły się na żółto.

„Zobaczymy, jak mu się spodoba dowodzenie na tyłach” – pomyślała.

– Pułkownik! Sierzancie!

Oboje odwrócili się i zobaczyli kaprala biegnącego w ich stronę. Zdziwiło ich to, bo wiadomość przez sieć bojową byłaby szybsza.

– Uspokój się – rozkazała stanowczo Conner. – Co jest?

– Sygnał przez sieć Prymusów – wydyszał kapral. – Mostek jest obleżony.

– Kurwa! – Sierżant ruszył w stronę reszty marines.

Conner położyła mu dłoń na ramieniu, zatrzymując go z całą wspomaganą przez pancierz siłą.

– Sierzancie, proszę się uspokoić i pamiętać o protokole. Proszę skupić siły na mostku, ale tym razem pozostać w roli doradczej. Pański pancierz nie nadaje się teraz do walki.

Widziała jego wahanie nawet przez zbroję, ale w końcu po kilku sekundach skinął głową.

– Tak, ma’am.

– W takim razie wykonać. Sojusznicy czekają na marines Konfederacji. Nie spóźnijmy się.

– Pokład odcięty, kapralu. – Ramirez pokręcił głową. – Po drugiej stronie próżnia.

– Kurwa – odpowiedział Rider, rozglądając się. Umieścił schemat konstrukcji „Tetanny” na swoim wyświetlaczu. Systemy okrętu oznaczone były na niebiesko, białą, czerwono i żółto. – Dobra, nie chciałem tego robić w ten sposób, ale pójdziemy punktami dostępowymi do przewodów zasilających. W ten sposób przejdziemy dwa pokłady dalej i wyminiemy uszkodzoną sekcję.

„Mam nadzieję”.

Konstrukcja Priminae była mniej więcej tak prosta, jak język prawniczy, ale zdawało mu się, że ją rozgryzł. Okręt przypominał Herosy, jako że zbudowano go w tej samej stoczni w oparciu o ten sam podstawowy plan. O ile załoga nie dokonała istotnych modyfikacji, powinno się udać.

Otworzyli panel dostępowy w jednej ze ścian i wcisnęli się do środka. Biegły tędy przewody zasilające. Każdy krążownik miał ich tysiące kilometrów i wszystkie należało regularnie serwisować, żeby

działały sprawnie. Prowadziły do każdego miejsca okrętu, więc jeśli ktoś wiedział, jak przemieszczać się wzdłuż nich, pozostawał niewidoczny dla innych.

Przejścia były jednak nieco ciasne dla marines w pancerzach.

– Nic nie popsujcie – warknął Rider, czołgając się tak płasko jak tylko mógł. Starał się nie zahaczyć o przewody, w których było dość mocy, by zmienić jego zbroję w pył.

Wolał nawet nie myśleć, co stałoby się z nim samym. Nie bez powodu było to zwykle udzielne księstwo inżynierów, do którego marines nie mieli normalnie wstępu.

Czterech marines wreszcie precyzyjnie przeszło przez pokłady nad rozszczelnionym korytarzem, aż w końcu trafili do relatywnie nieuszkodzonej sekcji, z której mogli kontynuować misję.

– Mam atmosferę po drugiej stronie – potwierdził Dow.

– Dobra, otwieraj.

Spadające z sufitu panele zaskoczyły imperialnych żołnierzy. Dopiero po kilku sekundach zorientowali się, że z otworu zleciały też dwa granaty dymne. Korytarz zaczął wypełniać się gazem, a następnie na podłodze wylądowała ludzka sylwetka.

Żołnierze otworzyli ogień laserowy, podczas gdy kryjący się wśród dymu cień rzucił się w prawo, a kolejny wylądował i skoczył na lewo. Odbite od dymu błyski lasera oślepiły wszystkich, a następnie ogłuszył ich ryk przyspieszonych magnetycznie pocisków. Karabinki szturmowe M-45 zaczęły wypluwać zubożony uran, rozrywając imperialne pancerze tak samo łatwo, jak robiłyby to z opancerzonymi transporterami, dla których niszczenia je stworzono.

W końcu czwarty, ostatni marine spadł z sufitu i rozejrzał się uważnie, zanim wstał. Cała czwórka wyszła spośród wijących się oparów dymu.

Rider sprawdził stan sprzętu swoich ludzi. Pancerze dwóch pierwszych były rozgrzane. Dym sprawiał, że lasery ich nie zabiły, ale cała ta energia gdzieś musiała się podziać, więc sporo z niej i tak trafiło do celu.

– Ram, Dow, na razie zostańcie z tyłu, aż się schłodzicie – rozkazał. –

Ja idę przodem. Kensey, za mną.

Zmienili szyk, a Rider podszedł do najbliższego ciała. Odkopnął na bok karabin laserowy martwego przeciwnika, a następnie przykucnął i przyjrzał mu się uważnie. Zobaczył laserowy pistolet przy pasie, zabrał go i dołączył do własnego arsenału.

– Nie pozwolą ci tego zatrzymać, szczególnie jeśli przeniosą cię na Ziemię – powiedział Ramirez.

– Ponoć ma być niedługo sporo innych opcji. Myślałem o zgłoszeniu się na jakąś kolonię. Będą potrzebowali ludzi z doświadczeniem wojskowym tak samo, jak lekarzy czy inżynierów.

– Tak? Myślałem, że to tylko plotki – odparł Ram. Ruszyli wzdłuż korytarza, zatrzymując się jedynie, żeby sprawdzić boczne przejścia. – Wygląda na to, że nie mają dość okrętów. Kto zawiezie ludzi na te kolonie?

– Rząd nie ma ich zbyt wielu, ale prywatne koncerny już włączają się do akcji. To nie kwestia braku środków, a raczej czasu i stoczni, które zbudują okręty bojowe. Koloniści tego nie potrzebują: w zupełności wystarczy im stara infrastruktura, a przynajmniej to, co z niej zostało po inwazji. Nie zapominaj, że gdy przestaną produkować Włóczęgi, wszystkie staną się przestarzałe. Przynajmniej dla potrzeb wojskowych.

– Cholera, nie myślałem o tym.

– Większość ludzi nie myśli. Jeśli przeżyjemy tę wojnę bez atomówek spuszczonej na planetę albo gorzej, nadchodzą ciekawe czasy. – Rider zatrzymał się i uniósł dłoń. – Zaczekaj. Chyba jesteśmy na miejscu.

Conner czuła frustrację sierżanta, nawet na niego nie patrząc. Niemal nie była w stanie ukryć rozbawienia.

– Nie musi się pani tak tym cieszyć – mruknął.

No dobrze, najwyraźniej nie umiała się dobrze maskować.

– Czasami lubię, jak moi ludzie sami poczują trochę z bolączek dowódcy, sierżancie – odparła, obserwując marines zajmujących pozycje.

Mostek był obleżony, ale wróg miał zbyt mało sił na szybkie

i skuteczne działanie. Pułkownik nie czuła się dzięki temu wcale lepiej, bo znaczyło to, że zapewne większe siły przeznaczyli na istotniejszy cel. Jako że maszynownia była bezpieczna, Conner miała poczucie, że wie dokładnie, czego szuka nieprzyjaciel.

– Jeśli nie lubi pani patrzeć, jak inni uczciwie pracują, nie powinna pani była zostać oficerem – stwierdził sierżant.

Zapewne chciał ją nieco poirytować, ale żeby to zrobić, musiałby zacząć lata wcześniej. Słyszała wszystkie typowe żarty, jeszcze zanim wstąpiła do Korpusu Marines. Nie pierwszy raz ktoś powiedział jej to bezpośrednio.

Ale może po raz pierwszy uszło mu to na sucho.

Conner podejrzewała, że sierżant wolałby zostać zdegradowany, niż stać z boku i patrzeć, jak jego ludzie walczą bez niego.

– Proszę skupić się na operacji, sierżancie – odparła ostro. – Pańscy ludzie na pana liczą.

To praktycznie zakończyło rozmowę, również dlatego, że marines stali już w szyku i mieli wkroczyć do działania. Ostatni z nich zgłaszał właśnie gotowość do akcji.

– Wykonać – rozkazał sierżant, spojrzawszy najpierw na Conner.

Czoło Dreya lśniło od potu. Ogień laserów sprawił, że temperatura na pokładzie dowodzenia mocno wzrosła. Mimo to ponownie wystrzelił w stronę drzwi, a ułamek sekundy później poczuł żar na twarzy. Nie trafiono go – tego nawet nie zdążyłby poczuć – ale coś w pobliżu pochłonęło mnóstwo energii i teraz ją wypromieniowywało.

Drey wycofał się nieco za osłonę i spojrzał na dymiącą konsolę, a raczej jej szczątki. Zobaczył za nią spopielone resztki nawigatora.

Skrzywił się i wyprostował, by znów wystrzelić, i niemal rzucił się na ziemię, słysząc huk i widząc błyski zupełnie inne od laserowych. Przykucnął, przecierając oczy i mrugając nerwowo. Rozejrzał się, próbując ocenić sytuację.

– Co to było, do cholery?

Słyszał pytanie zastępcy, ale jej nie widział.

– Nie wiem – odparł. – Widzisz coś?

– Ledwie. Chyba oczy mi krwawią – mruknęła pierwsza oficer „Tetanny”.

Wciąż słyhać było huk. Gdy Drey znów zaczął cokolwiek widzieć, zaryzykował kolejne spojrzenie za konsolę, tym razem będącą jego jedyną osłoną. Na mostek nie trafiły żadne dalsze rozbłyski laserów, więc na razie sam również wstrzymał ogień.

Gdy huk ucichł, Drey uniósł broń i skierował ją na drzwi, z których pośród dymu wyłonił się cień.

– Halo, mostek? – rozległ się donośny głos. – Jesteśmy marines z „Odyseusza”. Czy ktoś tu żyje?

Drey oniemiał z wrażenia, podobnie jak ludzie wokół niego. Bał się odpowiedzieć, bojąc się jakiejś sztuczki wroga, ale nie bardzo miał wyjście.

– Żyjemy – odpowiedział.

„Większość z nas”.

– Wejdę do środka powoli, z opuszczoną bronią.

Drey przełknął ślinę.

– Powoli!

Usłyszał jakieś zgrzytanie, aż w końcu ukazała się spora sylwetka w pancerzu z uniesionymi rękami. Drey rozpoznał zbroję, wstał.

– Kapitanie? – Opancerzony mężczyzna spojrzał w jego kierunku.

– Owszem – odparł Drey. – Chyba powinienem podziękować wam za pomoc.

Nie mógł nie rozglądać się i nie patrzeć na zniszczenia oraz martwe ciała, leżące nawet tu, w najbezpieczniejszej części okrętu. Nie chciał sobie nawet wyobrazić, jak wygląda reszta „Tetanny”.

– Nie ma za co – odparł marine. – Zaraz będzie tu pani pułkownik. Poinformuje pana o obecnej sytuacji, na tyle, na ile ją znamy.

Drey opuścił broń. Wolną ręką przetarł spocone czoło, a następnie bezskutecznie próbował wytrzeć palce o przepocony mundur. W drzwiach pojawiła się kolejna postać.

– Proszę się nie przejmować – powiedziała, gdy nadal starał się wytrzeć rękę. – Nawet gdybym nie była w pancerzu, odrobina potu to moje ostatnie zmartwienie, kapitanie. Jak z panem i pańskimi ludźmi?

Drey rozejrzał się znów.

– Ci z nas, którzy wciąż oddychają, raczej nie przestaną. Pułkowniku, tak? To chyba najlepsze, czego mogę oczekiwać.

– Często tak bywa po walce – mruknęła kobieta. – Moi ludzie zajmą

się pańskimi rannymi. Żar jest okropny...

Pokręciła głową.

– Systemy kontroli na tym pokładzie są niesprawne – odparł. – Nie wiem, jak wygląda sytuacja na reszcie okrętu. Większość urządzeń zniszczono w czasie walki, więc nie mogę sprawdzić.

– Cholera. Miałam nadzieję, że powie mi pan coś o rdzeniu bibliotecznym.

Drey spojrział na nią uważnie.

– Dlaczego właśnie o nim?

– Zabezpieczyliśmy maszynownię i mostek, ale większość sił wroga wydaje się kierować gdzie indziej. Sprawdziałam listę pomieszczeń i właśnie to rzuciło mi się w oczy.

– Jest tam zbyt wiele informacji, by dało się je skopiować na przenośne urządzenie. Jeśli kierują się do biblioteki, chodzi im o coś konkretnego. Musimy dostać się do jakiejś stacji dostępowej.

Rzucił okiem na dymiące szczątki jednej z konsoli.

– Gdzie indziej – westchnął. – Maszynownia zabezpieczona?

– Tak – odpowiedziała kobieta.

– Dobrze. Pójdziemy tam. Jest najbliżej i chcę zobaczyć stan okrętu.

– Marines! – warknęła kobieta. – Odeskortować kapitana do maszynowni. Ja zajmę się ewakuacją tutaj i niedługo do was dołączę.

– Oorah, ma'am!

Rozdział 16

Eric spojrział na dane telemetryczne, rozważając możliwości, jakie pozostały na najbliższą przyszłość. Przez myśl przebiegało mu nieskończenie wiele wariantów.

Wroga flota wycofywała się z bitwy, a być może z układu, ale zbliżała do uszkodzonego krążownika Priminae. Zapewne chcieli zabrać stamtąd swoich żołnierzy, jednak zważywszy na wcześniejsze interakcje z Imperium, Eric nie zakładał nic dobrego.

– Pełne przyspieszenie, komandorze – rozkazał Stephanosowi. – Może być nawet powyżej limitów, ale bez przesady. Chcę, żeby Imperialni musieli się oglądać przez ramię co sekundę świetlną, zanim znajdą się daleko od tego okrętu.

– Aye, aye, Raze – odpowiedział Steph półprzytomnym głosem. – Zwiększam przyspieszenie.

Zapewne wyobraźnia płatała Ericowi figle, ale wydało mu się, że słyszy narastający szum silników „Odyseusza”. Na panelu wyświetliła się czerwona ikona, jednak Weston ją zignorował. Przeciążenie reaktorów, spodziewał się tego. Pomyślał, że gdy „Odyseusz” znów zawita do stoczni, będzie wymagał poważnych napraw.

„Odyseusz” tracił atmosferę na niemal wszystkich pokładach mimo wysiłków zespołów naprawczych. Zależnie od tego, jaki będzie dalszy przebieg walki, mogło się okazać, że kadłub pójdzie na złom, a rdzenie napędu otrzyma nowy okręt. Nie wiedział, co spowodowało awarię, która rzuciła ich do samotnej walki, ale przeklinał w myślach straty, zarówno w ludziach, jak i sprzęcie.

Rozejrzał się z niepokojem, gdy światła znów lekko przygasły, a następnie wróciły do normy.

– Maszynownia, co się dzieje z zasilaniem?

Główny inżynier odezwał się, zanim Eric skończył mówić.

– Nie wiem, kapitanie. Próbujemy śledzić fluktuacje, ale pojawiają się w przypadkowych obszarach okrętu. Nie znajdujemy żadnych uszkodzeń przewodów.

– Znowu ta cholerna awaria – warknął Eric.

– Może. Trudno stwierdzić, sir. To możliwe, a nawet

prawdopodobne, że któreś trafienie wroga spowodowało szkody, o których jeszcze nie wiemy.

– Znajdźcie to. Wciąż czeka nas tu bitwa. Chcę, żeby okręt był w pełni sprawny, bo inaczej niedługo wszyscy będziemy oddychać próżnią.

– Robimy, co w naszej mocy, kapitanie. Gwarantuję to panu.

– Wiem o tym. Bez odbioru.

Rozłączył się i spojrzał znów na dane telemetryczne i malejące wciąż odległości. „Bell” i „Bo” wraz z Włóczęgami kierowały się w stronę wroga z przeciwległej strony, niż „Odyseusz” prowadził siły Priminae. Obie grupy znajdowały się w optymalnym zasięgu ataku, ale trafienie przez bańkę czasoprzestrzenną okrętu lecącego z pełną mocą wymagało dokładnej wiedzy o zakrzywieniu czasoprzestrzennym i sporej dozy szczęścia. Na lasery wpływało wtedy mnóstwo czynników, takich jak długość fali generatora grawitacji. Nawet z bliskiej odległości cokolwiek poza idealnym strzałem ledwie podgrzałoby kadłub przeciwnika.

Na szczęście nieprzyjaciel miał ten sam problem. Chociaż Imperialni znali zakrzywienie swoich okrętów na tyle dobrze, żeby ich lasery się przez nie przebiły, musieliby przeliczyć idealny kąt odbicia dla okrętów Sojuszu. Inaczej niż wyrzucenia grawitacyjne na rufie, lej przed dziobem okrętu był w zasadzie miniaturową czarną dziurą. Światło wkraczające w horyzont zdarzeń takiej jednostki ulegało rozproszeniu, o ile w ogóle się z niego wydostawało.

Na razie więc obie siły znajdowały się w impasie, choć nie zamierzały marnować szans na ewentualny celny strzał.

Eric mógł zaryzykować użycie dział tranzycyjnych i grawitacyjnych, ale nadal występowało duże ryzyko spudłowania, do tego dochodziło zagrożenie, że zostanie trafiony dryfujący krążownik Priminae. To niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą, przynajmniej do czasu, aż Imperialni wyminą pokiereszowany okręt.

Na razie musiało wystarczyć wywieranie nacisku na wroga.

„Otoczyło was stado psów. Możecie być wilkami, ale te psy mogą was wykrwawić, nawet jeśli same przy tym zginą. Więc uciekajcie do lasu. Tutaj nie chcemy takich jak wy”.

– Utrzymać moc pola grawitacyjnego, zsynchronizować pola grupy – rozkazała Misrem, pochylając się nad konsolą nawigacyjną, podczas gdy wokół niej oficerowie robili swoje.

– Tak, zwierzchniczko – odparł główny nawigator. – Ale wrogie jednostki utrudniają manewr. Osłonięcie obu flank może nie być łatwe.

– Po prostu to zrób – rozkazała stanowczo. – Musimy zabrać naszych żołnierzy i stwierdzić, czego się dowiedzieli, zanim podejmiemy dalsze decyzje.

– Tak, zwierzchniczko – powtórzył mężczyzna.

Ruszyła do stacji taktycznej, ignorując stojącego przy niej oficera i przyglądając się danym spływającym z rufowych skanerów.

Strategia wroga była dość prosta i skuteczna. Zamierzał urządzić pokaz siły, zademonstrować, że nie boi się przeważającej liczebnie floty. Może była to absurdalna postawa, ale wystarczyła, by jasne się stało, że jeśli nawet Misrem całkowicie zniszczy nieprzyjaciela, to poniesie takie straty, że jej własne przetrwanie nie będzie pewne.

„To nie jest strategia Przysiężnych” – pomyślała z niechętnym podziwem.

Przysiężni wycofali się jako pierwsi, żeby zebrać siły. Tego rodzaju brawura była im obca. A jednak przynajmniej część z tych okrętów należała właśnie do nich. Walczyły wprawdzie zgodnie z ich profilem psychologicznym, ale tylko do czasu, kiedy przybyły te przeklęte anomalie.

„Ci ludzie są zagrożeniem” – zdecydowała. „Nie tylko posiadają zmysł taktyczny i godną podziwu wolę walki, ale też inspirują innych”.

Te zdolności przywódcze były bardziej niebezpieczne niż wszystkie okręty we wszechświecie, niż cała odwaga, zdolności i zaawansowana technologia. Przywódcy potrafili zmienić słabeuszy w niepowstrzymanych mocarzy.

Przywódcy, nie jedynie dowódcy, mogli zmienić równowagę sił w Galaktyce, jeśli nikt się w porę nimi nie zajmie... a Misrem podobała się dotychczasowa równowaga.

Przeźren między okrętami co jakiś czas przeszywały promienie laserów. Była to niemal bezużyteczna strata energii, bo odbijały je pola grawitacyjne. Ale te nieliczne, które się przedostawały, sprawiały, że ekran konsoli uszkodzeń wciąż się świecił. Tak samo

było na innych okrętach.

– Czy mamy raport od grupy desantowej? – spytała, podchodząc do oficera komunikacyjnego.

– Tak, zwierzchniczko. Napotkali silny opór, ale nie ze strony Przysiężnych. Przecinają się przez pokłady, próbując uniknąć kontaktu i wycofać się do promów.

Misrem mruknęła pod nosem, zirytowana, że jej żołnierze uciekają przed przeciwnikiem.

– Czy to znaczy, że wróg ma przewagę liczebną? – spytała.

– Nie wiadomo – przyznał oficer komunikacyjny. – Centurion dowodzący naszymi siłami zdecydował, że lepiej nie sprawdzać tego w bezpośrednim starciu, i skupił się na głównym celu misji.

Nie mogła mieć mu tego za złe.

– Są w stanie nadawać?

– Nie w tej chwili. Cały okręt jest napromieniowany i obie strony używają urządzeń zagłuszających. Ale dane, które zdobyli, są... istotne. – Oficer westchnął. – Ledwie dostajemy podstawowy kod. Wysłanie w ten sposób informacji z komputerów wroga zajęłoby całe dnie, bo będąc pod ostrzałem, nie są w stanie ich skompresować.

Nie podobało jej się to, ale była świadoma ograniczeń w przesyle danych na znaczne odległości, szczególnie ze strefy walki. Sytuacja mogła się zmienić, jeśli podejda bliżej okrętu, ale wtedy centurion i jego ludzie powinni już ewakuować się z dryfującego wraku.

W każdym razie Misrem miała nadzieję, że wyciągnęli z biblioteki przeciwnika istotne informacje wywiadowcze. W przeciwnym razie okazałoby się, że cały wysiłek poszedł na marne.

„Potrzebujemy więcej informacji. Nie lubię działać na ślepo” – pomyślała Misrem, patrząc, jak dystans między jej okrętem a krążownikiem Przysiężnych maleje.

Promień lasera trafił w pancierz „Bellerofonta” i przypalił około stu metrów kwadratowych powierzchni. Roberts i jego pilot jęknęli niemal w tej samej chwili. Kapitan uznał to za osobiste osiągnięcie, zważywszy na to, że on nie był podłączony do sieci neuronowej.

Jak na razie, odnieśli jedynie niewielkie uszkodzenia. Roberts skupił

się więc na zbliżających się do siebie kursach trzech grup bojowych, podążających w kierunku „Tetanny”.

„Nie martwcie się. Jesteśmy z floty i przybywamy wam na pomoc” – pomyślał.

– Komandorze – Roberts odezwał się cicho, ale było go słycać mimo panującego na mostku szumu – dostosować kurs. Trzy stopnie na sterburtę. Chcę mieć lepszy kąt ataku na niszczyciele wroga, jeśli to możliwe.

– Przyjąłem – odpowiedział Little. – Dostosowuję kurs. Jeśli przyspieszymy o pięć punktów, mogę otworzyć nieco bardziej okno ataku.

– Wykonać. Chcę ich wykrwawić – powiedział Roberts, rozglądając się. – Każde draśnięcie pomoże. Im bardziej będą krwawić teraz, tym mniej krwi później stracimy my.

– Tak, sir.

Widział, że załoga bardzo mocno skupia się na zadaniach. Przesłał notkę o nowych planach do Hyatt i do Włóczęgów. Otrzymali już przez sieć bojową powiadomienie o nowych manewrach, ale chciał, żeby wiedzieli, dlaczego to robi.

„Odyseusz” był teraz na tyle blisko, żeby z pewnym opóźnieniem połączyć się z siecią, ale zanim otrzyma informację, minie parę sekund, a zanim zdąży odpowiedzieć, miną kolejne. Dowodzenie ruchami floty z odległości kilku sekund świetlnych było kłopotliwe i niemal niemożliwe bez sieci nadświetlnych, które wróg unieszkodliwił jako pierwsze.

„Będziemy musieli wypracować nową strategię” – pomyślał Roberts.

Przyszłe wytyczne strategiczne zapewne będą zaprzętać głowy całemu dowództwu floty kosmicznej, także podczas konsultacji z innymi organizacjami, w tym z Blokiem.

Nikt nie chciał powtórki z inwazji Drasinów.

Bosman Dixon miał wrażenie, że mózg mu się zagotował, gdy „Odyseusz” zebrał cięgi w walce. Wciąż nie do końca się pozbierał.

– Powiedzcie mi, że też to słyszycie – wymamrotał z wnętrza kombinezonu, próbując zlokalizować źródło dźwięku, którego nie

mieli prawa słyszeć.

– Słyszę, szefie – odezwał się jeden z mechaników. – Naprawdę nie chcę tu teraz być.

Nie był jedyny.

Dixon odmawiał ucieczki, ale wolałby znajdować się wszędzie indziej niż na ewakuowanym pokładzie, na którym rozlegał się głos płaczącego dziecka.

– Kurwa, gdy tylko dorwę tego, kto stroi sobie takie żarty, nogi mu z dupy powyrywam – warknął, maskując strach gniewem.

Sprawdził systemy swojego kombinezonu i zyskał pewność, że płacz nie dobiegał przez radio. Zważywszy na to, że on i pozostali znajdowali się w próżni, stanowiło to cholernie twarde orzech do zgryzienia.

Przełączył się na kanał taktyczny.

– Tu bosman Dixon, przyślijcie mi jakichś marines.

Na chwilę zapadła cisza, zanim odezwała się dyspozytorka.

– Wysyłam. Co się dzieje? – spytała z niepokojem.

– Nie wiem. Albo wszyscy tu halucynujemy... albo gdzieś niedaleko płacze dziecko.

– Dzie... – dyspozytorka zawahała się. – Dziecko? Bosmanie, na całym pokładzie nie ma powietrza.

– Myślisz, że tego nie wiem? – warknął Dixon. – Gdybyśmy mieli tu powietrze, nie byłbym taki nerwowy. Sprawdziłem skafander, wszystko działa, ale tego dźwięku nie ma na nagraniach.

– Bosmanie, jest pan w próżni. Gdyby coś było na nagraniach, oznaczałoby, że ze skafandrem jest coś nie tak – odezwał się nowy głos. Bosman pobladł.

– Tak, sir. – Dixon wziął głęboki oddech, próbując nie warczeć na komodora. – Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu... potrzebujemy wsparcia, dobrze?

– Wsparcie już idzie. Czy jest pan w stanie zlokalizować źródło dźwięku? – spytał poważnie Weston.

Dixon westchnął, ciesząc się, że komodor nie przemawia do niego jak do wariata.

– Nie, sir. Wydaje się pochodzić... zewsząd. Ale nie tylko ja słyszę ten płacz. Gdyby chociaż działały tu światła...

Weston roześmiał się.

– Dobrze, tylko spokojnie. Marines zaraz przejdą przez śluzę. Będą

u was za minutę. Niech oni zlokalizują dźwięk. Proszę załatać okręt tak szybko, jak się da.

– Pomogłoby, gdyby przestał pan dawać się trafiać, sir – odpowiedział Dixon. W korytarzu pojawiły się światła. – Widzę marines.

Komodor zignorował sarkazm podwładnego.

– Dobrze, proszę się tam trzymać. To dzięki panu jeszcze lecimy.

Komodor rozłączył się, gdy przybyli opancerzeni marines. Podeszli do ekipy naprawczej, rozglądając się, rozświetlając otoczenie latarkami umocowanymi przy karabinach.

– Co jest, bosmanie? – spytał pierwszy z nich. HUD Dixona pokazywał, że jest to starszy szeregowy Jan.

Dixon zmarszczył brwi, rozpoznawszy nazwisko. Ale nie było czasu na drobiazgi.

– To cholera...

Przerwał mu głos płaczącego dziecka. Bosman obrócił się wokół.

– Słyszycie to? – spytał.

Marines rozglądali się z bronią w gotowości. Usłyszeli dźwięk, ale żaden nie był w stanie go zlokalizować.

– Co, do cholery? – odezwał się Jan. – System niczego nie nagrał.

– Ale... w takim razie... co....?

– Teraz już wiecie, na czym polega problem – powiedział oschle Dixon. – Rozwiążcie go. Powodzenia. My mamy okręt do naprawienia.

Ruszył przed siebie, zirytowany, że w próżni nie słyhać głośnego tupania. Jego ludzie podążyli za nim, zostawiając marines w ciemnościach, pośród których rozlegał się niemożliwy głos.

– Postarajcie się nikogo nie zastrzelić! – warknął jeszcze Dixon, wiedząc dobrze, że próbuje tylko ukryć własny strach. Nienawidził tego uczucia.

„Jeśli to żart, przysięgam, że naprawdę przeciągnę kogoś pod kilem”.

Jan rozglądał się. Jego HUD dobrze to kompensował. Dziwne odgłosy niosące się po korytarzu były jednak straszne same w sobie. A to, że wybrzmiewały w próżni, czyniło je tym bardziej

przerazającymi.

– Dobra, rozproszyć się. Szukajcie źródła dźwięku, ale nie traćcie się nawzajem z oczu. Zabezpieczymy każde pomieszczenie, zanim ruszymy dalej. Zrozumiano?

Marines odpowiedzieli pewnym „oorah”.

Jan postąpił zgodnie z własnym rozkazem i znów dokładnie zlustrował otoczenie, po czym przyjrzał się odłamkom rozrzuconym po całym pokładzie.

Nic.

Odgłos to cichł, to się wzmacniał. Nie wyglądało na to, żeby płacz dobiegał z jakiegoś konkretnego kierunku, co miało pewien przewrotny sens. Trudno wszak stwierdzić, skąd przychodzi dźwięk, jeśli nie ma medium pośredniczącego.

Ale ta logika nie przynosiła ulgi starszemu szeregowemu.

– Czysto – powiedział w końcu. – Ktoś coś ma?

Usłyszał odmowne odpowiedzi.

– Dobra, następna sekcja. Za mną – rozkazał.

Marines ruszyli wzdłuż korytarza do następnej sekcji pokładu, wyglądającej na laboratorium. Jan już miał podążyć naprzód, gdy kątem oka zobaczył złocisty błysk. Obrócił się w lewo.

– Widzisz to? – spytał człowieka za sobą.

– Co?

– Nie wiem. Jakiś odblask czy coś takiego. Stójcie tu, zaraz zobaczę.

– Jasne. – Marine wzruszył ramionami, podczas gdy Jan ruszył przed siebie.

Gdy doszedł do skrzyżowania, mógł zobaczyć całą długość korytarza w obu kierunkach. Powoli rozejrzał się, ale nie było tam ani śladu złotego błysku.

– Dziwne. Przez to miejsce zaczynam wariować – stwierdził i zaczął wracać do swoich ludzi.

Zatrzymał się jednak, gdy usłyszał płacz wyraźnie po swojej lewej. Gdy się obrócił, na końcu korytarza zobaczył sylwetkę ubraną w coś, czego początkowo nie mógł zidentyfikować. Po przyjrzeniu się wyglądało to na starą zbroję, z rodzaju tych, jakie widywało się tylko w muzeach. Była lśniąca, złocista, ale naprawdę niepokoiło to, że nie zakrywała całego ciała tak, jak pancerz środowiskowy.

– Co, do diabła... – szepnął Jan, przechylając głowę. – To musi być dowcip, co?

– Jan? – usłyszał przez radio. – Wszystko w porządku?

– Tak, ja tylko... – Znow spozrzał w lewo, ale postać zniknęła. – Co do... czy ktoś jeszcze to widział?

– Co? – spytał jeden z szeregowców. – Na pewno wszystko w porządku?

Jan wpatrywał się w pusty korytarz, próbując znów dojrzeć średniowieczny pancerz.

– Wiecie co, nie jestem pewien, czy...

Opuścił broń i zaczął zawracać, gdy nagle stanął twarzą w twarz z opancerzoną figurą. Poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach, gdy zobaczył wpatrzone w siebie, krwawiące oczy dziecka.

– Boli...

Niski, syczący głos wyrwał go ze stuporu. Jan odskoczył i uderzył w najbliższą ścianę. Zaczął krzyczeć, a jego palec zacisnął się na spuście.

Rozdział 17

– Wygląda na to, że jest ich zbyt wielu, szefie.

Rider nie mógł się nie zgodzić, patrząc przez pancierz Dowa na oddział żołnierzy wroga, zajmujących obszar biblioteki. Naliczył ich przynajmniej trzydziestu, z czego jeden, wyglądający na oficera, pracował już przy panelu dostępowym.

– Miej ich na oku – powiedział. – Spróbuję skomunikować się z siecią bojową, ale połączenie jest kiepskie. Może chwilę zająć. Nie daj się wypatrzeć.

– Przyjąłem – odparł przycupnięty przy ścianie marine, wysuwający za róg koniec sensora.

– Wy dwaj miejcie na niego oko – rozkazał pozostałej dwójce. – Wycofajcie się, gdy tylko was zauważą. Nie wiem, co tam się dzieje, ale nic nam nie da, jeśli damy się zabić.

Kensey i Ramirez skinęli głowami, a Rider wrócił za róg, próbując złapać sygnał sieci bojowej marines.

Okręty Priminae zazwyczaj nie generowały tak dużych zakłóceń. Materiały, z których je budowano, chwalono nawet za wyjątkową czystość przepływu sygnałów. Niestety, na skutek walki spora część okrętu została wypełniona promieniowaniem, marines musieli wypuścić dość odbijającego lasery dymu, by udusić małe miasteczko, a wróg zapewne do tego wszystkiego korzystał z własnych systemów zagłuszania.

Rider zdołał jednak podłączyć się do sieci okrętowej. Tam zaczął szukać węzła znajdującego się w zasięgu kontaktu z pułkownik. Niestety, nie mógł jej znaleźć, ale za to udało mu się połączyć z sierżantem.

– Sierżancie, tu kapral Rider.

– Mów.

– Jesteśmy wewnątrz biblioteki. Sporo żołnierzy wroga, mają przewagę liczebną. Nie mamy szans w starciu. Rozkazy?

– Czekajcie. Nie mam połączenia z pułkownik. Jest na mostku, są tam spore uszkodzenia. Wysłałem gońca.

– Przyjąłem, czekamy.

– Jak sytuacja?

Rider zastanowił się chwilę, po czym odpowiedział:

– Na razie spokojnie. Nie zauważyli nas jeszcze. Jesteśmy uzbrojeni i osłonięci. W razie czego damy im popalić, ale w końcu nas rozwalą. Nie ma tu przestrzeni do manewrowania.

– Przyjąłem. Zaraz... mam połączenie z pułkownik. Pani pułkownik, Rider na linii.

– Raport, kapralu – w głosie Conner słychać było napięcie.

Rider opisał sytuację szybko i dokładnie.

– Utrzymajcie pozycję na tyle długo, na ile możecie bez walki – rozkazała pułkownik. – Próbujemy ustalić, czego szuka wróg. Niech działają.

– Przyjąłem, ma'am – odpowiedział Rider. – Utrzymujemy pozycję, pozostajemy w kontakcie. Dam znać, jeśli coś się zmieni.

– Dobra robota, kapralu. Proszę przekazać wszelkie informacje, jakie zdołacie. Liczy się każdy drobiazg.

– Tak, ma'am.

Sierżant wkroczył na pokład inżynieryjny, a za nim kapitan „Tetanny” i eskorta marines.

Drey ruszył natychmiast w stronę zabezpieczonego terminala biblioteki, gdzie mógł nie tylko przeglądać dane, ale także korzystać z funkcji dowódczych. Wprowadził osobisty kod i otworzył historię dostępu do danych.

– Wprowadzają konkretne hasła wyszukiwania – oznajmił. – Wygląda na to, że wiedzą, po co tu przyszli.

– Czego szukali? – spytał terrański sierżant, zaglądając kapitanowi przez ramię.

– Schematów pancerzy, laserów, informacji o sojusznikach Priminae... – Drey spojrział na opancerzoną twarz sierżanta.

– Nie brzmi za dobrze, kapitanie.

– Co do tego jesteśmy zgodni. Imperium zauważyło, że choć ich broń ma przewagę, jeśli chodzi o moc, poczynione modyfikacje dają nam większą skuteczność bojową. Wygląda na to, że szukają sposobu, by to zneutralizować, i są ciekawi, skąd mamy tę technologię.

– Co właściwie macie tam o nas?

– Niewiele, ale to może być i tak za dużo – przyznał Drey, przeglądając wyniki wyszukiwania, aby upewnić się, że nic nie pominął. – Pańska admirał prosiła, abyśmy nie zapisywali informacji o waszej ojczystej planecie, i choć nie mogę ręczyć za dane wprowadzane na światach wewnętrznych, flota spełniła tę prośbę. Jestem pewien, że są kapitanowie, którzy znają jej położenie, ale ci tutaj nie znajdą go w komputerze.

– Chociaż tyle. W takim razie co tam jest?

– Podstawowe informacje, szacunkowa całkowita populacja, zamieszkałe światy, a raczej świat, w tym wypadku. Ogólne informacje technologiczne.

– Nie brzmi za dobrze. Muszę porozmawiać z pułkownik – stwierdził sierżant. Następnie przypomniał sobie o czymś. – A co ze schematami napędu?

– Słucham?

– Napęd tranzycyjny. Czy go wyszukali?

Dreya przeszedł dreszcz mimo panującego w pomieszczeniu upału. Odpowiedź na to pytanie znalazł w ciągu kilku sekund.

– Nie, tego nie. – Odetchnął z ulgą.

– Dobrze. Mogli jeszcze nie zauważyć, że go używamy. Czy można ich stąd odciąć?

– Tak, ale to nie usunie danych, które już zapisali, jeśli kopiowali je w miarę wyszukiwania.

– Porozmawiam teraz z pułkownik.

Conner przeklinała pod nosem, przeglądając raporty wywiadowcze, które właśnie trafiały do wroga.

„To zdecydowanie informacje, których nie chcielibyśmy widzieć teraz w ich rękach. Ani kiedykolwiek”.

Znała rozkazy, jakie dostał komodor, i nawet tak ograniczone informacje o Ziemi zdecydowanie psuły cały bluff. Nie żeby spodziewała się, że ta strategia wytrzyma próbę czasu, ale im dłużej, tym lepiej dla Ziemi i dla Priminae.

Zdecydowała, że muszą odciąć wroga od źródeł wiedzy. Pytanie

brzmiało tylko, co robić potem.

Nieprzyjaciel planował ewakuację razem z uzyskanymi danymi wywiadowczymi, co dla niej było nie do przyjęcia. Niestety, miał przewagę liczebną nad marines, a choć miejscowi byli chętni do walki, uznała, że im mniej ludzi strzelających z gigawatowych laserów na rozgrzanym już okręcie, tym lepiej.

Spojrzała na stan własnego pancerza. Chłodzenie ledwie zipało, a nie odniosła żadnych obrażeń. W przypadku wielu z marines systemy podtrzymywania życia były już dawno przeciążone i funkcjonowały poniżej optimum. Dłuższa walka mogła oznaczać, że straci tak samo wielu ludzi w wyniku uderzeń, co z powodu ran, nie mówiąc już o nieopancerzonych Priminae, wciąż próbujących uratować „Tetannę”.

Wzięła głęboki oddech. Rozważała możliwości, ale tak naprawdę miała tylko dwie.

Szturm lub zasadzka.

„Niech będzie zasadzka”.

– Sierzancie – powiedziała przez sieć bojową – niech kapitan odetnie im dostęp. Następnie proszę wycofać marines do punktu Bravo Jeden Dziewięć i przygotować zasadzkę na wycofującego się wroga.

Semicenturion Leif stał na warcie, niecierpliwie szurając butami po pokładzie, podczas gdy specjaliści techniczni przeszukiwali komputer Przysiężnych i kopiowali dane. Im bliżej byli spełnienia warunków misji, tym bardziej Leif robił się nerwowy.

Raporty od pozostałych oddziałów nie brzmiały najlepiej, a niektóre jednostki wcale się nie odzywały, co nie wróżyło nic dobrego. Sojusznicy Przysiężnych byli skuteczni, brutalni i szybcy. Szanował to u przeciwnika, ale wolałby zająć się tym szanowaniem później, być może opowiadając na lekcjach historii o tym, jak dzielnie ci ludzie walczyli, zanim Imperium ich pokonało.

Ale ten dzień jeszcze nie nadszedł i nie bardzo mogli go przyspieszyć. Kopiowanie danych z fraktalnego komputera było zazwyczaj rutynową, prostą robotą. Lecz praca pod ostrzałem mogło przyprawić o nocne koszmary.

Danych było zbyt wiele, by mogli po prostu skopiować je i uciec. On i jego żołnierze zabezpieczali więc teren do czasu zakończenia poszukiwań. Mieli nadzieję, że wróg skupi się na pokładzie dowodzenia i maszynowni. Podobne misje wykonywali już dziesiątki razy i szkolili się do nich, ale tym razem w grę wchodziło zbyt wiele niewiadomych.

Chciał już wynosić się z tego wraku. Gdy technicy zaczęli przeklinać w wielu językach, w tym zdecydowanie nieimperialnych, był to bardzo zły znak.

– Co się dzieje? – zawołał Leif. Wskazał na jednego ze swoich ludzi, by ten zajął jego miejsce w szyku, po czym ruszył do konsoli komputera.

– Ktoś nas odciął. Straciliśmy dostęp – powiedział specjalista, pakując sprzęt.

– Co? Jak? – Leif domagał się odpowiedzi.

– Musiał to zrobić ktoś z wysokim poziomem dostępu. Kapitan albo główny inżynier. W każdym razie nic więcej nie wyciągniemy.

– Dobrze, zatem pora się zbierać!

– Kurwa – odezwał się Dow. – Rider, mamy problem. Pakują się. Zaraz nas zobaczą.

– Wycofać się. Pułkownik i kapitan Prymusów odcięli im dostęp. Musimy ich mieć na oku do czasu, aż przybędzie wsparcie.

– Lepiej, żeby było porządne, szefie – mruknął Dow. – Mają ciężki sprzęt i raczej nie zawahają się go użyć.

– My również. Zostaw tam parę skanerów i się wycofaj.

– Tak jest – odpowiedział szeregowiec. Przyczepił zestaw skanujący do ściany tuż za rogiem, a następnie dołączył do pozostałej dwójki. Wycofywali się na tyle szybko, na ile mogli, nie robiąc hałasu, a gdy uznali, że są dość daleko, zaczęli biec.

Po drodze rozmieszczali skanery, próbując objąć każdym z nich jak największy obszar. Mobilne systemy nie były tak dobre, jak wbudowane w pancerze, ale przekaźniki poszerzały też zasięg sieci bojowej i dawały lepszy ogłąd pola walki.

Kapral czekał na nich w miejscu zbiórki i dalej biegli już we

czwórkę.

– Mamy informacje o odciętych pokładach i miejscach, które nadal kontrolują – powiedział Rider, wysyłając im kopię danych. – Wyznaczyliśmy więc ich prawdopodobną trasę. Pułkownik chce ich zatrzymać żywych lub martwych. Dołączymy do trzeciego oddziału i zasadzimy się na nich.

– Do tego potrzeba będzie czegoś więcej niż tylko trzeciego, kapralu – odparł Ramirez. – Mają odpowiednik ciężkiej artylerii.

– Tak, wiem. Coś wykombinujemy.

Pułkownik Conner zatrzymała się obok przenośnej śluzy, prowadzącej do miejsca, gdzie marines wkroczyli na pokład. Byli tam już ludzie przenoszący sprzęt.

– Pułkowniku – jeden z nich, noszący lekki pancerz pilota, odwrócił się do niej – mamy wszystko, co dało się wyciągnąć z promów i zmieścić przez śluzę. Zaraz przejdą ostatnie ładunki.

– Dziękuję, poruczniku – odparła. – Za chwilę tu będą ludzie, którzy zajmą się transportem.

– Ja i mój drugi pilot również chętnie dołączymy, ma’am.

Przyjrzała się uważnie mężczyźnie i nazwisku wypisanemu na jego piersi.

– Poruczniku Hadrian, to nie jest pancerz bojowy, a pan jest pilotem.

– Jestem pilotem marines, ma’am. Najpierw strzelec, potem pilot – powiedział z powagą. – Poza tym ile wytrzyma pancerz bojowy w starciu z ich laserem?

Conner skrzywiła się, wiedząc, jaka jest odpowiedź. Nawet draśnięcie potrafiło ugotować żywcem człowieka w pancerzu bojowym. Lekki pancerz pilota nie był gorszy niż cokolwiek innego.

– Proszę chwycić karabin i zacząć przenosić skrzynki do punktu zasadzki, poruczniku – powiedziała. – Mamy robotę do wykonania.

– Oorah, pułkowniku!

Conner patrzyła, jak młody porucznik bierze karabin ze stosu przy jednej ze ścian i wzywa drugiego pilota. Chwycili razem jedną ze skrzyń i ruszyli naprzód. Pokręciła głową.

„Zbyt brawurowi”.

Nie było to jednak nic nadzwyczajnego wśród marines, a w tej chwili potrzebowała każdego strzelca.

Przygotowanie wszystkich do wyruszenia, łącznie ze spakowaniem sprzętu, który przynieśli w celu połączenia się z komputerem Przysiężnych, zajęło więcej czasu, niż chciałby Leif, zważywszy na to, że wróg ewidentnie dowiedział się, gdzie się znajdują i nad czym pracowali. Ustalił szyk oddziału, z technikami w środku, i wreszcie udało im się rozpocząć ewakuację.

Ich drogę odwrotu ograniczały w dużej mierze uszkodzenia zadane krążownikowi przez okręty zwierzchniczki, ale również czarne plamy w ich sieci monitoringu, powstałe od czasu, gdy zaatakowali ich wojownicy nieznanego pochodzenia. Leif uznał, że te obszary znajdują się pod kontrolą obcych, więc pomijał je podczas planowania trasy.

Wkroczyli na pokład, przebijając się przez hangary prostopadle do miejsc, gdzie napotkano siły wroga.

„Musieli wejść przez jedną z wyrw w kadłubie” – pomyślał.

Nie było to nietypowe podejście, choć dziwiło go, że nie skorzystali z hangarów. Zapewne zauważyli imperialne Pasożyty albo nie byli w stanie skontaktować się z załogą okrętu. Zresztą nie miało to już znaczenia.

Znaczenie miało natomiast to, że linia powrotna wroga do własnych promów leżała z dala od ich trasy ewakuacyjnej. Przy odrobinie szczęścia będą w stanie uciec, zanim przeciwnik zorientuje się w sytuacji.

Oczywiście przy odrobinie szczęścia nie dowiedzieliby się też na czas, co robią on i jego ludzie. Lecz liczenie na wieczne szczęście nie jest szczególnie skuteczną taktyką.

– Zwiadowcy naprzód – rozkazał. – Uwaga na zasadzki.

Niewielka grupa zwiadowcza wybiegła przed resztę oddziału. Zasadzkę wśród korytarzy okrętu łatwo było zorganizować, ale trudniej ukryć. O ile wróg nie chciał zdradzić się od razu, nie mógł korzystać też początkowo z zasłony dymnej. Leif był więc przekonany,

że mieli szansę na przynajmniej jedną czystą salwę, zanim stracą widoczność.

Przy odrobinie szczęścia zakończyłoby to walkę, zanim ta na dobre by się rozpoczęła.

Oczywiście wróg również był tego świadom i zapewne miał plan na właśnie taką ewentualność.

Od tych wszystkich planów i kontrplanów mogła rozboleć głowa. Leif wolał proste starcia. Jedni przeciwko drugim i zwycięża ten, kto pozostanie żywy na polu walki. Niewiele sił było w stanie zmierzyć się z armią Imperium, jeśli chodziło o czystą potęgę, a nad tymi, którzy potrafili się bić, zwykle mieli przewagę liczebną.

– Wszystko na miejscu, pułkowniku – powiedział cicho sierżant, gdy marines zajęli pozycje.

Nie mając czasu na przygotowanie pola walki, marines zerwali ze ścian panele, co dało im nieco przestrzeni i osłonę. Miało to ograniczoną skuteczność przeciwko imperialnym laserom, ale nawet lekkie zabezpieczenie było lepsze niż żadne. Sierżant dopilnował, żeby Conner znajdowała się w pewnej odległości od miejsca zasadzki, poza bezpośrednią linią ognia.

Próbował przydzielić jej dwóch marines do ochrony, ale nie pozwoliła. Każda para rąk była potrzebna w walce. Podoficer, obchodzący się z nią jak z jajkiem, zwykle ją bawił, ale chociaż go rozumiała, musiała postawić pewne granice.

Ukryła się w jednym z tuneli serwisowych. Było tam ciasno, ale miała za to dość bezpieczną pozycję do obserwacji i kierowania walką. To była tylko kwestia czasu i cierpliwości.

Mieli wroga na oku dzięki zwiadowcom i skanerom, które zostawili po drodze. Niestety, Imperialni nie szli prosto jak głupcy. Ich oficer wysłał zwiadowców, daleko wyprzedzających trzon oddziału, co wkrótce miało postawić pułkownik przed trudną decyzją.

W razie gdyby nie wyeliminowała zwiadowców, niedługo natknęliby się na barykady jej marines. Jeśli dadzą o tym znać swoim, sytuacja się pogorszy. A jeśli wyeliminuje ich wcześniej, co było jedyną realistyczną opcją, to nawet jeśli nie zdążą skontaktować się

z dowódcą, ten i tak zauważy, że przestali się odzywać.

W każdym razie to było tyle w kwestii elementu zaskoczenia.

– Niech zwiadowcy podejść tak blisko, jak to możliwe. Wtedy ich wyeliminujcie.

„No to zaraz się zacznijcie”.

Imperialny oddział zwiadowczy przemierzał korytarze okrętu, zostawiając resztę sił daleko za sobą, rozglądając się w poszukiwaniu śladów wroga.

Zwiadowców często wyznaczano w ramach kary, gdy ktoś dopuścił się przewinienia dość poważnego, by być srogo ukaranym, ale nie na tyle, żeby kończyło się egzekucją. Nie było w dobrym tonie pytać pozostałych zwiadowców, co zrobili, żeby zasłużyć sobie na ten przydział, ale plotki i tak krążyły.

Kel szedł na przedzie, z laserem w dłoni. Szukał czegokolwiek, co wyglądałoby nietypowo. Nie podobała mu się ta sytuacja, ale rzadko kiedy zwiadowca lubi swój przydział. Przynajmniej jeśli jest trzeźwy na umyśle.

– Zatrzymać się – rozkazał, zauważywszy coś. – Straciliśmy kontakt z głównymi siłami.

– Zagłuszanie? – spytał jeden z jego ludzi.

– Być może – powiedział ostrożnie Kel. – Jest tu mnóstwo promieniowania, ale sporo z tego to nasze dzieło. Trudno stwierdzić.

Zatrzymali się i sprawdzili instrumenty, próbując ustalić, co powodowało zakłócenia, i ponownie się połączyć.

– Czy to powinno tu być? – odezwał się cichy głos jego zastępcy, Tirana, który przyglądał się czarnemu kształtowi na jednej ze ścian.

– Zeskanuj to.

– Dobrze. – Tiran włożył broń do kabury i wyciągnął potężny skaner. – Hmm... brak źródła zasilania, żadnych materiałów wybuchowych. Analiza chemiczna jest ciekawa, ale to może być jedna z wielu rzeczy.

– Broń? – spytał Kel.

– Niewykluczone – odparł Tiran. – Nie jest to znajomy skład, ale potencjał energetyczny ma znaczący, choć nie ogromny.

Kel przyjrzał się urządzeniu, po czym rozejrzał się po korytarzu i zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie weszli w zasadzkę.

– Broń w gotowości! – rozkazał, podnosząc laser.

Jego ludzie dopiero zaczęli reagować, a ich uwagę przykuł ruch w korytarzu przed nimi. Kel próbował wycelować broń, ale wtedy ciemne kształty wybuchły ogniem i dymem, a on poczuł, jak coś przebija się przez jego pancerz.

Padł na kolana, laser stuknął o pokład. Wokół ginęli jego ludzie. Cztery sylwetki w ciemnych pancerzach podeszły bliżej, a jemu zaczęło robić się ciemno przed oczami.

„Nienawidzę bycia zwiadowcą”.

Kapral Rider stał nad ciałami wrogów.

– Czysto.

– Dobra robota – powiedział stojący za jego plecami sierżant.

– Oddziały rozpoznania! Zabrać ciała – rozkazał sierżant. – Na krew niewiele poradzimy, ale będziemy się tym martwić później.

Rider schylił się i chwycił za pancerz leżącego żołnierza Imperium, podnosząc go na tyle, żeby odciągnąć ciało z korytarza. Podobnie zrobili jego ludzie.

Sierżant przyglądał im się przez chwilę, po czym pozbiierał broń laserową zabitych i poszedł za resztą.

Jedna robota została wykonana, pozostała jeszcze główna część zadania.

Utrata zwiadowców rzadko oznaczała dobre wieści, ale przynajmniej stanowiła ostrzeżenie.

„Nie żebym go potrzebował” – pomyślał Leif. „Gdyby naprawdę mnie zaskoczyli, nie wysyłałbym zwiadowców”.

– Straciliśmy kontakt jakieś sto kroków dalej wzdłuż tego korytarza – powiedział, sprawdzając czas i miejsce ostatniego sygnału. – Teraz musimy podjąć decyzję. Idziemy prosto czy okrężną drogą?

Podszedł do niego zastępca. Przyjrzał się pustemu korytarzowi, po

czym sprawdził plan wnętrza statku.

– Jeśli pójdziemy naokoło, będzie nas to kosztować przynajmniej trzydzieści trzy procent więcej czasu – stwierdził cicho. – Być może więcej.

– To prawda. – Leif zamyślił się. – Ale jeśli zamierzają walczyć z nami o ten korytarz, pójście prosto będzie nas kosztować i ludzi, i czas. Tak czy inaczej, tracimy.

– Nie jest to najprostsza decyzja – przyznał zastępca.

– Może mamy alternatywę – odparł Leif, przyglądając się mapie.

Konstrukcja Przysiężnych była podobna do krążowników Imperium, nawet jeśli różniła się rozkładem pomieszczeń. Istniały jednak znaczne podobieństwa. Oba typy okrętów zbudowano wokół bliźniaczych reaktorów, zakrzywiających w pewnym stopniu grawitację na pokładzie. Aby utrzymać jej oddziaływanie prostopadle do pokładu, okręty musiały być budowane z myślą o tym zakrzywieniu.

W tym przypadku prostą linię dało się uzyskać, jedynie zakrzywiając ją.

Oznaczało to, że chociaż nie znał konkretnego rozkładu pokładów, Leif wiedział, gdzie się znajduje i jaka jest najbardziej bezpośrednia droga do celu.

– Lasery przecinające – rozkazał, wskazując sekcję pokładu na mapie. – Przejdziemy tędy.

– Zrobi się gorąco. To poważnie obciąży nasze pancerze – ostrzegł go zastępca.

– Albo wydostaniemy się stąd, zanim będzie to miało znaczenie, albo zginiemy. W każdym razie temperatura nie będzie nas obchodzić – powiedział Leif. – Niech Przysiężni się tym martwią.

– Na rozkaz, semicenturionie. – Zastępca zasalutował, po czym przywołał grupę żołnierzy i wydał im rozkazy.

– Wszyscy inni, zabezpieczają teren.

Rider wiercił się niecierpliwie, wyglądając co chwila za róg.

– Coś jest nie tak – powiedział.

– Chodzi ci o to, że nie musimy schylać się przed laserami? – spytał

Dow. – Chyba nie warto narzekać.

– Tak, o to właśnie chodzi – odpowiedział zgryźliwie Rider, po czym zmienił kanał sieci taktycznej. – Sierzancie, czy ktoś widzi wroga wzdłuż alternatywnych tras?

– Nie wygląda na to. Myślisz, że coś kombinują?

– Powinni już tu być – powiedział stanowczo Rider. – Coś mi tu nie pasuje.

– Kapralu – usłyszał cichy głos pułkownik – zapewne są jedynie ostrożni. Stracili właśnie kontakt ze zwiadowcami. To ich pewnie spowolniło.

Rider zawahał się, nie chcąc wchodzić w sprzeczkę z pułkownik, ale ostatecznie postanowił się nie patyczkować.

– Ma’am, czuję, że knują coś, co sprawi nam kłopoty – wyrzucił.

Sierżant roześmiał się.

– To nie ulega wątpliwości. W końcu są wrogami. Musisz być bardziej konkretny, kapralu.

Rider zagryzł zęby i zaryzykował kolejne wyjrzenie za róg.

Nic.

– Nie mam konkretów – przyznał w końcu. – Ale coś tu nie gra. Proszę o pozwolenie na zwiad.

Zapadła głucha cisza, aż w końcu odezwała się znów pułkownik:

– Kapralu, nie będziecie tam mieli osłony. Jeśli was dopadną, zginiecie.

– Przyjąłem, ma’am – odpowiedział twardo Rider. – Nie damy się złapać.

Zapadła krótka cisza, aż w końcu rozległ się znów głos dowódcy:

– Wysłać zwiad.

– Oorah, ma’am. Ruszamy – powiedział, zostawiając kanał otwarty. Skinął głową na swoich ludzi. – Idziemy.

Rider wyszedł zza osłony na przedzie grupy. Poczul ciarki na plecach, ale nie zaskoczyło go to zbyt. Idąc przez otwarty korytarz w stronę, z której oczekiwali wroga, czuł się bardzo nieswojo. Ale martwiło go jeszcze coś innego. Nie wyglądało na to, żeby przeciwnik się zbliżał.

Nie miał pewności, ale nie mógł pozbyć się tej myśli z głowy, więc postanowił zaufać przeczuciu. Zaryzykować życie swoje i swoich ludzi.

Oślaniany przez idących tyłem szeregowców, kapral marines oparł

broń o ramię i ruszył truchtem przed siebie. Przy skrzyżowaniu zatrzymał się, zdjął rękę z karabinu i dał pięścią sygnał pozostałym, żeby zrobili to samo.

Wyjrzał za róg i pokręcił głową, również tam nie widząc śladu wroga.

– Coś wykombinowali – powiedział stanowczo.

Dow zajął pozycję po drugiej stronie korytarza, po czym odezwał się:

– Ale co? Zabezpieczyliśmy wszystkie trasy. Nie było ich zbyt wiele, zważywszy na uszkodzenia tej łajby.

– Nie wiem. Ale coś jest nie tak. Dobra, idziemy dalej.

– Zaczekaj, Rider – powiedział Kensey. – Stracimy kontakt taktyczny z resztą, jeśli pójdziemy jeszcze dalej. Przez całe to promieniowanie.

Rider syknął z irytacją, wiedząc, że Kensey ma rację.

Komunikatory wbudowane w pancerze były niezłe, ale miały dość ograniczony zasięg. W idealnych warunkach rozstawiliby po okolicy przekaźniki.

Promieniowanie na pokładzie okrętu, ale również między jednostkami zostawiło swoje piętno. Lasery dość mocne, by przepalić opancerzenie bojowe i niszczyć okręty, zostawiały po sobie mnóstwo ciepła i innych rodzajów promieniowania. Znajdowali się też bezpośrednio nad rdzeniami osobliwości okrętu, co było jeszcze gorsze.

– Dobra – zdecydował. – Mamy kody dostępu do systemów pokładowych. Połączymy się z nimi i damy znać naszym.

– O ile nie zostały odcięte – mruknął Kensey.

– Planujesz żyć wiecznie, Kensey? – spytał Rider, łącząc się z systemem komunikacyjnym okrętu.

– Nie. Przynajmniej dopóki ty dowodzisz.

– Mądrała. Dobra, połączyłem się. Co do...

– Co jest?

Rider przez chwilę nie zwracał uwagi na kolegów, znów przełączając kanały.

– Pułkowniku, proszę sprawdzić stan przekaźników komunikacyjnych okrętu.

– Czego szukamy, kapralu? – spytała po chwili pułkownik.

– Przekażnik przed nami jest martwy, ma'am.

– Martwych przekaźników jest tu mnóstwo – wciął się sierżant. –

O co chodzi?

– Nie, sierżancie. Kapral może mieć rację – odezwała się Conner. – Mieliliśmy sygnał jeszcze parę sekund temu. Ktoś go odciął.

– Chcą nam przeszkodzić w komunikacji? – spytał zdezorientowany sierżant.

– Raczej niezbyt skutecznie, jeśli o to by im chodziło. Ten jest po ich stronie okrętu. Nie mamy nikogo w tamtej okolicy i oni o tym wie... Pułkowniku!

– Widzę – odparła Conner. – Kolejny właśnie padł.

– Bliżej nas? – spytał sierżant, wciąż niepewnym głosem.

– Nie, na innym pokładzie – odparł Rider. – Ma'am, oni chyba...

– Przecinają się przez pokłady – dokończyła za niego. – Miałeś rację, kapralu. Coś wykombinowali. W takim razie zmiana planów, wszyscy ruszamy. Spróbujemy odciąć ich, zanim dotrą do hangaru.

– Pójdziemy za nimi – powiedział Rider.

– Kapralu, nie będziesz miał wsparcia – ostrzegła Conner.

– Jesteśmy z oddziałów rozpoznania, ma'am.

Uznał, że nie musi nic dodawać.

Słyszał napięcie w ciszy, jaka zapadła.

– Powodzenia, marines – odezwała się pułkownik.

– Oorah, ma'am.

Rider rozłączył się i dał ludziom znak dwoma palcami, po czym znów oparł karabin o ramię. Jego ludzie nie wahali się ani chwili – czekali na ten sygnał. Ruszyli biegiem wzdłuż korytarza.

Oddziały rozpoznania marines.

Celer, silens, mortalis.

Szybcy, cisi, śmiercionośni.

Nadszedł czas, by dowieść prawdziwości tej maksymy.

Rozdział 18

Komandor Heath nagle zeszywniała w fotelu. Eric, monitorujący strzały laserowe floty wroga, kątem oka zauważył jej zaniepokojenie.

– Co się stało, komandorze? – spytał.

– Zarejestrowaliśmy ogień z broni palnej na pokładzie trzydziestym ósmym – powiedziała, wduszając kolejne przyciski, by uzyskać dostęp do głębszych funkcji systemu.

– Co? – Eric tym razem spojrzął jej w oczy. – Trzydziestym ósmym? To tam, gdzie marines poszli szukać źródła dźwięku, tak?

– Tak, sir. Mam teraz raport o rannym marinerze.

– Postrzelenie?

– Nie. Najwyraźniej wpadł na ścianę i niechcący wypalił z karabinu.

– Heath odetchnęła głęboko. – Brak poważniejszych obrażeń. System rozpoznawania odciął karabin, zanim rozstrzelał resztę oddziału.

Eric skrzywił się, choć cieszyło go, że system swój – obcy działa tak jak trzeba. Wolałby jednak, żeby w ogóle nie był potrzebny.

– Co się stało?

– Raporty są dość dziwne, sir. Sprawdzam właśnie nagranie z pancerza.

Eric spojrzął na dane telemetryczne, aby stwierdzić, ile czasu zostało, zanim znów znajdą się w ogniu bitwy. Uznał, że wystarczająco.

– Proszę przesłać je też do mnie. Chcę to zobaczyć.

– Tak, sir.

Eric szybko otworzył pliki na swojej konsoli. Stanowisko dowódcy miało odizolowany od reszty mostka system audio, dzięki czemu dźwięk z nagrania słyszał jedynie on. Był rozczarowany, gdy obejrzał całość.

– Co on słyszał? – spytał Eric. – Najwyraźniej coś go wystraszyło, ale żadne systemy tego nie zarejestrowały?

Heath pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, sir. Pozostali marines potwierdzają, że słyszeli odgłosy, które kazano im zbadać, ale nie ma ich na żadnych nagraniach.

– Bardzo bym się zdziwił, gdyby coś nagrały w próżni. To muszą być wibracje powietrza w samych pancerzach. Jakież fluktuacje grawitacyjne?

– Wykrylibyśmy coś takiego, sir – odpowiedziała stanowczo Heath. – A gdybyśmy nawet je przegapili, wychwyciłyby to wewnętrzne mikrofony. Chyba musimy zabrać stamtąd ludzi i sprawdzić powietrze w ich pancerzach.

– Zanieczyszczone powietrze? U wszystkich? – Eric nie był przekonany. – To dość naciągane.

– To jedyne, co ma sens, w oparciu o dostępne informacje.

Eric w końcu skinął głową.

– Dokładnie przebadać tego marine. A w zasadzie wszystkich. Musimy też zabrać ekipy naprawcze. Ile czasu minie, zanim będziemy mogli wysłać tam nowy oddział?

– Przynajmniej dwadzieścia minut. A może więcej.

– Proszę to zrobić – rozkazał Eric, kręcąc głową. – Jak tak dalej pójdzie, załoga zacznie myśleć, że okręt jest nawiedzony, a to nie skończy się dobrze.

– Tak, sir. – Heath nie określiła, czy potwierdza rozkaz, czy też odpowiada na jego opinię. W zasadzie nie miało to znaczenia. Ufał, że zajmie się problemem z należytą starannością.

„Gdybym nie wiedział o pewnych sprawach...”

Eric pozbył się tej myśli. Odległe o lata świetlne problemy były ostatnią rzeczą, którą powinien się teraz martwić. Musiało istnieć jakieś sensowne wytłumaczenie fenomenu.

– Co mamy zrobić?!

Dixon był rozwścieczony. Najpierw w jego okręcie wypalono i wybito masę dziur, potem jakiś żartowniś zaczął wszystkich straszyć, podczas gdy on próbował je załatać, a teraz chcą, żeby wycofał swoich ludzi?

– Słyszał mnie pan, bosmanie. Zastąpi was nowa ekipa. Obawiamy się, że powietrze w waszych skafandrach jest zanieczyszczone.

– Pani komandor, z moim wyposażeniem wszystko gra. Za dziesięć minut uszczelnimy ten pokład i będziemy mogli znów wpuścić tu

powietrze – nalegał Dixon. – Ile czasu zajmie przysłanie tu nowych ludzi? Przynajmniej kwadrans?

– Może nawet dłużej – niechętnie przyznała kobieta.

– Dłużej? Żartuje pani? – Dixon zwykle nie kłócił się z przełożonymi, gdy robili z siebie durniów. Ale teraz miał zostawić okręt z otwartymi ranami na nie wiadomo ile? Nie ma mowy.

– Wymieniamy powietrze nowej ekipy. Musimy się upewnić, że mają czysty tlen – w głosie komandor słychać było irytację.

– Proszę to zrobić – odparł Dixon. – My dokończymy tu robotę, a potem zamienimy się miejscami z nowymi. Jeśli to, czymkolwiek jest, jeszcze nas nie zabiło, to nie robi tego przez kolejne parę minut. Ścigamy się z czasem. Proszę dać nam robić swoje.

– Bosmanie, jeden z marines wpadł w panikę i ostrzelał pokład z karabinu.

– Co zrobił?! – Dixon niemal wybuchł, zapominając, z kim rozmawia. – Próbujemy naprawić tę krypę, a jakiś przygłupi trep robi w niej więcej dziur?

– Proszę się uspokoić. Pańskie ciśnienie i tętno wykraczają znacznie ponad normę. Jeśli się pan nie opanuje, wyślę do pana sanitariuszy i wyciągną pana na siłę.

Dixon wziął kilka głębokich oddechów, zmusił się do uspokojenia.

– Lepiej – orzekła Heath po ponownym sprawdzeniu jego odczytów.

– Otóż marines doznali halucynacji i jeden z nich niemal przebił się przez ścianę, żeby uciec przed... czymś. Dlatego chcemy wycofać pańskich ludzi.

– Moi ludzie coś słyszą, ale nikt nie panikuje – warknął Dixon. „No, może nie bardzo”.

– Wolimy, żeby tak zostało.

– Możemy się o to kłócić przez kolejne pięć minut albo może pani pozwolić nam skończyć i wyjdziemy stąd za piętnaście – odparł Dixon. – I będziecie mogli wpuścić tu powietrze, więc odpadnie zmartwienie o jego stan w skafandrach. Dobrze?

Heath westchnęła.

– Bosmanie... proszę to zrobić – rzuciła z nieco większą irytacją w głosie, niż chciała dać po sobie poznać. – Tymczasem ja tu poczekam i zastanowię się, czy zasłużył pan na awans, czy degradację.

Dixon prawie się roześmiał.

– Zwykle to żadna różnica. Wyjdziemy stąd za piętnaście minut.

– Proszę mieć swoich ludzi na oku. Jeśli znów ktoś spanikuje, wszyscy się natychmiast zbierajcie, inaczej osobiście was wyciągnę. Bez odbioru.

Dixon przełączył się na lokalny kanał i słuchał rozmów swojego zespołu. Wszyscy wydawali się opanowani, choć zaniepokojeni dziwnymi odgłosami. Nie miał im tego za złe, w końcu sam nie był zachwycony.

Ich dane biometryczne wyglądały dobrze, nawet lepiej, niż można by się spodziewać. Naprawa uszkodzeń w czasie walki była dość niebezpieczna sama w sobie, a robienie tego w próżni to tym bardziej nie przelewki. Na razie jednak jego ludzie radzili sobie z robotą bez większych trudności.

Oczywiście tego od nich oczekiwał. Byli zawodowcami.

„Gdyby tylko ustał ten cholerny płacz!”

A przynajmniej gdyby jego „zawodowcy” przestali co jakiś czas sami pojękiwać. Było to dość żenujące.

Dixon westchnął i wrócił do pracy.

Doktor Rame był oficerem medycznym służącym pod Erikiem Westonem od czasu pierwszego rejsu „Odysei” i przez ten czas widział już wiele dziwnych rzeczy: pierwszych „obcych” napotkanych przez Ziemiaków, naprawdę obce bestie, które chciały ich pożreć, mnóstwo walki, nowe i ciekawe rodzaje obrażeń.

Lecz przez te wszystkie lata nie spotkał się jeszcze z czymś takim jak to.

– Nie. – Pokręcił głową. – Mówię panu, że jest czysty. Jak oni wszyscy. Żadnych toksyn. Powietrze z ich pancerzy może sprawdzić ktokolwiek i powie to samo: nie ma tam nic poza lekkim nadmiarem dwutlenku węgla.

– To może stanowić problem, doktorze – odparł sierżant marines, łypiąc na leżącego na łóżku starszego szeregowca.

– Nie tym razem. Wszystko w granicach normy. Mówię o tym tylko dlatego, że było go dość, by go wykryć, ale za mało, żeby powodował problemy.

– Moi marines nie panikują i nie opróżniają całego magazynka,

strzelając sobie bez powodu w stronę kolegów. Coś się musiało stać.

– Oczywiście – odparł Rame. – Mamy mnóstwo świadków potwierdzających dźwięki. Nikt nie wątpi, że coś się stało. Mówię jedynie, że nie było to coś natury medycznej. Poza stłuczeniami od uderzenia w ścianę starszy szeregowy Jan jest w pełni zdrowia.

– To co się tam, do cholery, stało? – mruknął sierżant.

Rame przewrócił oczami.

– Z mojego doświadczenia, jeśli ludzie nie halucynują, to oznacza, że naprawdę coś widzieli. Czyli coś rzeczywiście musi tam być.

Sierżant spojrział na niego z ukosa, ale nic nie powiedział, tylko odwrócił się i wyszedł, zostawiając w końcu lekarza sam na sam z pacjentem.

Medyk wrócił do przeglądania wyników badania toksykologicznego i zanotował, że marine powinien ograniczyć kofeinę.

„Odyseusz” i okręty Priminae wciąż zbliżały się do floty Imperium, wymieniając co jakiś czas promienie laserów, ale w większości odliczając czas i odległość. Erica Westona coraz bardziej irytował ten impas, ale robił, co mógł, by go nie przerwać, jako że ekipy naprawcze wciąż ciężko pracowały.

Nowe problemy na dolnych pokładach tym bardziej nie dawały mu spokoju.

– Zespół naprawczy zgłasza, że pokład uszczelniono – oznajmiła Heath.

– Dobrze. Zabrać ich stamtąd i wpuścić powietrze.

– Aye, sir. Już się wycofują – powiedziała, wprowadzając polecenia na konsoli. – Otwieram zawory.

– Powoli – przypomniał jej Eric. – Są świeżo po naprawach.

– Wątpię, aby wypuszczały dość powietrza naraz, by ulec uszkodzeniu. A jeśli tak, to lepiej dowiedzieć się tego teraz.

Eric stwierdził, że coś w tym jest.

– Raze, jesteśmy blisko optymalnego zasięgu względem tych drani – ostrzegł go Steph. – Jeśli zaatakują, sytuacja może być kiepska.

Spojrzawszy na telemetrię, Eric wstał i podszedł do jednego z głównych ekranów. Jego pilot miał rację. Najlepszą obroną, jaką

dysponował teraz „Odyseusz”, były, jak na ironię, rufowe zakrzywienia grawitacyjne wrogich okrętów. Oczywiście sprawiały one również, że sami nie mogli porządnie dokuczyć okrętom przeciwnika.

Jeśli nawet Priminae walczyliby do ostatka – czego Eric wolał nie zakładać mimo ich dotychczasowej postawy w tej bitwie – w najlepszym razie walka skończyłaby się zniszczeniem okrętów Sojuszu i unieszkodliwieniem floty Imperium.

Nie była to wymiana, której chciałby dokonać.

Czasami jednak trzeba było oberwać, żeby pokazać zbirowi, iż w przyszłości agresja nie ujdzie mu na sucho.

„Boże, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie”.

– Nadal się zbliżać – rozkazał. – Dać znać Priminae, żeby podążyli za nami. Cała broń i załoga w gotowości. Jeśli tylko drgną, nie czekać na rozkazy. Spalić tyłu, ilu się da.

– Aye, skipper – usłyszał to samo ze wszystkich stanowisk.

Podszedł do zagłębienia pilota i przyklęknął.

– Kiedy to się stanie, czy też jeśli, na pewno stanie się szybko – powiedział cicho. – Zrób, co możesz, żebyśmy mieli jak największą szansę na celny strzał.

– Wiesz, że jeśli zaatakują, nie mamy szans? – zapytał Steph.

– Wiem. Ale i tak robimy swoje. Jeśli zawrócą, nie próbuj uników. Pamiętaj o Alamo.

– Zrozumiano, skipper.

Eric wstał i wrócił na swój fotel, gdzie przejrzał wyniki ostatnich działań Heath. Ciśnienie powietrza na załatanym pokładzie wracało do normy, choć jeszcze nie było dość wysokie, by dało się oddychać. Na razie nie zarejestrowano wycieków.

– Wszystko zgodnie z oczekiwaniami – potwierdziła Heath. – Za kilka minut będziemy mogli wysłać tam ludzi.

– Na razie tylko zespoły ochrony. I niech mają na sobie skafandry. Niech nikt nie wchodzi tam bez nich, póki nie upewnimy się, że jest w pełni szczelnie.

– Aye, aye, sir.

– Weston oszalał – syknął pod nosem Pol, pochylając się nad kapitanem tak, by nikt inny go nie słyszał.

Druel początkowo nie odpowiedział. Co mógłby rzec? Jego oficer się nie mylił, a nawet można było powiedzieć, że dobrze rozumie sytuację. Niewiele jednak mogli zrobić.

Gdyby wycofali się z walki, skazaliby „Odyseusza” i zapewne „Tetannę” na pewną zagładę. Bardzo możliwe, że śmierć poniosłaby również reszta sił Terran.

Druel odgarnął włosy z twarzy i otarł pot z czoła. Nie po to wstępował do floty i nie wiedział, ile jeszcze w niej wytrzyma.

– Wiedzieliśmy, że podchodzi do walki inaczej niż nasi dowódcy. Rzucił się na Drasinów, mając jeszcze mniejsze szanse na zwycięstwo niż teraz.

– Przeciwno Drasinom użył sprytu – odparł Pol.

– Cóż, można powiedzieć, że teraz również. Pozwala im podjąć decyzję. Mogą zmierzyć się z nami i stracić znaczną część swoich sił, kończąc bitwę w stanie, w którym nie będą zdolni do niczego poza wycofaniem się, albo wycofać się teraz i zachować okręty na kolejne starcie. To nie alternatywa, którą ja osobiście pozostawiłbym do rozważenia nieprzyjacielowi, ale wątpię, bym był w stanie przeżyć to, z czym zmierzył się już skutecznie Weston. Niestety, to najlepsza z dostępnych dla nas opcji, chyba że jakimś cudownym sposobem zjawią się tu nagle posiłki z Ziemi lub centralnych kolonii. Jeśli jakąś możliwość przegapiłem, słucham.

Milczenie Pola było jedyną odpowiedzią, jakiej potrzebował.

– W takim razie – odezwał się Druel po dłuższej chwili – czy to szaleństwo, czy nie, postąpimy zgodnie z planem Westona. Jeśli wszechświat tym razem nie będzie po jego stronie, zapewnimy chociaż bezpieczeństwo temu układowi. Nie widzisz tego, Pol? W najgorszym razie wypełnimy nasz obowiązek względem planety i kolonistów. W najlepszym będziemy cieszyć się zwycięstwem. To nie taki zły wybór.

Pol wpatrywał się przez dłuższą chwilę w kapitana. Dało się zauważyć, że wyraźnie wątpi w jego zdrowie psychiczne, ale nie podejmował już dyskusji. Oficer cieszył się tylko, że to nie do niego należy decyzja. Druel wcale go za to nie winił.

Możliwe, że jedyną rzeczą gorszą od śmierci z rąk Imperium było wzięcie na siebie odpowiedzialności za życie tak wielu innych.

Eric próbował skupiać się na starciu z wrogiem, ale prześladowały go wciąż myśli o tym, co działo się na jego okręcie.

„Lekarz twierdzi, że z powietrzem wszystko w porządku. Ale jeśli tylu ludzi ma te same zwidy, musi istnieć jakieś wytłumaczenie”.

Słyszał kiedyś historie o zbiorowych urojeniach, ale nie wiedział o nich zbyt wiele.

Jeden z jego marines spanikował na tyle, by otworzyć ogień i zderzyć się ze ścianą. Bez medycznego uzasadnienia dla tego zachowania Eric wątpił, żeby marine miał duże szanse na awans w najbliższej przyszłości. Zamierzał przejrzeć jego akta i osobiście zdecydować, czy powinien pozostać na „Odyseuszu”. Na razie nie wiedział jednak nawet, co ten biedak właściwie zobaczył.

Teraz miał mnóstwo roboty i dużo ważniejsze sprawy na głowie. Musiał skupić się na wrogu zewnętrznym. Wewnętrzny musiał poczekać.

Rozdział 19

Otwór w ceramicznej ścianie był dość duży, by przejechał przez niego transporter marines. Rider próbował wyobrazić sobie moc potrzebną do jego wypalenia.

Ceramiczne konstrukcje miały pewne przewagi nad stalą, którą wciąż woleli ziemscy inżynierowie. Najważniejszymi z nich były niezwykła odporność na wysokie temperatury i słabe przewodzenie ciepła. Przepalenie się przez nie wymagało ogromnej mocy.

Rider zajrzał do otworu i rozejrzał się. Nie zobaczył żadnych wartowników.

– Wygląda czysto – powiedział Kensey.

– Dobra, wchodzimy.

Rider wskoczył jako pierwszy. Spadał przez kilka metrów, po czym lekkie zakrzywienie grawitacyjne sprawiło, że opadł przykucnięty na pokład. Złapał równowagę z pomocą lewej ręki. W prawej trzymał broń.

Jego ludzie uderzyli w pokład wokół niego, dwaj nieco zgrabniej, a jeden znacznie mocniej.

– Wszystko w porządku? – spytał Kenseya, podnoszącego się z podłogi.

– Jasne. Ale nieźle mną zakreśliło – mruknął marine, sięgając po broń, która upadła kawałek dalej.

– Przyzwyczajasz się – stwierdził Rider. – Jest kolejna dziura. Idziemy. Kensey?

– Tak?

– Pamiętaj, że zgodnie z mottem mamy być też cisi.

– Wal się, Rider.

Wszyscy czterej, śmiejąc się cicho, podbiegli do kolejnego otworu i zatrzymali się, po czym zeskoczyli na następny pokład. Trzymali broń w gotowości i nie zatrzymywali się na dłużej, niż musieli, ścigając wroga przez kolejne poziomy okrętu.

– Nie mogą być daleko – powiedział stanowczo Rider. – Przecinanie się przez te pokłady musi ich spowalniać.

– Lepiej, żeby tak było – odparł Ramirez. – Nie chcę myśleć o tym,

jaką moc muszą mieć ich lasery, żeby w ten sposób się przez nie przebić, nie mówiąc o tym, żeby robić to bez straty czasu.

– To chyba i tak bez różnicy – dodał Dow. – Nasze pancerze nie są ceramiczne. W razie czego i tak po nas.

– Racja – przyznał niechętnie Ramirez.

Rider lekko zwolnił, zacisnął pięść. Wszyscy zamilkli i zatrzymali się przy zakręcie korytarza.

– Co jest? – spytał Kensey.

– Przed nami spory skok temperatury – odpowiedział, gdy podeszli do kolejnego wypalonego w pokładzie otworu.

Nie było ani śladu wroga, ale HUD kaprała wykrywał mnóstwo ciepła.

– Jesteśmy blisko. Trzymajcie się szyku – rozkazał. – Ścigamy ранego tygrysa i gdy go dogonimy, rzuci się na nas. Idźcie za mną.

– Oorah!

Rider przygotował broń i skoczył, a grawitacja okrętu wciągnęła go na kolejny pokład.

– Kapitanie, mamy problem.

Drey ledwie powstrzymał się przed ostrą odpowiedzią. Zdawał sobie doskonale sprawę, że mieli problemy. Jego okręt dryfował w przestrzeni, po pokładach grasowali żołnierze wroga i zbliżały się kolejne nieprzyjacielskie okręty. „Problem” to mało powiedziane. Uznał jednak, że wypominanie tego byłoby niegrzeczne.

– Jaki problem, pani pułkownik? – spytał, spoglądając w twarz Conner wyświetloną na małym ekranie w maszynie, przy którym próbował doprowadzić okręt do porządku.

– Wróg wycofuje się z okrętu. Przepalają się przez pokłady i kierują do hangaru.

– Chociaż wolałbym, żeby nie robili w nim więcej dziur, pani pułkownik, cieszę się, że w końcu się ich pozbędę. Mamy teraz większe problemy niż garstka żołnierzy i na większość z nich właśnie patrzę.

Spojrzał na wyświetlacz skanera, pokazujący nadlatujące okręty: zarówno wroga, jak i sojusznice. Nie chciał nawet myśleć o tym, co

siły Imperium mogły zrobić z jego krążownikiem, nawet przelatując tylko obok niego. Los kilku żołnierzy nie był teraz priorytetem.

– Nie wątpię – kontynuowała pułkownik. – Ale zdobyli informacje z waszej biblioteki, których wolelibyśmy nie zostawiać w ich rękach. Czy może ich pan namierzyć?

Drey pstryknął palcami w kierunku swoich oficerów, stłoczonych wokół niewielkich paneli i pracujących nad przywróceniem okrętowi sprawności.

– Sir?

– Czy możemy namierzyć żołnierzy Imperium na pokładzie? – spytał pierwszej oficer.

– Chwileczkę, kapitanie. – Helena podeszła do technika obsługującego skanery. Wymienili kilka słów. – Nie bezpośrednio, kapitanie. Wiemy, gdzie już byli. Mamy skoki temperatur w systemach monitorowania środowiska, co niemal na pewno oznacza miejsca, gdzie odpalili broń, ale większość systemów bezpieczeństwa uległa uszkodzeniom podczas bitwy.

Drey skinął głową i spojrzał na pułkownik.

– Słyszała pani?

– Tak. Myślimy, że kierują się w stronę jednego z waszych głównych hangarów. Wie pan chociaż, w którym z nich zadokowali?

– To mogę pani powiedzieć. Imperialny okręt unieszkodliwił naszą ochronę na poziomie ósmym. Zapewne wciąż tam się znajduje, bo nie wykryliśmy żadnych jego ruchów.

– Dobrze, kierujemy się tam. Czy ma pan jakieś wolne siły ochrony?

Drey skinął głową.

– Każę wszystkim, którzy mogą, dołączyć do pani ludzi.

– Dziękuję, kapitanie.

– Powodzenia, pani pułkownik.

Conner zmarszczyła brwi po zakończeniu rozmowy z kapitanem „Tetanny”. Prośenie okrętowej ochrony o pomoc miało dobre i złe strony. W każdym razie żołnierze Priminae, nawet ci bardziej entuzjastyczni, nie mogli dorównać poziomem wyszkolenia jej marines.

Liczebność sił też była jednak ważna i mieli tylko jedną szansę na powstrzymanie wroga. Jeśli zawiodą, Imperium dowie się wszystkiego, co jego żołnierze pobrali z komputera „Tetanny”. To było nie do przyjęcia, więc musiała współpracować z siłami Priminae i postarać się, aby nie zdeintegrowali jej marines.

– Sierżancie, szybki marsz – rozkazała.

– Tak jest, ma’am. – Sierżant odwrócił się do reszty marines, którzy starali się przenieść sprzęt przez korytarze obcego okrętu. – Szybki marsz, ruchy!

Conner sama przyspieszyła, jednocześnie przeglądając dane taktyczne na swoim wyświetlaczu.

– Kapitan „Tetanny” przyśle nam posiłki, sierżancie. Proszę ich nie zastrzelić.

– Oczywiście, ma’am – odpowiedział sierżant. – To nie byłoby szczególnie uprzejme.

– W istocie, sierżancie.

Dostać się do hangaru byłoby bardzo łatwo, gdyby okręt znajdował się w lepszym stanie. Niestety, windy w większości nie działały, a jej ludzie musieli unikać niektórych co bardziej uszkodzonych pokładów. Conner zastanawiała się, kto przybędzie jako pierwszy. Wróg obrał bardziej bezpośrednią trasę, ale musiał przebijać się przez każdy pokład. Jej marines szli dłuższą trasą, ale poruszali się szybko, a kapitan i inżynierowie Priminae zdalnie pomagali im odblokować grodzie. Być może mieli szansę na wygranę tego wyścigu.

Jeśli nie, wciąż trzymali jeszcze jednego asa w rękawie.

„Marines z oddziałów rozpoznania. Oorah”.

– Mam kontakt – powiedział Rider, przyklękając i podnosząc lewą pięść, żeby pozostali stanęli.

Marines zatrzymali się za nim, podczas gdy on schował się za kupą złomu, która wyglądała, jakby spadła tu, gdy Imperialni przebili się przez pokład. Rider wyciągnął z przedramienia pancerza teleskopowy skaner i wysunął go, żeby przyjrzeć się sytuacji.

– Komputer pokazuje piętnastu ludzi w zasięgu wzroku. Nie wiadomo, gdzie są pozostali. Zapewne to ariergarda.

– Czterech kontra piętnastu. Nie brzmi zbyt uczciwie – stwierdził Dow. – Może damy im szansę na poddanie się?

Marines zaśmiali się, ale słyhać było w tym śmiechu napięcie. Żaden z nich nie przyznałby tego nawet pod groźbą śmierci, ale i tak wszyscy czuli, że pozostali myślą tak samo. Żaden doświadczony żołnierz nie chciał, żeby jego towarzysze broni byli pozbawieni strachu. No, przynajmniej nie zazwyczaj. Na szaleństwo też było miejsce, ale nie wtedy, gdy stało się ramię w ramię z innymi żołnierzami i należało zachować rozsądek. Podobnie jak panika, szaleństwo okazywało się bardzo zaraźliwe.

– Granaty odłamkowe i dymne – powiedział cicho Rider, opuszczając karabin i sięgając do pasa.

Pozostali poszli za jego przykładem. Rider wdusił guzik zapalnika, ale nie zdejmował z niego palca. Wstrzymał się z odliczaniem. Dał pozostałym znak, żeby zrobili to samo. Następnie zdjął kciuk z przycisku i poczuł lekkie drżenie. Nie potrzebował ostrzeżenia – wiedział, że granat jest uzbrojony, i nie miał zamiaru trzymać go zbyt długo.

W końcu rzucili granaty za osłonę, gdzie stukały o podłogę i ściany, podążając do celu.

Zanim zaczął ulatniać się dym, marines chwycili za broń. Gdy wybuchły granaty odłamkowe, byli już w ruchu. Ruszyli do szarży równo z eksplozjami. Strzały z ich karabinów ledwie było słyhać pośród wybuchów i krzyków. Odłamki granatów zderzyły się z ich zbrojami, ale nie wyrzuciły większych szkód. Wiedzieli, że znajdują się na tyle daleko od miejsca eksplozji, by ich pancerze poradziły sobie bez problemów.

Był to dobrze przećwiczony manewr, w którym często nie brakowało strat po stronie atakujących z powodu sojuszniczego ognia, jako że zwykle używało się wtedy artylerii, nie granatów. Przez wiele wieków taka technika walki miewała wiele nazw, takich jak „szok i przerażenie”. Ale marines nazywali ją po prostu „wyważaniem drzwi”.

Wśród dymu widać było ogień laserów. Nie wiedzieli, czy wróg celuje, czy strzela na ślepo. Nie miało to jednak znaczenia – jeśli marine zobaczył światło, wróg spudłował. Nie szukali żadnej osłony oprócz dymu.

Dzięki wyświetlaczom taktycznym widzieli rozmyte sylwetki

przeciwników. W większości polegali na skanerach naddźwiękowych, podobnych do sonarów na starych okrętach podwodnych, bo nic innego nie było tu skuteczne. Wykrywanie ciepła okazywało się bezużyteczne, szczególnie po kilku strzałach z laserów, znacznie podnoszących temperaturę otoczenia. Kawałki metalu zawieszony pośród gazu zakłócały działanie radarów. Powstrzymanie imperialnych laserów było ważniejsze niż cokolwiek innego, dlatego musieli polegać na niedoskonałych sposobach wykrywania przeciwnika.

Z tego powodu Rider niemal dał się wziąć z zaskoczenia, gdy jeden z Imperialnych zaszarżował na niego. Działał dość pewnie albo dlatego, że miał lepsze systemy wykrywania, albo po prostu szczęście. W ostatniej chwili sprzęt ultradźwiękowy Ridera wykrył sylwetkę zmierzającą w jego kierunku. Marine zrobił unik przed uderzeniem, które skończyłoby się fatalnie.

Rider padł szybko na ziemię i kopnięciem powalił żołnierza Imperium. Mężczyzna wylądował obok niego z głośnym hukiem. Rider zrobił przewrót i uderzył kolbą karabinu w głowę przeciwnika. Uderzenie zabiłoby nieopancerzonego człowieka, ale zarówno marine, jak i jego wróg mieli na sobie zbroje. I dość szybko jasne się stało, że obaj też posiadali spore doświadczenie w walce wręcz.

Nagłe kopnięcie w krocze sprawiło, że Rider wykrzywił się z bólu mimo pancerza. Odpowiedział na to, chwytając przeciwnika za głowę i uderzając w niego kolanami i łokciami.

Walka w pancerzu wspomaganym przypominała boks pod wodą, przynajmniej jeśli przeciwnik również był opancerzony. Wyprowadzali nadludzko silne ciosy, ale byli także nadludzko wytrzymali. Po kilku chwilach obaj wiedzieli, że w ten sposób mogliby zmagać się godzinami.

Rider stwierdził, że chyba obaj doszli jednocześnie do tego samego wniosku. Nagle rozdzielili się i sięgnęli po broń.

Rider przyklęknął i uniósł karabin szturmowy, przyciskając spust. Broń ryknęła, wyrzucając pociski ze zubożonego uranu, rozpędzone elektromagnetycznie do naddźwiękowych prędkości.

Uranowy ładunek przebił pancerz środowiskowy imperialnego żołnierza, eksplodując w środku z siłą niewielkiej bomby, gdy rozpadł się na wiele odłamków.

Żołnierz Imperium wpadł na znajdującą się za nim ścianę i osunął

się powoli, podczas gdy z otworów w jego pancerzu wypłynęła pomarańczowa piana uszczelniająca. Nie miało to już jednak wpływu na życie nosiciela zbroi. Rider zauważył, że mężczyzna nie zdążył sięgnąć po swoją broń. Pomyślał, że być może był to znak, że imperialnych żołnierzy nie szkolono do walki w zwarciu tak dobrze jak marines. A może po prostu ten był powolny?

Rider nie miał czasu na zastanawianie się. Zanotował w pamięci pancerza przypomnienie, żeby przejrzeć w wolnej chwili nagranie z walki.

– Oczyszczyć korytarz – rozkazał, nie będąc w stanie stwierdzić, ilu ludzi ma wokół siebie, choć przynajmniej wszyscy trzej jego towarzysze nadal świecili się na zielono na wyświetlaczu.

– Co to było?

Leif obejrzał się, patrząc w kierunku, z którego przyszli jego ludzie. Potrafił poznać odgłosy walki, nawet jeśli była inna niż walka typowa dla tradycji Imperium.

– Wróg idzie za nami – powiedział w końcu. – Skontaktować się z ariergardą, zobaczyć, czy pozbyli się napastników.

– A jeśli nie? – rzucił bezmyślnie jeden z inżynierów.

– W takim razie zapewne nie będziemy w stanie się z nimi skontaktować, prawda? – odparł Leif.

Inżynier zamilkł i spuścił wzrok. Leifowi to wystarczyło. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż pouczanie idioty, który nie zna swojego miejsca. Spojrzał na zastępcę, próbującego nawiązać kontakt z ariergardą.

– I jak? – spytał, chociaż tak naprawdę nie musiał. Wszystko był w stanie wyczytać z mowy ciała towarzysza.

– Nic, centurionie – odezwał się dekurion Corval. – Straciliśmy kontakt chwilę po tym, jak rozległ się hałas.

– Cóż, nie sposób odmówić im skuteczności – powiedział Leif z wymuszonym uśmiechem. – Ciekawie będzie zmierzyć się z nimi w otwartym polu. Interesujące, czyje siły wtedy zwyciężą. Nieprawdaż, Corval?

– Tak, centurionie – odparł z kwaśną miną dekurion.

Leif nie miał mu za złe braku entuzjazmu. Niewielu było takich, których rzeczywiście cieszyła walka z kompetentnym przeciwnikiem. Nawet on raczej wolał mieć do czynienia z głupcami, których zwykle traktowało Imperium. Jednak raz na jakiś czas warto było przelać własną krew na polu bitwy, by żołnierze sami nie zmienili się w podobnych głupców.

Dobry wróg oceniał żołnierza w sposób, w jaki nie mógł tego zrobić prymitywy głupiec.

– Cóż, tymczasem trzeba jakoś rozwiązać ten problem. – Odwrócił się do swoich ludzi rozcinających kolejną ścianę – Niewiele zostało, prawda?

– Tak, centurionie. Tylko kilka sekund.

– Dobrze. Zostawimy po sobie mały prezent, żeby przekazać wyrazy sympatii naszym drogim przyjaciołom – powiedział z szerokim uśmiechem, którego niestety nie mogli zobaczyć jego ludzie.

Pułkownik Conner uważnie przyjrzała się korytarzowi, podczas gdy marines rozstawiali sprzęt. Dopiero zbliżyli się do hangaru, w którym, zgodnie z odczytami okrętowych sensorów, nadal była atmosfera.

Hangary krążowników Priminae budowano równolegle do obu rdzeni napędu w taki sposób, by mogły utrzymać choć minimalny poziom atmosfery nawet w wypadku rozszczelnienia. Grawitacja rdzeni była dość silna, by zatrzymać powietrze w środku przynajmniej przez pewien czas.

Na dłuższą metę jednak atmosfera ulatniała się, choć większość z niej zapewne pozostawała wokół okrętu. Słyszała, że w teorii możliwe było stworzenie bańki powietrznej wokół krążownika Priminae, utrzymywanej dzięki grawitacji rdzeni.

W praktyce jednak kosmiczne wiatry, przyspieszenie okrętu i inne czynniki rozwiewałyby atmosferę praktycznie w tym samym tempie, w jakim by powstawała.

– Dobrze, słuchajcie. – Otworzyła kanał do wszystkich połączonych z siecią taktyczną. Słyszać ją było też przez zewnętrzne głośniki, ze względu na oficerów ochrony „Tetanny”, którzy do nich dołączyli. – Będziemy musieli przebić się do hangaru i zdobyć wrogą jednostkę.

Należy spodziewać się znacznego oporu. Nie powitają nas raczej przyjaznym machaniem.

Parę osób roześmiało się nerwowo.

– Niestety, nie mieliśmy do tej pory okazji przyjrzeć się tej klasy okrętom wroga i teraz też nie będziemy mieli na to zbyt wiele czasu. Rozumiecie?

Marines potwierdzili. Wiedzieli, że Imperium było skłonne korzystać z systemów autodestrukcji, i żaden z nich nie chciał znaleźć się wtedy na pokładzie nieprzyjacielskiego pojazdu.

– Dlatego chcemy, aby nieprzyjaciel znalazł się z dala od „Tetanny”, zanim zdadzą sobie sprawę, że kopujemy im dupy – powiedziała stanowczo. – Poruczniku Hadrian, pan i kilku ochotników pójdzie z naszymi przyjaciółmi Priminae i dopilnuje, aby tak się stało. Proszę użyć choćby i ładunków wybuchowych, ale niech nie będzie go na pokładzie.

– Tak, ma’am. – Młodszy oficer skinął głową. – Może pani na mnie liczyć.

– Nie wątpię, poruczniku. – Odwróciła się do pozostałych. – My mamy łatwiejsze zadanie. Porucznik i jego zespół potrzebują osłony i kogoś, kto będzie miał ich na oku, bo Imperialni zjawią się zapewne w najgorszym możliwym momencie. Musimy ich tutaj przywitać. Zrozumiano?

– Oorah, ma’am! – ryknęli marines, płosząc nieco członków załogi „Tetanny”, którzy spoglądali na nich z niepokojem.

Conner uśmiechnęła się pod hełmem. Niech sobie mają jej marines za szaleńców. Marines będą się czuć jak w domu.

Rozdział 20

„Odyseusz” zadrżał, gdy kolejne uderzenie lasera przebiło się przez jego pancerz. Przez nowy otwór zaczęła się ulatniać atmosfera.

Eric chwycił się fotela, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest poirytowany. Wymieniali ciosy z Imperialnymi przez ostatnie dwadzieścia minut, odkąd „Odyseusz” i sojusznicze okręty Priminae znalazły się w zasięgu strzału. Naciskali na wroga, ale sporo ich to kosztowało.

Jeden z okrętów Priminae, którego nazwy nie znał, został unieszkodliwiony, gdy laser wroga wbił się dość głęboko, by zdestabilizować rdzeń napędu. Krążownik przerwał pościg i wyglądało na to, że jego załoga będzie musiała opuścić pokład.

Sam „Odyseusz” krwawił powietrzem, ale i tak nie było z nim tak źle jak wcześniej. Zespoły naprawcze biegały do kolejnych uszkodzeń. Dziury były łatanie szybciej, niż powstawały, ale komodor i tak boleśnie odczuwał każde trafienie.

Większość jego ludzi znajdowała się głęboko we wnętrzu krążownika, z dala od zasięgu niemal wszystkich trafień, więc życie tracili tylko członkowie zespołów naprawczych. Wystarczyło to jednak, by miał ochotę zabijać wroga własnymi rękami.

Co gorsza, wciąż dostawał raporty o duchach i dziwnych dźwiękach w ewakuowanych sekcjach okrętu.

Korciło go, żeby osobiście się tam udać i na własne oczy zobaczyć, co się dzieje, ale nie mógł opuścić mostka podczas bitwy. Nawet duchy nie stanowiły wystarczającego powodu.

Mimo wszystko jednak zaczynał się niepokoić.

Nie wyglądało na to, aby mieli do czynienia z zanieczyszczonym powietrzem czy innym czynnikiem chemicznym. Cokolwiek odpowiadało za te urojenia – o ile były to urojenia – stawało się zbyt powszechne.

W normalnych warunkach wycofałby ludzi, zamknął dotknięte fenomenem sekcje okrętu i poczekał, aż znajdzie się w porcie, gdzie specjaliści obejrzeliby pokłady dokładnie, panel po panelu. Zważywszy jednak na to, że znajdowali się w środku bitwy, nie było to

możliwe. Ludzie musieli wykonywać swoje obowiązki.

„Tęsknię za swoją starą łajbą” – pomyślał.

Nawet jeden z Włóczęgów byłby teraz miłą odmianą. Mógłby eliminować wrogów z ukrycia. Musiał jednak przyznać niechętnie, że Imperialni dostosowali się do jego taktyki szybciej, niż się spodziewał.

Użycie folii zakłócającej do unieszkodliwienia torped impulsowych było dość oczywistym rozwiązaniem, ale nieprzyjaciel zastosował je szybko i sprawnie po tym, jak tylko raz miał do czynienia z tą bronią.

Nie wróżyło to dobrze, jeśli chodziło o dalszy rozwój konfliktu.

Sprytny, bezwzględny i dopasowujący się do okoliczności wróg nie był czymś, czego Ziemianie potrzebowali. W każdym sprawiedliwym i zdrowym wszechświecie przysługiwałyby im jakaś przerwa po przeprawach z Drasinami, ale jak wiedział każdy doświadczony marine, wszechświat niestety taki był sprawiedliwy i zdrowy.

Na konsoli zamrugało światło ostrzegawcze. Zbliżyli się do wroga na odległość pięciu sekund świetlnych, co w tej skali oznaczało praktycznie walkę w zwarciu. Gdyby nieprzyjaciel przeprowadził teraz frontalny atak, byłby on szybki i skuteczny.

– Ile jeszcze możesz przyspieszyć, Steph? – spytał nagle, przykuwając uwagę całej załogi mostka.

– W teorii, Raze? Może jeszcze ze dwadzieścia – odpowiedział Steph swoim beznamiętnym tonem. – Obiecać mogę tylko dziesięć, może dwanaście, jeśli nie chcemy, żeby okręt się rozpadł.

– Gdy wydam rozkaz, zrób to, nawet jeśli mielibyśmy się rozpaść – powiedział Eric.

Na mostku zapadła cisza. Wszyscy patrzyli po sobie, na komodora i na pilota, czekając na odpowiedź.

– Przyjąłem, Raze. – Steph przełączył kilka staroświeckich dźwigni, które kazał inżynierom zamontować. Nigdy nie czuł się komfortowo z panelami dotykowymi. Nie w takim stopniu, by polegać wyłącznie na nich. – Jaki jest plan?

– Szarża na mój znak.

Steph leniwie zagwizdał z fotela pilota.

– Zamierzasz to sprzedać naszej eskorcie?

– Będę się cieszył, jeśli nie strzelą nam w plecy – odparł cicho Eric, ale zaraz tego pożałował. – Pani komandor, czy mogłaby pani, proszę, wymazać te słowa z oficjalnego rejestru?

– Tak, sir.

Skinął z wdzięcznością głową.

– Robię się zmęczony. Jak długo jesteśmy na stanowiskach? – spytał.

– Prawie dwanaście godzin. To był długi dzień – odparła Heath.

„Dwanaście godzin?” Eric jęknął.

Dwanaście godzin napięcia, przerywanych minutami przerażenia. To nie była recepta na zachowanie zdrowego umysłu.

Rozejrzał się po mostku i przyjrzał sztywnym pozycjom otaczających go ludzi. U wszystkich widział napięcie. Wiedział, że gdyby zaszła taka potrzeba, byli w stanie walczyć jeszcze dłużej, ale uznał, że im szybciej to się skończy, tym lepiej.

Niestety, chwilowo mógłby przerwać walkę, jedynie dając wrogowi spokojnie się wycofać. Inne rozwiązanie musiało prowadzić do ogromnych strat po obu stronach. Byłoby to nawet do przyjęcia, gdyby Eric wierzył, że uda mu się całkowicie wyeliminować wroga, ale matematyka nie była po jego stronie.

Co gorsza, strata jednego okrętu stanowiłaby większy cios dla Ziemi niż utrata całej tej grupy dla Imperium.

– Dam sygnał pozostałym. Zaszarżujemy, gdy podlecą do „Tetanny”, aby zabrać stamtąd swoich. Niech będą zbyt zajęci, by zniszczyć okręt Priminae, a potem wykurzymy ich z układu. Dobrze wszystko przelicz, Steph. Będzie niezłe zamieszanie.

– Przeliczam wektory już od godziny, Raze. Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie. Nie było innej opcji.

– Chciałbym, żeby była – odparł szczerze Eric. – Przekaż dane pozostałym okrętom.

Spojrzał na telemetrię i zauważył, że znajdowali się teraz tak blisko siebie, że mogli nawiązać komunikację na żywo bez opóźnienia. Dotykając panelu przed sobą, połączył się z pozostałymi. Zobaczył na ekranie twarze ich wszystkich... oprócz kapitan „Kida”, co od razu rzuciło się w oczy.

„Ilu jeszcze ludzi zginie, zanim to się skończy?”

– Komodorze – odezwał się Jason Roberts – dobrze widzieć pana znów w akcji. Wie pan, co to było?

Eric pokręcił głową, odgadując, że chodzi o awarię.

– Jeszcze nie. Dzieją się tu jakieś dziwne rzeczy, ale na razie pozostają chyba pod kontrolą.

Hyatt uniosła brew.

– Dziwne rzeczy?

– Opowiem później, jeśli przeżyjemy. Ale na razie nie mamy na to czasu.

– Jaki jest plan, komodorze? – spytała Hyatt.

– Wykonamy atak, gdy polecą zabrać swoich ludzi, ale chcę dać im możliwość wycofania się.

– Puszczamy ich wolno? – spytał Roberts lekko żartobliwie. – To nie kapitan Weston, jakiego pamiętam.

– To nie są Drasinowie – odpowiedział Eric. – Mam nadzieję, że damy im nauczkę, ale w przeciwnym razie wolę, aby nie uznali, że każda walka z nami musi się toczyć jedynie na śmierć i życie. To może być kiepski precedens, podobnie jak strzelanie do łodzi ratunkowych albo spadochronów. Nigdy nie chcę stać się kimś, kto podchodzi do takich spraw sztywno i rutynowo.

– Zrozumiano – odparł Roberts.

– Poza tym, jeśli ich zanadto przyciśniemy, będą musieli zaatakować nas z pełną mocą – westchnął Weston. – A wszyscy wiemy, co byłoby wtedy z nami.

Kapitanowie kiwali ponuro głowami. Mimo tego, że mogli znacznie przetrzebić flotę wroga, wszyscy wiedzieli, jaki byłby ostateczny wynik bitwy. Gdyby pola grawitacyjne krążowników nie zakłócały działania pocisków z dział tranzycyjnych, starcie toczyłoby się inaczej. Mogliby po prostu zniszczyć wroga z dystansu dwudziestu minut świetlnych.

Ale bez tego i przy ograniczonej skuteczności torped impulsowych pozostawały im lasery i PWP. Eric uważał, że nawet pod tym względem ziemskie okręty przewyższały jednostki przeciwników, ale ostatecznie liczebność nadal była istotna.

Choć w idei, że jakość jest ważniejsza niż ilość, tkwiło trochę prawdy, prawdą było też to, że ilość stanowi jakość samą w sobie.

„Nie chcę zrobić tu rekonstrukcji frontu wschodniego drugiej wojny światowej z nami jako Niemcami w roli głównej”.

Do tej pory wróg okazywał na tyle mało troski o swoich ludzi, że musiał mieć ich pod dostatkiem. Niezależnie od tego, jak bardzo bezwzględnym się było, nie należało pozbywać się własnych załóg, o ile nie miało się ich kim zastąpić. Wyszkoleni ludzie byli zbyt cenni i jeśli coś go przerażało w Imperium, to właśnie to, że traktowało specjalistów jak mięso armatnie.

Nie była to tylko kwestia moralna, ale i praktyczna. Gdyby Ziemia

tak beztrąsko podchodziła do życia swoich, szybko skończyliby się jej specjaliści. Nawet pomijając to, jak trudno było znaleźć odpowiednich ludzi, i fakt, że wyszkolenie ich zajmowało sporo czasu. Rocznie można było ich wytrenować ograniczoną liczbę, a Imperium poświęcało setki swoich jakby od niechcienia.

To oznaczało, że albo mieli ich znacznie więcej niż Ziemia, co brzmiało prawdopodobnie, albo lepsze metody szkoleniowe. Jeśli bardzo łatwo potrafili produkować ekspertów, miałyby to choć odrobinę sensu.

W każdym razie Eric nie chciał prowadzić wojny totalnej z imperium mającym takie możliwości.

„Przynajmniej dopóki nie znajdziemy na nich jakiegoś sposobu”.

– Czy mogę wrócić do służby?

Doktor Rame oszczędził bosmanowi pełnego irytacji spojrzenia, ale westchnął głośno.

– Tak, może pan.

– Dobrze. Mam sporo do zrobienia. To cholerne Imperium robi dziury w moim okręcie!

– Proszę zgłaszać natychmiast wszelkie... incydenty – nakazał stanowczo Rame. – Chociaż nie wierzę, że to były halucynacje, ale dla pewności chcę mieć jak najwięcej danych.

– Jeśli się dowiem, kto straszy moich ludzi, przysięgam, że... – Dixon przerwał, gdy kątem oka zobaczył złoisty błysk. Obrócił się.

Rame przyglądał mu się przez chwilę.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak – odparł Dixon ze zmęczeniem w głosie. – Myślałem tylko, że widzę... – Zamknął oczy. – Nie, nieważne. Robota czeka.

Rame przyglądał mu się podejrzliwie, ale wypuścił go z ambulatorium bez komentarza. Odczekał parę chwil, po czym podszedł do panelu komunikacyjnego i połączył się z mostkiem.

Zanim ktoś się odezwał, minęło parę chwil, ale czekał cierpliwie, aż w końcu usłyszał głos komandor Heath:

– Tak, doktorze?

– Skończyłem badać marines i członków zespołów naprawczych.

Brak jakichkolwiek śladów zatrucia chemicznego czy biologicznego. W ich krwi też nic nie znalazłem. Halucynacje wydają się bardzo mało prawdopodobne.

– To co nam pozostaje? – spytała komandor.

– Obawiam się, pani komandor, że to nie moja działka. Nie wiem, co widzieli czy słyszeli, ale jestem w miarę pewien, że to nie było tylko w ich głowach.

– W miarę?

– Pani komandor, jesteśmy na okręcie kosmicznym tysiąc lat świetlnych od Ziemi i walczymy z obcym imperium. Lepiej niż „w miarę” nie będzie.

– Rozumiem, doktorze. Dziękuję.

– Nie ma za co. Pozwoliłem bosmanowi i jego ludziom wrócić do pracy, więc niedługo powinni znów zabrać się za naprawy.

– Cóż, niestety, nie mogę powiedzieć, żeby nie byli teraz potrzebni. Proszę się też przygotować na kłopoty. Kapitan ma plan.

– O nie...

Dixon wpadł do sali odpraw i spojrzał na czekających tam ludzi.

– No, na co czekacie? Zakładać skafandry!

Wszyscy szybko zaczęli się ubierać. Dixon również, z dużo mniejszym entuzjazmem, niż udawał. Nie miał pojęcia, co widział, ale gdy tylko zatrzymywał się na chwilę, prześladowały go złote błyski, dziecięcy śmiech lub znowu płacz.

Dixon nie był żonaty i nie miał dzieci, a przynajmniej o żadnych nie wiedział. Mógł teraz jednak powiedzieć, że wszyscy, którzy twierdzili, że śmiech dziecka to coś pięknego, nigdy nie słyszeli go, stojąc w ciemnym, pozbawionym powietrza korytarzu, w samym środku bitwy.

Znów ujrzał kątem oka błysk, ale tym razem oparł się pokusie, by się obejrzeć. Wiedział, że nie będzie dość szybki.

„Po prostu idź do pracy, rób swoje. Zapomnij o tym wszystkim, dopóki nie dorwiesz drania, który za to odpowiada” – pomyślał.

Stało się to dla niego rodzajem mantry, gdy wkładał skafander. Założył na głowę hełm, ale go nie uszczelnił, podobnie jak pozostali.

– Dobra, pokłady, na których będziemy pracować, zostały naprawione, ale nie znaczy to, że są już bezpieczne. Nie potrzebujemy dopływu powietrza do kombinezonów, ale uważajcie na ciśnieniomierze. Jeśli poziom atmosfery zacznie maleć lub zabraknie wam tlenu, nieważne, co robicie, macie przerwać i uszczelnić hełm. Łapiecie?

Wszyscy skinęli głowami.

– Jazda.

„Odyseusz” wykonywał podstawowe manewry unikowe, choć teraz, gdy zbliżyli się na mniej niż pięć sekund świetlnych, ich wartość z każdą chwilą malała.

Promienie energetyczne z wrogich okrętów przesywały przestrzeń, w większości pudłując. Ale co jakiś czas trafienie niszczyło warstwy pancerza mimo adaptacyjnego poszycia.

„Odyseusz” i pozostałe okręty odpowiadały ogniem laserowym i salwami pocisków wysokiej prędkości. Chociaż wróg utrzymywał kurs, zmuszony do tego okolicznościami, udało mu się skutecznie połączyć wyrzucenia grawitacyjne na rufach okrętów, co w nieprzewidywalny sposób zakrzywiało czasoprzestrzeń, odbijając wszelkie światło.

Promienie laserów z okrętów Ziemi i Priminae ulegały zakrzywieniu, w większości rozpraszając się w przypadkowych kierunkach, zanikając pośród promieniowania tła. Z rzadka odbijając się od jednego zakrzywienia czasoprzestrzennego, trafiały z całą mocą w inny z uciekających okrętów.

Niestety, nawet w tych przypadkach największa zaleta ziemskich laserów o zmiennej częstotliwości nie miała znaczenia, bo nie skupiały się na celu dość długo, by znaleźć odpowiednią częstotliwość absorpcji.

Walka polegająca zasadniczo na manewrach, nawet jeśli czasami na nieplanowanych i zupełnie szalonych, stała się więc pojedynkiem na pięści między olbrzymami.

Erica Westona wcale to nie bawiło.

Nie bardzo miał jednak wybór, jako że obie grupy okrętów wciąż

zbliżały się do uszkodzonego krążownika Priminae.

Pozostawało mieć nadzieję, że kolejny prawy sierpowy będzie celny.

Dixon rozejrzał się, słysząc trzaski kondensatorów laserów „Odyseusza”. Dźwięk był głośniejszy, niż się spodziewał.

– Niech ktoś sprawdzi panele izolacyjne wzdłuż przednich cewek kondensacyjnych – rozkazał. – Dekompresja pewnie je obluzowała, a część porwała w kosmos.

Na znalezienie wszystkiego, co w wyniku ataków nieprzyjaciela zostało rozrzucone po pokładzie, musieliby poświęcić całe dni. Nie było też jak określić, ile z tego uleciało w przestrzeń w wyniku dekompresji. Dixon podejrzewał, że sporo artykułów biurowych zniknie niezależnie od tego, czy rzeczywiście porwało je uciekające powietrze.

Nie żeby bardzo go to obchodziło. Ta myśl nawet nieco go rozbawiła, gdy przechadzał się po korytarzach dziobowej sekcji okrętu, w której znajdowała się jedna piąta systemów kondensacyjnych.

Podczas gdy rdzenie napędu zapewniały niesamowity poziom mocy, lasery potrzebowały jej w samej chwili strzału więcej, niż można było wytworzyć na żądanie. Kondensatory pobierały więc energię z rdzeni i w razie potrzeby przekazywały ją do laserów w ciągu milisekundy.

Dość mocy, by zasilić całą Konfederację przez jeden dzień, wystrzelone w jednej chwili. A „Odyseusz” generował dziesiątki takich ładunków co kilka minut.

Czasami liczby zdumiewały nawet Dixona.

Przestał jednak o tym myśleć i skupił się na pracy. Znalazł kilka miejsc, w których brakowało paneli izolacyjnych. Niestety, nie było ich widać nigdzie w okolicy. Połączył się z kwatermistrzem.

– Hej, tu Dixon. Tak. Potrzebujemy... czterech, pięciu... Cholera, przyślijcie nam po prostu paletę paneli izolacyjnych. Dekompresja mocno tu namieszała, nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Może jeszcze się znajdują. Jasne, dzięki.

Rozłączył się i przeszedł wzdłuż całego korytarza. Trzaski były coraz głośniejsze, w miarę jak okręt oddawał kolejne salwy. Dixon cieszył

się, że wszystko wydawało się działać sprawnie mimo panującego na pokładzie chaosu.

Miał właśnie zejść na dół, żeby odebrać paletę, gdy przeszły go ciarki. Usłyszał znajomy płacz i odwrócił się.

Kątem oka znów zobaczył ruch i złocisty blask.

– Co, do cholery? – mruknął, nienawidząc tego, że ktoś próbuje mieszać mu w głowie. I tego, że robi to skutecznie. – A, walić to.

Wyciągnął pistolet z kabury przy pasie i zaczął iść za odgłosem dziecięcego śmiechu. Przy skrzyżowaniu przycisnął się do ściany, po czym zaryzykował i wyjrzał za róg. Nic nie zobaczył, więc ruszył przed siebie z bronią w gotowości.

Uruchomił zewnętrzne głośniki.

– Nie wiem, kto tu jest, ale lepiej wyłaź, bo przysięgam, że jak cię znajdę, będziesz dziurawy jak szwajcarski ser.

Śmiech na chwilę ustał, po czym na jego wyzwanie odpowiedział cichy szept:

– Za późno.

– Dobra, pierdol się, kimkolwiek jesteś! – warknął Dixon, rozglądając się wokół. – Czekaj no tylko. Znajdę cię i będziesz żałować, że nie przeciągnąłem cię pod kilem!

Śmiech powrócił ze zdwojoną siłą, tuż za jego plecami.

Dixon obrócił się szybko z bronią w rękę.

– Spokojnie, bosmanie!

Dixon ledwie powstrzymał się przed wystrzeleniem do marines, którzy zdążyli rzucić się na podłogę. Bosman skierował broń w górę.

– Co tu robicie, żartownisie? – wrzasnął.

– Sprawdzamy, co u pana – powiedział jeden z marines. – Możemy wstać?

Dixon wpatrywał się w nich przez chwilę, ale nic nie powiedział. Zobaczył, jak zza rogu wychodzi inna postać.

– Co, do cholery, robicie? – krzyknął starszy sierżant, patrząc z pogardą na leżących.

– Próbujemy nie dać się wyrzucić przez śluzę, sierzancie.

Sierżant spojrzał na Dixona i zauważył broń w jego dłoni.

– Co zrobili tym razem?

– Hej!

– Zamknij się – sierżant warknął na marine i podszedł do bosmana. Przełączył się na prywatny kanał. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Dixon opuścił broń i włożył ją do kabury. – Jestem tylko nieco nerwowy.

– Znowu to samo?

Dixon potwierdził.

Sierżant zamilkł na chwilę.

– Jeden z moich marines tak się wystraszył, że prawie rozstrzelał swoich kolegów. Nie wiem, co tu się dzieje, ale musimy ustalić, co jest grane. Tak być nie może, szczególnie w środku bitwy.

– Nie musi mi pan tego mówić, sierżancie. Cokolwiek to jest, mam robotę do wykonania – odparł Dixon. – Nie pozwolę, żeby jakieś straszidła mi w tym przeszkadzały.

– Straszidła?

– Nie wiem, co to jest. Niewielkie, jakieś metr pięćdziesiąt, z jakiegoś rodzaju złotą zbroją. Taką jak w starych książkach.

– To pasuje do tego, co opisał mój marine. Mówił, że wyglądało jak krwawiące dziecko. Horror połączony z filmem historycznym.

– Nie wierzę w duchy – powiedział Dixon bez przekonania. – Ale jeśli tak dalej pójdzie, naprawdę zacznę się zastanawiać, czy ta łajba nie jest nawiedzona.

– Wie pan, że to bzdura. Ktoś sobie z nami pogrywa. Gdy tylko dowiemy się kto, pożałuje, że się urodził.

– Już ja tego dopilnuję. Proszę mi zaufać.

Sierżant skinął głową i przełączył się znów na wspólny kanał.

– Dobra, bosmanie. Przydzielę panu ludzi do ochrony. Wiem, że mogą być wkurzający, ale wolałbym, żeby wrócili bez dodatkowych dziur. Dobra?

– Postaram się.

Sierżant ruszył dalej, a marines spojrzeli po sobie. Podoficer zatrzymał się jeszcze.

– Jeśli naprawdę będzie pan musiał któregoś zastrzelić, to Greg był ostatnio wyjątkowo irytujący – rzucił przez ramię, wskazując na jednego z szeregowców.

Liczby na ekranach malały coraz bardziej z każdą chwilą, zwłaszcza teraz, gdy „Odyseusza” i jego sojuszników dzieliło od sił Imperium

mniej niż pięć sekund świetlnych.

Eric pochylił się w fotelu, wpatrzony w wielki ekran przed sobą, czekając na odpowiednią chwilę. Nie wiedział, kiedy nadejdzie, ale wiedział, że się zbliża. Wróg zamierzał wykonać ryzykowny manewr i choć miał przewagę liczebną, to Eric wiedział, że Imperialni muszą otworzyć szyk i zmniejszyć przyspieszenie, jeśli mają zabrać swoich z „Tetanny”.

– O, tu – powiedział. – Widzisz, Steph?

– Mam, Raze. Małe.

Eric uśmiechnął się złośliwie.

– Bierz.

Uśmiech Stepha był podobny, choć nikt go nie widział. Tylko Eric wiedział, że tak jest, z wieloletniego doświadczenia.

– Aye, aye, skipper – powiedział pilot. Skupił się na swoim połączeniu neuronowym z okrętem. Otworzył kanał komunikacyjny do całej floty.

– Do wszystkich okrętów, „Odyseusz” wchodzi do akcji. Osłaniajcie nas.

Potem uruchomił pełną moc reaktorów, a nawet przekroczył zalecane limity. Na całym okręcie rozległ się alarm.

Król wojowników znów ruszał do bitwy.

Rozdział 21

– Cofnij się!

Rider warknął, ciągnąc Dowa w dół. W ostatniej chwili odsunął go z drogi promienia, który przeszył powietrze i uderzył w ścianę za nimi.

Leżący marine spojrział w górę. Zza hełmu nie było widać emocji, ale jego mowa ciała była jasna.

– Dzięki, szefie – westchnął, patrząc, jak Rider wyskakuje na chwilę z osłony i puszcza serię z karabinu.

– Nie ma za co – odparł Rider, odskakując, zanim trafiła go kolejna para promieni, która ostatecznie osmałiła kawałek ceramicznej ściany. – Po prostu sam naucz się nie robić z siebie łatwego celu. Nie zawsze będę mógł cię uratować.

– Przyjąłem, szefie.

Rider odetchnął ciężko i zauważył, że temperatura w jego pancerzu rośnie mimo maksymalnej mocy chłodzenia. Powietrze wokół można by porównać do atmosfery wnętrza piekarnika i robiło się coraz goręcej.

– Cóż, nieźle nas przyszpilili, ale chociaż nieco ich spowolniliśmy – stwierdził. – Mam nadzieję, że pułkownik coś z tym zrobi, bo jeśli nic się nie zmieni, nie damy rady iść dalej.

– Zostały jakieś granaty dymne? – spytał przykucnięty Dow.

Pozostali trzej pokręcili głowami.

– Ostatni poszedł dziesięć minut temu – odparł Kensey. – Został mi już tylko jeden odłamkowy, a z amunicją wcale nie lepiej.

– U mnie podobnie – odezwał się Ramirez. – I chyba zaraz się ugotuję. Nie czuję się za dobrze.

Rider wprowadził kod pancerza Ramireza, żeby sprawdzić jego stan na własnym wyświetlaczu.

– Cholera, musisz się wycofać! Zaraz skończy ci się chłodziwo, a wtedy rzeczywiście się upieczesz.

– Sporo jeszcze wytrzymam – upierał się Ramirez.

Rider skrzywił się, ale uznał, że nie będzie się kłócić, nawet jeśli wiedział, że to nieprawda. Wszyscy niemal się gotowali i z Ramirezem

wcale nie było dużo gorzej niż z nim. Straszliwie się pocił, a jego własne chłodziwo zaczęło wrzeć parę minut wcześniej.

Mimo to została mu jeszcze chwila, zanim dostanie udaru, nawet jeśli przydałoby im się znacznie więcej.

„Musimy zrobić swoje” – pomyślał.

Sprawdził dane pozostałych i nie zaskoczyło go zupełnie, że wszyscy znajdowali w podobnym stanie. Ich pancerz nie został stworzony z myślą o takich warunkach. Istniała możliwość wyposażenia go w dodatkowe systemy chłodzące, ale nikt nie przewidział, że będzie to potrzebne na tej misji. Zapewne zresztą nadliczbowy osprzęt zawadzałby znacznie w wąskich tunelach okrętu.

– Im dłużej utrzymamy pozycję, tym więcej czasu będzie miała pułkownik, żeby zrobić tym dupkom niespodziankę – powiedział. – Ale wydaje mi się, że zostało nam jakieś dziesięć minut, zanim zaczniemy po kolei tracić przytomność. A może i mniej. Kenseyowi może nawet trzy.

– Hej! – oburzył się Kensey, podczas gdy pozostała trójka się roześmiała.

– Pozostaje więc pytanie – kontynuował Rider – jak długo chcemy walczyć? Jeśli wszyscy tu padniemy, zapewne umrzemy od udaru, zanim ktoś nas znajdzie.

Zwiadowcy marines spojrzeli po sobie.

– Jebać to – odezwał się Dow. – Zostaję do końca.

– Ja też – dodał Ramirez.

– A ja nie zamierzam pierwszy paść – powiedział Kensey, mocno ściskając broń.

Rider uśmiechnął się ponuro pod hełmem.

– Dobra. Ostatni, który zostanie na nogach, zaciągnie resztę w chłodniejsze miejsce i gdy wrócimy do domu, wszyscy stawiamy mu drinki. Dobra?

– Jasne – powiedział Dow.

– Oorah! – krzyknął Ramirez.

– Jeszcze jak – powiedział Rider, biorąc głęboki oddech. – Rozpoznanie!

Semicenturion Leif wycofał się za osłonę. Jego ludzie zatrzymali żołnierzy przeciwnika, ale wyglądało na to, że wróg rozpoczął silniejszy niż do tej pory ostrzał. Myślał, że tamci są już osłabieni, ale wyglądało na to, że dostali posiłki.

„Bierzcie sobie ten wrak. My chcemy się tylko z niego wydostać”.

– Nie dajcie im się przedrzeć – powiedział do swoich ludzi. – Prawie przebiliśmy się do hangaru.

– Tak, centurionie – odpowiedział najbliższy żołnierz, jednocześnie wystrzeliwując kolejną wiązkę fotonów wzdłuż korytarza.

W nic nie trafił, ale nie o to chodziło. Gdy dostaną się do hangaru, wystarczy jedynie utrzymać korytarz przez parę minut i wreszcie zakończą tę misję.

Skoncentrował się teraz na zespole przecinającym ściany okrętu potężnymi laserami. Tak jak się spodziewał, prawie skończyli, choć irytowała go wytrzymałość ceramiki Przysiężnych. Słabo przewodziła ciepło i jej spalanie wymagało ogromnych nakładów energii.

Imperialne lasery potrafiły sprostać temu zadaniu, ale nawet ich nie zaprojektowano z myślą o ciągłej pracy. Nie były to przemysłowe przecinacze. Musieli odpowiednio koordynować ich działanie tak, by materiał nie zdążył się ochłodzić podczas przerw w funkcjonowaniu kolejnych.

Samej koordynacji im nie brakowało, jako że Leif dobrze wyszkolił swoich ludzi. Problemem był czas.

– Mamy otwór, centurionie – oznajmił inżynier, odpowiedzialny za prace. – Jeszcze tylko chwila, a będzie dość duży, by przez niego przejść.

– Dobra robota. Pospiesz ich na tyle, na ile możesz. Mamy wroga na tyłach.

– Zrozumiano, centurionie.

– Pułkowniku, proszę zobaczyć.

– O co chodzi, sierżancie? – spytała Conner, przełączając obraz tak, by widzieć to, co on.

– Niech pani spojrzy na temperaturę.

Conner uruchomiła filtr termiczny i cicho zagwizdała.

Ceramika słabo przewodziła ciepło, więc jeśli ta część ściany była tak rozgrzana, oznaczało to, że prawie się przebili.

– Dobrze, chłopcy i dziewczęta – powiedziała na wspólnym kanale. – Przygotujcie się na gości. Poruczniku, proszę powiedzieć, że dobrze wam idzie. Zaraz skończy się wam czas.

Porucznik Hadrian pracował nad blokadami bezpieczeństwa przy służbie połączonej z okrętem Imperium.

– Już prawie. Zatrzymajcie ich nieco, a zrobimy to.

Głos pułkownik był pełen napięcia.

– Zrobimy, co w naszej mocy.

Hadrian odwrócił się do marines i oficerów ochrony Priminae, którzy wraz z nim pracowali nad służą.

– Lepiej się pospieszmy. Zaraz ktoś wpadnie tu z wizytą.

– Niewiele nam brakuje – oświadczył szef ochrony Priminae. – Ich kod jest anachroniczny, ale znajomy. Dziwi mnie, że nadal używają tych systemów. Dla nas to jedynie ciekawostka historyczna.

– Słabe zabezpieczenie? – spytał Hadrian zaskoczony.

– O nie, bardzo silne. A nawet groźne. System zaprojektowano tak, że jeśli popełni się błąd, odpowiada agresją. To jest jednak jego słaby punkt. Poza kwestiami moralnymi śmiertelna obrona oznacza, że nie można użyć bardziej złożonego systemu zabezpieczeń, bo ryzykuje się zabicie większej liczby swoich ludzi niż przeciwników. Nie wiem, jak jest z tym u was, ale nigdy nie spotkałem załoganta, który za pierwszym razem pamiętał swój kod.

– Słuszna uwaga.

– To powinno wystarczyć – oznajmił jeden z Priminae, gdy ciężki zamek zaczął się obracać.

– Wszyscy wycofać się – rozkazał szef ochrony, sam odchodząc do tyłu, na wypadek gdyby jednak popełniono błąd.

Zamek zakończył ruch i wielkie metalowe drzwi na równie wielkim zawiasie powoli się odsunęły. Hadrian gestem dał znać trzem marines, żeby wystąpili do przodu.

Trzymali broń w gotowości i przeszli przez służę, gdy tylko otworzyła się dość szeroko, by mógł ją przebyć opancerzony marine.

Chwilę później dali znać, że teren jest bezpieczny, i pozostali ruszyli za nimi.

– Teraz najgorsza część – oznajmił szef ochrony, biorąc głęboki oddech. – Jesteśmy wewnątrz ich... jak to nazwać? Zabójczego obwodu?

– Niech będzie – odparł Hadrian, którego przeszły ciarki. – Otwórzcie ją, ale spróbujcie nie uruchomić pułapki.

– Dobrze. – Szef ochrony Priminae wziął się do pracy.

Ominęli już znalezione do tej pory zabezpieczenia – kamery i mikrofony, nawet jeśli dość wyszukane, były standardem. Nieco mniej znajomo wyglądały czujniki ruchu, skanery atmosferyczne, coś, co wyglądało na systemy multispektralne, i kilka rzeczy, których Hadrian nie potrafił nawet nazwać.

Cieszyło go, że mieli tu specjalistów Priminae, którzy umieli je obejść. Bez nich jego ludzie uruchomiliby zapewne przynajmniej połowę z nich.

„Zresztą kogo ja oszukuję? Uruchomilibyśmy wszystkie i próbowalibyśmy dostać się do środka z użyciem materiałów wybuchowych”.

Wygrana czy przegrana, bitwa już by się skończyła, gdyby to jego marines zajęli się sprawą. Ale Hadrian potrafił być cierpliwy.

Zacisnął dłoń na broni. Wielki karabin był nieco zbyt duży dla jego kombinezonu pilota. Inaczej niż lekkie pancerze wspomagane marines, jego skafander miał tylko chronić go przed utratą ciśnienia w promie i przed odłamkami.

Oczywiście w przypadku ciężkich laserów wroga i tak nie robiło to różnicy. Przy generowanych przez nie temperaturach każdy ziemski pancerz zmieniał się w popiół.

Jego własna broń, karabin M-45, zaprojektowana została jednak do użycia z pancerzem wspomaganym. Czuł się, jakby trzymał sztabę stali, która niemal urywała mu ręce. Hadrian nie dawał jednak nic po sobie poznać, gdy stał i czekał, aż Priminae zrobią swoje.

– Udało się – szepnął szef ochrony i odsunął się.

– Dalej, dalej! – syknął Hadrian, popędzając marines, aby weszli do środka, i ruszył za nimi z karabinem przy ramieniu.

Był marine, na Boga. Przede wszystkim piechurem, dopiero potem pilotem.

Oorah.

– Nadchodzą – powiedziała Conner, gdy zniknął kawał ściany.

Pierwszy z przeciwników wskoczył do hangaru niemal natychmiast. Ceramiczne ściany bardzo szybko stygły, nieprzyjaciel nie musiał czekać.

– Nie strzelać, oczyścić linię ognia – rozkazała Conner, obserwująca scenę z wielu punktów widzenia jednocześnie, połączona z pancerzem każdego marine. – Sierzancie, nie chcę bratobójczego ognia. Zabezpieczyć prawą flankę, wygląda cokolwiek słabo.

– Przyjąłem, ma'am – odparł sierżant i przekazał rozkazy dalej, zapewne o wiele bardziej soczystym językiem.

Nie obchodziło jej jednak to, co powiedział. Ważne, że zadziałało i marines zmienili szyk.

Trzej imperialni żołnierze przeszli już przez otwór, a za nimi widać było następnych trzech. Przechodzili wolniej, niż Conner się spodziewała, a nawet niż miała nadzieję.

– Sygnał ze strony wyrwy, pułkownik – odezwał się sierżant, rekomendując jej otwarcie kolejnego kanału komunikacyjnego.

Conner zmarszczyła brwi i przywołała go na swój HUD. Kilka sekund zajęło jej zorientowanie się, że patrzy na drugą stronę formacji wroga, ostrzeliwaną przez jej zwiadowców. Atakowali ze zdwojoną siłą i kilka kolejnych sekund straciła, żeby odgadnąć dlaczego.

– Do oddziału rozpoznania – powiedziała – przerwać walkę. Niech myślą, że was odparli. Jesteśmy gotowi, teraz my się nimi zajmiemy.

– Oorah, ma'am – odparł Rider. – Nie byliśmy pewni, czy wam się udało. Wycofujemy się. Słyszeliście panią pułkownik, chłopcy. Niech myślą, że skończyła nam się amunicja.

– To nie będzie trudne – zauważył Dow, słyszalny na kanale dowódczym za pośrednictwem pancerza Ridera.

Conner widziała, że nie żartuje. Gdy zobaczyła dane z pancerzy zwiadowców, zdumiało ją, że nadal tak zażarcie walczyli. W wąskich, słabo osłoniętych korytarzach okrętu ich możliwości po wyczerpaniu amunicji były ograniczone. Wiedziała, że jej marines byli zdolni do wielu rzeczy, ale nie przypuszczała, że są dość szaleni, aby próbować

walki wręcz, gdy przeciwnik dysponował laserami bojowymi. Tym bardziej że nie mieli już w ogóle granatów dymnych.

– Jeszcze nie strzelać – powtórzyła. – Niech przejdą. Chcę mieć ich tutaj.

Ogień na tyłach wroga cichł powoli.

Po chwili pokład krążownika Priminae ogarnęła cisza. Marines przygotowywali się do walki, wykorzystując każdą osłonę, jaką znaleźli w zatłoczonym hangarze. Kanciaste promy Priminae chroniły teraz zarówno Ziemiaków, jak i ochronę okrętu. Wszyscy czekali na rozkazy.

Przez otwór przedostało się kilku Imperialnych, a następnie kolejnych kilkunastu.

Conner patrzyła na nich również przez skanery zwiadowców, co pozwalało oszacować ich liczebność. Zaskoczyło ją, że choć jej ludzi było niewielu, to żołnierzy Imperium nie zobaczyła wcale wiele więcej. Nie była co prawda pewna, na ile ochrona Priminae jest w stanie wyrównać różnicę, ale mimo to i tak zaczęła myśleć, że mają mniej więcej równe szanse.

„Rider i jego ludzie dobrze się spisali”.

Dwudziestu Imperialnych było już po jej stronie. Conner przyjrzała się na wszelki wypadek ograniczonym danym z drugiej strony.

Nadszedł czas.

– Otworzyć ogień!

Lawina kul z wyglądającego na pusty hangaru kosztowała życie kilku ludzi, zanim Leif zdążył mrugnąć. Pozostali próbowali skryć się za jakąkolwiek możliwą osłoną.

„Wyprzedzili nas! Cholera! Pościg był tylko dywersją”.

Zapewne powinien być bardziej zaskoczony – albo może mniej – ale to nie miało większego znaczenia. Popełnił błąd i to, jak się z tym czuł, nie miało wpływu na wydarzenia.

– Zabezpieczyć otwór. Osłaniać ludzi po drugiej stronie – rozkazał. Szedł wzdłuż korytarza, na wszelki wypadek oddając strzał w kierunku wrogów, którzy podążali za jego ludźmi. – Skontaktować się z okrętem. Teraz, gdy jesteśmy tak blisko, powinniśmy przebić się

przez zakłócenia.

Zostało mu jedynie odzyskanie kontroli nad swoimi ludźmi. Tym razem nie zamierzał popełniać błędów.

Zaskoczyło go, że ogień na tyłach traci na intensywności. Gdyby to on dowodził zasadzką, cisnąłby teraz jeszcze bardziej.

„Dlaczego tego nie robią?” – zastanawiał się. Czuł, że coś mu umyka, jakiś ważny szczegół, ale nie mógł określić, co to jest. Mocno rozpraszało to jego myśli.

– Mamy lądownik, centurionie – odezwał się technik.

– Jak sygnał?

– Z tej odległości silny.

– Dobrze. Sprawdzić, czy są w kontakcie z resztą okrętów.

– Tak, centurionie.

Był więcej niż jeden sposób na wygranie wojny, nawet jeśli właśnie przegrywało się bitwę.

Jak zwykle, mimo opracowanych planów w bitewnej praktyce panował chaos.

Ostrzał zespołów marines kryjących się za promami Priminae zmieniał drugą stronę hangaru w śmiertelnie pułapkę, podczas gdy żołnierze Imperium rozcinali promy laserami, które wchodziły w ich poszycie jak w masło.

W ciągu sześćdziesięciu sekund otwartej strzelaniny temperatura w hangarze wzrosła o piętnaście stopni. Nie było widać końca walki. Obie strony angażowały w nią coraz więcej energii.

Zgrzyt metalu i trzask włókien węglowych sprawił, że jedna z grup marines musiała wycofać się z osłony, jako że prom, za którym zajęli pozycje, rozpadł się pod ostrzałem wroga. Przeżyli wszyscy, poza dwoma trafionymi z laserów. Zostały po nich jedynie czarne cienie na pokładzie.

Po drugiej stronie pola bitwy grad kul ze zubożonego uranu bezlitośnie przebijał się przez pancerze, rozdzierając Imperialnych na strzępy. Jeśli nie zginęli od razu, systemy pancerzy desperacko próbowały utrzymać ich przy życiu.

Lasery ochrony Priminae, choć nie tak potężne jak ich imperialne

odpowiedniki, wypalały otwory w osłonach nieprzyjaciela, do czego nie była zdolna broń marines. Dym i powidoki zakłócały możliwość obserwacji wszystkim walczącym, niezależnie od tego, czy posiadali wspomaganie komputerowe, czy nie. Pod koniec pierwszej szalonej minuty nikt nie miał pojęcia, kto wygrywa starcie.

Większości to nie obchodziło, a ci, którzy w ogóle się nad tym zastanawiali, uznali, że zwyciężą ci, którzy pozostaną przy życiu.

Tak często bywało z bitwami.

Rozdział 22

Zwierzchniczka próbowała dzielić uwagę między czekające jej grupę zadanie a ścigającego ją wroga, który zbliżył się na tyle, że jakikolwiek błąd po którejś ze stron bardzo łatwo mógłby zostać wykorzystany przez drugą. Było to korzystne dla obcego dowódcy, zakładając, że byłby skłonny ponieść ciężkie straty, a nawet zaryzykować zniszczenie okrętu, by unieszkodliwić jej siły. A wyglądało na to, że nie tylko był skłonny, ale i pragnął to zrobić.

Jej okręty stanowiły jego jedyne zmartwienie, w odróżnieniu od niej. Zapraszał ją, by zrobiła błąd, nie miała co do tego wątpliwości.

Co gorsza, właśnie zamierzała to zrobić.

– Wrogi okręt jest w bezpośrednim zasięgu, zwierzchniczko.

– Widzę – warknęła do nawigatora. – Przygotować procedury przechwycenia. Chcę mieć naszych ludzi z powrotem na pokładzie bez żadnych opóźnień. Zrozumiano?

– Jak rozkażesz, zwierzchniczko – odpowiedział jej zastępca. Niezwłocznie zaczął przekazywać rozkazy reszcie.

Misrem skupiła uwagę na przeciwnym kierunku. Nie miała wątpliwości, że dowódca ścigających ją okrętów wykorzysta moment, gdy jej jednostki złamią szyki i przestaną generować wspólne zakrzywienie czasoprzestrzenne. A wtedy sytuacja w jednej chwili stanie się śmiertelnie groźna.

Podeszła do oficera taktycznego.

– Wróg spróbuje wykorzystać nasz manewr. Będzie poruszać się szybko, więc nie czekać na moje rozkazy. Atakować, gdy tylko będzie to możliwe.

– Tak, zwierzchniczko.

Mężczyzna wyglądał, jakby czuł się nieswojo z tym rozkazem, ale nie obchodziło jej to. Musiał wziąć odpowiedzialność na siebie. Gdyby nie mógł, znalazłaby kogoś, kto sobie poradzi.

– Łamiemy szyk – oznajmił nawigator.

Misrem zaczęła odliczać w myślach. Okręty pod jej dowództwem zmieniały pozycje względem siebie.

Zaskoczyło ją, gdy minęła ledwie sekunda, a oficer taktyczny już

jęknął:

– Wróg rusza do szarży, odpowiadam ogniem!
„Są naprawdę nieźli. Imponujące”.

– Łamią szyk! Pełna moc bojowa. Widzę wyłom! Milla, jesteś ze mną?

– Jestem, Stephane. Wszystkie lasery i pozostałe pociski – odpowiedziała spokojnie Milla, nieco mniej beznamiętnym głosem niż w przypadku pilota, ale nadal stonowanym.

„Odyseusz” przyspieszył tak, że nieco wyprzedzał pozostałe Herosy. Cała trójka szarżowała prosto w paszczę wroga. Imperialne jednostki wystrzeliły do nich z laserów z przerażająco małej odległości.

– Dostosowuję pancierz, kapitanie. Ale boję się, że nie wytrzymamy zbyt długo – oznajmiła Milla.

– Nie potrzeba nam dużo czasu. Strzelaj dalej.

– Aye, capitaine.

Światła przygasły, gdy wystrzeliły wszystkie sprawne lasery i reszta systemów musiała polegać na rezerwie mocy. Po chwili znów rozbłysły, zasilane bezpośrednio przez rdzenie reaktora.

Na ekranie wspomagana komputerowo symulacja pokazywała krzyżujące się strumienie fotonów, którymi okręty zarówno Sojuszu, jak i Imperium rozświetliły cały układ gwiazdny.

„Odyseusz” zatrząsł się, gdy lasery przepaliły się przez ciężki pancierz na rufie. Moc ataku osłabiła nieco studnia grawitacyjna, jako że Steph przekroczył maksymalne bezpieczne poziomy systemu. Potrzeba przyspieszenia wykraczała poza protokół, sensowne szacunki i zdrowy rozsądek.

Pilot czuł, że „Odyseusz” znów z nim walczy, ale tym razem był na to przygotowany i od razu skompensował opór. Nie wiedział, co jest nie tak z okrętem, ale nie pierwszy raz miał do czynienia z narowistym rumakiem.

– Walczymy tu po to, żeby wygrać, ty kupo złomu – mamrotał pod nosem. – Jesteś królem wojowników, do cholery. Zachowuj się.

Nie wiedział, czy „Odyseusz” go usłyszał, ale po chwili Steph był w stanie zmusić ogromny okręt do robienia tego, czego od niego

wymagano.

– No, tak lepiej. Pokażmy im, co mamy – szepnął z uśmiechem, gdy promienie przebiły się przez pancierz jednego z wrogich niszczycieli. Wśród mroku rozbłysło światło.

Płonące, oczyszczające, sprawiedliwe światło.

– Trzymajcie się – ostrzegła Aleska, sama chwytając za krawędź konsoli, gdy „Janosikiem” ponownie zatrzęsło.

Wróg w nich nie trafił. Nawet z pancierzem dostosowującym się do częstotliwości laserów tak szybko, jak zdołała dokonywać obliczeń połączona moc komputerów sojuszniczych okrętów, bezpośrednie trafienie okazałoby się dużo groźniejsze.

Lecieli jednak przez studnię grawitacyjną trzech wielkich, wściekłych Herosów prosto w paszczę wrogiej floty. Brak kontroli nad grawitacją oznaczał, że było to jak sterowanie małą łódką, unoszącą się na ogromnej fali.

„Jeszcze trochę i dostanę choroby morskiej” – pomyślała Aleska. „Czy może kosmicznej? Mniejsza z tym. I tak nie może być gorsza niż choroba tranzycyjna”.

Uśmiechała się szeroko i nie bardzo potrafiła pozbyć się tego grymasu, który zapewne wyglądał nieco maniakalnie.

– Przygotować torpedy – rozkazała wśród rżenia napiętego kadłuba okrętu. – Zobaczymy, jak poradzą sobie z salwą prosto w twarz. Jestem gotowa założyć się, że tym razem sztuczka z folią zakłócającą nie zadziała. Jeśli wróg uczy się na błędach, czas udzielić mu kolejnej lekcji.

– Aye, aye, skipper – z entuzjazmem odpowiedział postawny mężczyzna przy stanowisku taktycznym.

Był w lepszym stanie niż większość jej załogi, która spoglądała z przerażeniem to na nią, to na dane telemetryczne. Oczywiście nadal robili swoje, inaczej szybko naprawdę by ich przestraszyła, ale nie wkładali to serca.

– Tak trzymać, poruczniku! – powiedziała do oficera taktycznego. – Na razie wstrzymać się ze strzałem. Do czasu, aż zobaczymy białka ich oczu.

– Tak jest, ma’am. – Odpowiedział na jej uśmiech własnym, niemal tak samo przerażającym.

Udało jej się zachować pozory entuzjazmu. Będzie musiała sobie z nim później pogadać. Kiedy kapitan maniakalnie się uśmiecha, dodaje to pewnej wagi chwili. Gdy robi to porucznik, to po prostu smutne i nieco deprymujące.

„Jeszcze się nauczy” – pomyślała.

Okręt znów zadrżał.

Bez reaktorów grawitacyjnych, takich jak na Herosach, jednostki klasy Włóczęga potrafiły ujeżdżać fale grawitacyjne. Słyszała nieco o wydarzeniach podczas pierwszej wyprawy „Autolikosa” i zdziwiło ją, że załoga w większości nie doznała większych obrażeń.

Oczywiście gdyby na jej okręcie ktoś próbował zdetonować antimaterię, wrzuciłaby go do reaktora.

„Nie mam pojęcia, jak Morgan wytrzymuje z tym świrem”.

– Na Otchłań, nadchodzą!

Misrem spojrzała na zastępcę, który wpatrywał się w ekran pokazujący atak na ich tyły.

– Trzymaj się swojego zadania i zostaw to mnie! – warknęła, wskazując uszkodzony okręt Przysiężnych w oddali.

Przy tej prędkości od jedynej okazji do podjęcia lądownika dzieliły ich chwile. W razie porażki musiałyby unieszkodliwić każdy okręt wroga w układzie, zanim zyskałaby szansę na kolejną próbę.

Jeśliby się nie udało, bo jej zastępca próbował wtrącać się do jej pracy, zapewne zostałyby dość chłodno potraktowane po powrocie do Imperium. O ile pozwoliłaby mu dożyć tego powrotu.

– Zabezpieczyć wszystkie zewnętrzne pokłady i sprowadzić ludzi w głąb okrętu – rozkazała. – Zdążą zadać nam nieco ciosów, zanim to się skończy, więc spróbujmy zminimalizować straty.

– Tak, zwierzchniczko.

Podeszła do oficera taktycznego i pochyliła się nad nim.

– Twoje uderzenia są wyjątkowo słabe, Krin.

– Wiem. – Wyglądał na poruszonego. – Zupełnie tego nie rozumiem. Przeanalizowaliśmy moc ich broni w porównaniu z naszą

i teoretycznie mamy przewagę, ale nie przekłada się to na rezultaty. Brakuje nam jakichś zmiennych, ale nie wiem jakich.

– Wiemy, że mają lepsze panczerze. Jakiś system odbijający promienie skuteczniejszy niż jakikolwiek, który znamy.

– Być może. Ale to nie wszystko. Ich trafienia też zadają więcej szkód, niż powinny. Gdybym nie miał przed sobą liczb, powiedziałbym, że ich broń ma też większą moc.

Misrem syknęła.

– W takim razie zdobycie lepszych danych o naszych wrogach jest głównym priorytetem. Nie możemy przegapić tej szansy.

Spojrzał na nią z powagą.

– Nie możemy, zwierzchniczko. Nadal tak wielu rzeczy nie rozumiemy. Bez dalszych informacji nie można zarekomendować inwazji Imperium na ten region.

Skinęła głową.

Nie chciała tego przyznawać, ale nie mogła też zaprzeczyć. Wywiad Imperium zawetowałaby szeroko zakrojoną kampanię w oparciu o brak twardych danych na temat nowego gatunku. Bez koniecznej wiedzy Imperium mogłoby ponieść katastrofalne straty.

Ludzie nie byli tutaj problemem. Mieli ich mnóstwo na każdej z rządzonych przez Imperium planet. Ale okręty były cenne. Czasami strata części z nich mimo wszystko mogła się opłacać, ale każdy był poważną inwestycją zasobów Imperium. W przypadku większych strat nawet obojętny zwykle senat zacząłby jęczeć z oburzenia i skarżyć się na wydatki, choćby tylko dla korzyści politycznych poszczególnych frakcji.

– Nie zmarnujemy szansy – powiedziała znów stanowczo.

Nikt nie zatrzyma Imperium. Przynajmniej dopóki cokolwiek od niej zależy.

Misrem wiedziała jednak, że nie wszystko leży w jej rękach. Kluczowi byli ludzie na uszkodzonym okręcie i dopóki nie wrócą z dodatkowymi informacjami, miała ograniczone pole manewru.

Na małym mostku lądownika „Kiosha” jego dowódca przechadzał się w kółko, zatrzymując się co kilka sekund, by sprawdzić, czy są

jakieś nowe informacje od grupy abordażowej.

Wyglądało na to, że oddział, dowodzony przez semicenturiona Leifa, napotkał opór silniejszy, niż przewidywano, ale do tej pory przykładowie z nim sobie radził. Gdyby nie zakłócenia sygnału generowane przez obie strony, misja już dawno zostałaby zakończona. Dane przesłano by na okręt zwierzchniczki, a flota wycofałaby się w celu przegrupowania i analizy zdobytych informacji.

Niestety, a może na szczęście, tak się nie stało.

Na szczęście, bo dowódca nie miał złudzeń co do wartości swojego lądownika, gdyby nie był jedynym sposobem na dostarczenie cennych danych. W najlepszym razie flota zostawiłaby ich na pastwę wroga. W najgorszym autodestrukcja w pobliżu już uszkodzonego krążownika stanowiłaby dobrą dywersję.

Nie spieszyło mu się do takiego rozwiązania, ale gdyby tego wymagało Imperium, niech tak będzie.

Na razie jednak miał nadzieję, że ludzie centuriona wrócą na pokład zgodnie z planem.

Bohaterski powrót, nawet przy znacznych stratach, był dużo lepszy niż inne warianty wydarzeń.

– Dowódco!

Panika w tonie jego podwładnego nie wróżyła dobrze.

– Co jest, Nil? – spytał. Przestał przechadzać się w kółko i podszedł do oficera komunikacyjnego.

– Sygnał od centuriona. Są atakowani!

Dowódca skrzywił się.

– Niestety, ale nie jest to wielkie zaskoczenie. Czy dadzą radę wrócić?

– Dowódco, nie rozumie pan. Są atakowani tu, w hangarze!

Tego nie spodziewał się usłyszeć. Spojrzał z ukosa na młodego człowieka, stojącego przy stacji monitoringu.

– Powinieneś mnie ostrzec, że hangar został zajęty!

– Na moich ekranach niczego nie ma, przysięgam!

Dowódca, głuchy na to zapewnienie, sam przyjrzał się wyświetlaczom.

Zamarł, zauważając, że rzeczywiście nic nie widać.

– Jak to możliwe? – wymamrotał, spoglądając na oficera komunikacyjnego. – Możesz potwierdzić słowa centuriona?

– Zgodnie z transponderami zajmują krawędź hangaru i przestrzeń obok, przez którą się przepalili.

– Na Otchłań! – Dowódca pobladł, pobiegł do własnej konsoli i położył dłoń na panelu komunikacyjnym. – Ochrona, możemy mieć intruzów! Przeszukać okręt i wyeliminować wszystkich obcych!

Porucznik Hadrian przechylił głowę.

– Słyszeliście to? – spytał najbliższego z marines.

Marine skinął głową.

– Sporo aktywności. Buty szurające po pokładzie, pancerz ocierający się o ściany. Chyba wiedzą, że tu jesteśmy.

– Cholera! – burknął Hadrian. – No cóż, było miło, ale pora przygotować się na kłopoty.

– Zawsze gotowy, poruczniku – rzucił marine, gdy otworzyły się drzwi tuż przed nim i przeszedł przez nie żołnierz Imperium. Zamarł na widok Hadriana, a porucznik był tak samo zaskoczony jak przeciwnik.

Najbliższy marine na szczęście wykazał się zimną krwią, natychmiast ruszył z miejsca. Podbiegł do Imperialnego i uderzył go kolbą karabinu w głowę, rzucając nim o ścianę. Następnie otworzył ogień przez drzwi.

Hadrian założył, że marine zobaczył coś, czego on nie widział, i przyłożył własny karabin do ramienia, ruszając naprzód, podobnie jak inni. Idący na czele marine przyklęknął, co pozwoliło Hadrianowi strzelać nad jego głową do małego oddziału Imperialnych, którzy szukali właśnie osłony.

„Najwyraźniej nie tylko nas zaskoczyło to spotkanie” – pomyślał Hadrian, otwierając ogień.

Imperialni żołnierze, wzięci z zaskoczenia, mieli sporego pecha i wkrótce tylko echo po walce niosło się przez korytarze.

– Musimy ruszać – powiedział stanowczo Hadrian. – Jeśli wcześniej nie wiedzieli, że tu jesteśmy, to już wiedzą. Którędy na mostek?

Oficer ochrony Priminae wskazał na korytarz, który właśnie oczyścili.

– Jeśli budują okręty podobnie jak my, to tędy.

– Słyszeliście, idziemy!

– Oorah!

Hadrian zobaczył zdziwiony wyraz twarzy u lekko opancerzonego oficera ochrony.

– To taka tradycja marines.

Dowódca lądownika zmarszczył brwi. Raporty wciąż nie były jasne co do tego, czy na pokład wtargnęli żołnierze wroga, ale utrata kontaktu z wysuniętym zespołem ochrony stanowiła jednoznaczną odpowiedź.

Nie wiedział, co nieprzyjaciel planował, choć tak naprawdę nie musiał wiedzieć. Przeciwnik zamierzał sabotować reaktor albo zająć mostek. Były to tak naprawdę jedyne istotne cele, a on siedział w tym cenniejszym.

– Rozdać broń wszystkim oficerom i załodze – rozkazał, zwracając się do oficera ochrony.

– Jak pan rozkaże, dowódco – odpowiedział tamten z kamienną twarzą.

Dowódca wiedział, że taka odpowiedź była obosiecznym mieczem. Oficer ochrony z pewnością zamierzał wykonać jego rozkaz, ale wyraźnie podkreślił, kto go wydał. Zwykle stanowiło to jedynie formalność, tradycję z dawnych czasów.

Tym razem, gdy chodziło o wydanie broni członkom załogi, którzy mogli nie być w pełni godni zaufania, brzmiało to jednak dość niepokojąco.

Dowódcy to nie obchodziło. Miał na głowie więcej spraw i reakcje oficerów na jego rozkazy miały znaczenie tylko w przypadku, gdyby w ogóle przeżyli.

Misrem warknęła, kiedy kolejna seria promieni laserowych przepołowiła jeden z jej niszczycieli. Trzy okręty, które zidentyfikowała wstępnie jako należące do anomalii, prowadziły szarżę wraz ze swoimi niszczycielami, podczas gdy jednostki

Przysiężnych osłaniały je, pozostając na tyłach.

Była to dobra strategia, ale co ważniejsze, wydawała się potwierdzać różnice psychologiczne, które zaobserwowała i korelowała z profilem Przysiężnych.

Nie byli zbyt chętni do walki, zwłaszcza bez znacznej przewagi liczebnej. Wyglądało jednak na to, że przymierze z nowym gatunkiem sił skłaniało ich do agresji.

„Będziemy musieli najpierw pozbyć się tych anomalii, a wtedy Przysiężni wrócą do dawnych zachowań”.

Oczywiście w momencie, kiedy jej własne okręty drżały od trafień potężnych laserów, Misrem pamiętała, że nie będzie to proste.

– Niech wszystkie eskadry osłaniają główną flotę – rozkazała. – Skupić ogień na czołowym krążowniku wroga. Resztą zajmiemy się później. To oni byli na tyle szaleni, żeby samotnie na nas szarżować. Gdy zniszczymy najodważniejszych z nich, resztę łatwo się złamie.

– Tak jest, zwierzchniczko.

Promienie gorętsze niż wnętrza gwiazd wystrzeliły z okrętów imperialnej floty, wszystkie w stronę „Odyseusza”. Pancerny adaptacyjny okręt dzielnie próbował odbić większość ich energii, ale i tak znaczną część pochłonął.

„Odyseusz” trząsał się, krwawiąc plazmą z wypalonych otworów, ale pozostawał nieugięty. Nie zmieniał kursu, nie przyspieszył też nagle.

Kontynuował uparcie atak, a za nim podążała reszta ziemskiej grupy.

– „Odyseusz” długo już nie wytrzyma!

Aleska nie odpowiadała. Sama dobrze to widziała. Podczas bitwy morskiej byłoby to nie do pomyślenia. Niszczyciel, a zwłaszcza okręt podwodny, za którego odpowiednik można by uznać Włóczęgę, nie używał większej jednostki jako osłony. Czymś nienaturalnym było, aby taki okręt pozwolił lotniskowcowi czy krążownikowi przyjąć na siebie ogień wroga.

Trzymała w tej kwestii język za zębami, zarówno ze względu na rozkazy, jak i dlatego, że nie widziała innych możliwości.

– Czekać – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Po prostu... czekać.

– Aye, kapitanie – odparł z niechęcią oficer taktyczny.

Aleska zauważyła, choć on zapewne nie, że przestał nazywać ją zgodnie z tradycją „skipperem”.

Nie winiła go za to. Sama nie czuła się teraz godna tego tytułu.

„Odyseusz” zbierał straszne cięgi. Lasery, które przecięłyby jej okręt na pół i spopieliły resztki, przebijały się przez pancierz krążownika, docierając do sekcji okrętu, w których pracowali i mieszkali ludzie, powodując ogromne straty.

Z oczu prawie popłynęły jej łzy, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

– Kapitanie, proszę. – Pilot pochylała się nad sterami.

Aleska nie musiała jej widzieć, żeby wiedzieć, jak się z tym wszystkim czuje.

– Jeszcze moment – odpowiedziała z kamienną twarzą.

Rezygnacja z manewru w takiej chwili oznaczałaby zrujnowanie całego planu komodora. A po tym, jak poświęcił się „Odyseusz”, by wypełnić misję, byłaby to po prostu zbrodnia.

Wspomagane komputerowo ekrany pokazywały wszelkie szczegóły każdego trafienia. Atmosfera zmieniała się w tej temperaturze w plazmę i uciekała strumieniem, wyglądającym jak jakaś międzygwiazdna anomalia. Widok zapierał dech w piersiach.

Wreszcie nadeszła oczekiwana chwila.

Aleska pochyliła się do przodu.

– Teraz! Przyjąć wprowadzony kurs, pełna moc bojowa silników!

Odezwał się alarm manewrowy. Jeśli ktoś był na tyle głupi, by nie przypiąć się pasami od razu po werbalnym ostrzeżeniu, teraz miał kilka sekund na naprawienie tego błędu.

Włóczęga wykorzystał pełną moc reaktorów i wyskoczył z cienia swojego większego brata. Z pomocą fali grawitacyjnej przyjął kurs wokół „Odyseusza”, by katapultować się prosto na wroga.

– Zignorować niszczyciele – syknęła Aleska. – Chcę dorwać krążowniki. Wystrzelić wszystko.

Na tle płonącego „Odyseusza” „Janosik” jako pierwszy z Włóczęgów zaatakował wroga z pełną mocą.

Zaczynając od torped impulsowych.

Rozdział 23

– Zwrot na bakburtę – rozkazał Eric wśród wiwatów, gdy Włóczęgi wykonały swój manewr. – Ustawić się najmniej uszkodzoną częścią pancerza do wroga. Strzelać według uznania. Opróżnić wyrzutnie, spalić kondensatory, możecie nawet rzucać w nich kamieniami, jeśli znajdziecie jakichś ochotników.

Zamyślił się na chwilę, po czym znów zaczął mówić, zanim zdążył odezwać się Steph, który już otwierał usta.

– Ochotników innych niż marines – poprawił się szybko. – Marynarka strzela do okrętów, Steph. Marines strzelają do ludzi.

– Tak, sir – odparł pilot, nieco niezadowolony, że dowódca zepsuł mu dowcip.

Eric kontynuował:

– Dajcie znać „Bellowi” i „Bo”. Teraz ich kolej.

– Już wiedzą, komodorze – odparła Heath. – Rozpoczęli szarżę.

Eric spojrział na dane telemetryczne, pokazujące wielkie krążowniki na flankach „Odyseusza” przecinające pancerze mniejszych okrętów wroga, które osłaniały decelerację imperialnych krążowników, kierujących się w stronę „Tetanny”.

Wśród kosmicznej pustki wybuchał ogień, co zwykle nie było możliwe. Eric zastanawiał się, czy aby wśród chaosu, który oglądał, nie bywało czasami dość atmosfery, by jednak usłyszeć czyjś krzyk.

Nie potrafił zliczyć, ile okrętów płonęło czy rozpadało się. Najbardziej imponujący był manewr „Janosika”. Najwyraźniej kapitan Aleska miała porachunki do wyrównania z krążownikami wroga i nie marnowała czasu na płotki.

Wypuściła wszystko, co miała, na główne okręty wroga z minimalnej odległości, wywołując spektakularne skutki.

Misrem niemal krzyknęła, gdy torpedy z antymaterii wbiły się w jej krążowniki, zamieniając spore ich połacie w chmury gazu.

Nie było czasu na wypuszczenie środków przeciwko okrętom, które

katapultowały się z pomocą grawitacji krążownika. Wszystko wydarzyło się, zanim nawet zdążyła wydać rozkaz.

W furie wprowadziła ją jednak przede wszystkim to, że tego nie przewidziała.

Oczywiście powinna. Z perspektywy czasu manewr wydawał się oczywisty, a fakt, że okręt prowadzący wyraźnie chciał, żeby skupiono na nim uwagę, powinien jej to uświadomić.

Nie doceniła tego dowódcy i jego podwładnych.

Ponownie.

Teraz wyglądało na to, że walka będzie jeszcze bardziej krwawa, choć nie zapowiadało się na zmianę końcowego wyniku. Różnica była taka, że anomalie będą miały prawo szydzić z niej z zaświatów, co irytowało ją bardziej, niż powinno.

– Zwierzchniczko! Problem z lądownikiem!

Znowu ledwie powstrzymała ochotę, by zacząć krzyczeć. Spojrzała na zastępcę wzrokiem bardziej palącym niż lasery jej okrętu.

– Jaki znowu problem?

Wyraźnie wychwycił jej ton, co oznaczało, że był inteligentniejszy, niż myślała, bo zbladł.

– Mają... intruzów na pokładzie.

Misrem zamknęła oczy.

Mniejsza o krzyk. Teraz chciało jej się płakać.

– Mają co...? – spytała cicho, nie wierząc jeszcze własnym uszom.

– Dowódca twierdzi, że mają siły wroga na pokładzie.

– Co za idiota. Co z danymi z komputera okrętu?

– Zespół, który miał je zdobyć, został zatrzymany przez wroga niedaleko lądownika.

Misrem miała ochotę zastrzelić zastępcę tu i teraz, ale jako że tym razem tylko dostarczał wieści o cudzej głupocie, jakoś się powstrzymała. Informacje, których chciała, których potrzebowała, były ledwie parę kroków od lądownika, i do tego ktoś dokonał na niego abordażu?

Wzięła kilka głębokich oddechów, po czym przekazała rozkazy do linii obrony kilkoma szybkimi gestami na komputerze. Miała nadzieję, że nie zrobią nic głupiego, gdy ona skupi uwagę na czym innym.

– Czy jesteśmy w kontakcie z grupą szturmową?

Jej zastępca przełknął ślinę, skinął głową.

– Dowódca lądownika jest w kontakcie z semicenturionem Leifem.

Próbuje uzyskać sygnał dość silny, żeby przesłać nam zdobyte dane.

– Tak? Przynajmniej ktoś tam myśli. Możemy mu pomóc?

Rozejrzała się wokół, gdy jej zastępca nie odpowiedział dość szybko. Przyjrzała się pozostałym oficerom, którzy kiepsko udawali, że nic nie słyszą.

– Ktokolwiek?

Jeden z inżynierów dość niepewnie odkaszlnął, zwracając na siebie jej uwagę. Po chwili wahania pokręcił przecząco głową.

– Nie, zwierzchniczko. Możemy zwiększyć moc sygnału od nas do nich, ale to będzie miało znaczenie tylko, jeśli to my prześlemy większą ilość danych semicenturionowi. Obawiam się, że wszystko spoczywa w jego rękach.

Misrem skrzywiła się.

– Tego się właśnie obawiałam.

Leif wzdrygnął się, gdy wokół niego przeszła fala uderzeniowa, dość silna, by zabić nieopancerzonego człowieka. Dla niego jednak stanowiła tylko lekką niedogodność, a wzdrygnięcie było instynktowne i wynikało z poziomu hałasu, zanim jego pancerz odciął zewnętrzny dźwięk, by Leif nie stracił słuchu.

Przyklęknął i pomógł wstać technikowi komunikacyjnemu, który bardziej dramatycznie zareagował na eksplozję i rzucił się na ziemię.

– Pracuj dalej – krzyknął na młodego mężczyznę. – Potrzebuję silnego sygnału! Teraz!

Technik może coś odpowiedział, ale Leif nie miał czasu na pogawędkę. Zobaczył, jak czterech z jego ludzi ponownie zajmuje pozycję i ostrzeliwuje hangar wiązkami energii.

– Jaka jest sytuacja? – Podszedł bliżej nich, trzymając głowę na tyle nisko, jak się dało bez czołgania.

– Chyba straciliśmy wszystkich, którzy tam wskoczyli, centurionie. Brak kontaktu po eksplozji.

Leif nie był zaskoczony, jako że fala uderzeniowa po tej stronie wyłomu okazała się dość silna, by wstrząsnąć jego pancerzem. Wybuch musiał rozerwać każdego w pobliżu na strzępy.

– Utrzymać pozycję – rozkazał. – I pamiętajcie, żeby co jakiś czas

wymieniać ludzi. Nie pozwólcie, żeby broń się przegrzała, dopóki nie jesteśmy naprawdę zdesperowani.

Najbliższy z żołnierzy parsknął, gdy Leif się odwrócił. Semicenturion ledwie usłyszał jego słowa.

– Nasze definicje desperacji chyba drastycznie się różnią.

Conner padła na ziemię, kiedy kolejna seria energii laserowej stopiła część promu Priminae, za którym się kryła. Wróg mocno oberwał w pierwszych sekundach, ale jego pozycja i zdecydowane działania dowódcy sprawiły, że sytuacja znów stała się patowa.

Niestety, Conner nie mogła stwierdzić, kto ostatecznie zyska na tej sytuacji. Oznaczało to, że nie powinna po prostu siedzieć bezczynnie.

– Świetnie – mruknęła pod nosem. – Trzeba było poczekać, aż wszyscy przejdą. Sierżancie!

Gdy tylko krzyknęła, podoficer pojawił się tuż za nią i niemal przyprawił ją o zawał serca. Nie dała mu satysfakcji i nie podskoczyła, a jej hełm skrywał zaskoczenie, malujące się na twarzy. Odczekała chwilę, po czym odezwała się spokojnym tonem:

– Jaką ciężką bronią dysponujemy?

– Niewiele tego. Mieliśmy uratować załogę, a nie ją usmażyć.

– Przydałyby mi się teraz dwudziestomilimetrowe pociski termobaryczne – zauważyła.

– Równie dobrze może pani życzyć sobie czołgu. Mamy tyle samo jednego i drugiego.

– Musimy jakoś ich stamtąd wykurzyć, a wolałabym nie wydawać rozkazu do frontального natarcia.

Nie musiała widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że się skrzywił. Nie miała mu tego za złe.

– Ma pani rację. Wolałbym tego uniknąć.

Atak na dobrze osłoniętego wroga to nie są przelewki, nie mówiąc już o uderzeniu prosto na imperialne lasery.

– Moglibyśmy użyć dymu, ma'am, i trochę ich zmiękczyć granatami przeciwpiechotnymi. Odłamki w większości raczej nie przebiją ich pancerzy, ale wprowadzą chociaż nieco zamieszania.

Skinęła głową i rozważyła to.

Zbroja nieprzyjaciela była jednym z głównych problemów. Lżej opancerzonego przeciwnika można byłoby wyeliminować z użyciem granatników. Przeciwko porządnemu pancierzowi granaty odłamkowe to tylko deszcz metalu. Irytujący, ale niewiele więcej.

– Ma’am!

Conner zobaczyła na wyświetlaczu, że jeden z kaprali próbuje zwrócić jej uwagę.

– Co jest? – Przełączyła się na otwarty kanał taktyczny.

– Gość z ochrony Priminae coś zauważył. Chyba powinna pani o tym wiedzieć.

– Mów, kapralu.

– Tak, ma’am. Facet nazywa się Reid i monitoruje okoliczne sygnały. Próbuje złamać szyfrowanie Imperialnych.

– Udało mu się? – To byłoby całkiem przydatne.

– Nie, ma’am. Jeszcze nie.

– W takim razie co ciekawego znalazł? – Conner próbowała nie brzmieć zbyt oschle.

– Nie złamał jeszcze kodu, bo jest cholernie skomplikowany, ale odkrył, że otworzyli naprawdę mocne łącze z lądownikiem. Przesyłają mnóstwo danych.

– Cholera, sierżancie – syknęła Conner. – Wygląda na to, że czas nam się kończy. Przygotować dwudziestki i granaty dymne. Czas zrealizować pański plan.

– Nie wiem, czy nazwałbym go moim planem. Ale tak, ma’am, trzeba się uwijać – odparł sierżant, po czym dał znać ludziom, żeby przygotowali granatniki.

Hadrian zaklął, gdy w zatłoczonych korytarzach lądownika do Imperialnych, z którymi już walczył, dołączyła kolejna grupa.

„Ilu ich się mieści w tej puszcze?”

To cholerstwo nie było nawet takie duże, ale wyglądało na to, że wrogów i tak było tu całe mrowie.

– Poruczniku.

Hadrian niemal podskoczył, gdy głos pułkownik wyrwał go z zamyślenia. Przełączył się szybko na kanał dowódczy i zobaczył

napiętą, spoconą twarz Conner.

– Tak, ma’am?

– Mamy problem. Spróbujemy go rozwiązać z tej strony, ale jeśli się nam nie uda, wszystko zależy od was.

– Zamieniam się w słuch.

– Wygląda na to, że siły wroga są na tyle blisko lądownika, że udało im się przebić przez zakłócenia. Przesyłają właśnie do swoich całą masę informacji, które nie powinny opuścić pokładu. Zrozumiano?

– Tak jest, ma’am – odpowiedział, jednocześnie wciskając spust karabinu, by wysłać serię strzałów wzdłuż korytarza. Trafił w lekki pancerz imperialnego żołnierza, który zrobił się zbyt bezczelny. – Jesteśmy niemal na pokładzie dowodzenia, jeśli ochrona Priminae się nie myli.

– Dobrze, róbcie swoje, marine.

– Tak jest, ma’am.

Twarc pułkownik zniknęła z wyświetlacza i Hadrian zastanowił się przez chwilę, zanim wydał rozkazy.

– Dobra, czas na główne danie! Przygotować się do przejęcia mostka!

Dowódca lądownika pocił się, patrząc na dane spływające do jego komputerów. Musiał podjąć decyzję.

Nie wątpił, że dopóki na pokładzie przebywali żołnierze wroga, zwierzchniczka każe mu przesłać dane na jej okręt, po czym zapewne go porzuci albo, co bardziej prawdopodobne, uruchomi sekwencję autodestrukcji.

Wolałby uniknąć takiej sytuacji.

– Jak dobry sygnał możemy wysłać na okręt zwierzchniczki? – spytał technika komunikacyjnego.

Technik spojrział na niego niepewnie i odpowiedział:

– Jest dość blisko, by wysłać tam skupioną wiązkę danych.

„No cóż, oto i odpowiedź”.

Nie było możliwości udawania, że sygnał nadal jest zakłócany. Zwierzchniczka albo wiedziała, albo miała niedługo się dowiedzieć, że na lądowniku mają już dane od grupy szturmowej.

Dowódca zawahał się, choć wiedział, że nie ma innego wyjścia. Wreszcie skinął głową.

- Nawiązać połączenie i przygotować dane do transmisji.
- Tak, dowódco.

- Zwierzchniczko!
- Co jest? – Misrem podeszła do konsoli komunikacyjnej.
- Mamy informacje z lądownika. Otrzymują dane od grupy szturmowej.
- Doskonale.

Nie musiała mówić nic więcej, bo nie chciała obrażać ludzi, którzy zrobili coś dobrze, lecz nadal była w podłym nastroju przez to, że wrogim żołnierzom udało się wejść do lądownika.

- Poinformujcie mnie, gdy otrzymamy dane.
- Tak jest, zwierzchniczko.

Znów skupiła się na walce. Jej okrętom mocno się dostało, ale odpowiadały pięknym za nadobne. Wróg miał przewagę w zakresie pancerzy i uzbrojenia, choć nie dość dużą, by liczyć na zwycięstwo. Wolałaby jednak nie pozostać sama wśród popiołu, a same okręty wroga nie były aż tak ważne dla tej misji.

Imperium potrzebowało informacji, które pozwoliłyby przygotować się do zajęcia tego regionu. Jego mieszkańcy znajdą się wówczas pod flagą cesarskiej albo zginą na jej rozkaz. Imperium miało niebiański mandat i jego przeznaczeniem było władać całą Galaktyką.

Każdy, kto się temu sprzeciwiał, sprzeciwiał się również bogom.

Conner przejrzała ograniczone zasoby, które im pozostały. Nieco granatów dymnych, całkiem sporo odłamkowych dwudziestek na krótki ostrzał i tak dalej. Chciałaby mieć wszystkiego więcej, ale uznała, że marines dadzą sobie radę z tym, co mają.

Nie pierwszy raz zdawała się na improwizację.

„A skoro mowa o improwizacji...” – pomyślała. Zaczepiła pierwszego lepszego oficera ochrony „Tetanny”.

– Przepraszam, ale nie znam pani nazwiska ani stopnia.

– Jestem ithan, pułkowniku – odpowiedziała kobieta. – Ithan Kolka.

O ile pamiętała, ranga „ithan” odpowiadała porucznikowi marynarki. Dość niski stopień oficerski, choć czasem trudno było to dokładnie stwierdzić. Systemy hierarchii wojskowej u Priminae i Ziemi nieco się różniły.

– Tak, ithan. – Wskazała na ręczny laser trzymany przez kobietę. – Gdy użyjemy dymu, nie będziecie mogli z tego strzelać. Czy macie tę swoją broń grawitacyjną?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie, to wyposażenie piechoty, nie floty.

„Trzeba będzie to zmienić” – pomyślała ponuro Conner. Uczyniła zasłonę hełmu przezroczystą, żeby kobieta widziała jej twarz.

– Dobrze. Gdy rozpylimy dym, musicie się schować. Nic wtedy nie działacie.

– To nasz okręt. Oni są na naszym okręcie – nalegała młoda kobieta.

– To nasze zadanie. Moje zadanie.

– Ale nie macie do jego wykonania odpowiednich narzędzi i będziecie tylko przeszkadzać marines. Podoba mi się pani odwaga, ale na razie proszę z nią przystopować. Jeśli spróbujecie teraz pomóc, zginiecie. To oczywiście wasza sprawa, nie moja. Ale jeśli przy okazji przez was zginą moi marines, mocno się wkurzę. To już będzie moja sprawa. Wycofajcie się.

Ithan wydeła wargi, zamierzając obstawać przy swoim, ale Conner patrzyła jej w oczy tak długo, aż w końcu kobieta odwróciła wzrok. Wreszcie niechętnie skinęła głową.

– Dobrze. Wydam instrukcje swoim ludziom.

– Dziękuję – odparła Conner. Przełączyła się na kanał taktyczny i obserwowowała poczynania marines.

Byli praktycznie gotowi do akcji.

Wzięła głęboki oddech.

– Dobrze, marines. Wiecie, co robić. Wykonać.

Sekundę później w hangarze uszkodzonego krążownika Priminae rozpętało się piekło.

Rozdział 24

– Przesyłam dane.

Dowódca lądownika mruknął coś na znak, że słyszy technika komunikacyjnego, ale jego uwagę rozproszył odgłos walki, który dobiegał nawet przez uszczelnione ściany. Wróg znalazł się praktycznie obok i poddany cesarzowej nie wiedział, ile ma czasu, zanim bitwa dotrze również do mostka.

W dłoni ścisnął pistolet laserowy. Rękojeść była mokra od potu, a on spoglądał co chwila w stronę głównego wejścia.

„Wkrótce”.

– Utrzymać sygnał! – krzyknął. – Nieważne, co się stanie, te informacje muszą trafić do zwierzchniczki. Choćby miało to was kosztować życie! Zrozumiano?

Przerażony technik skinął głową.

– Tak, dowódco. Choćby miało to kosztować życie.

Wszyscy podskoczyli, gdy rozległ się potężny huk. Dowódca odwrócił się do drzwi, które wciąż dzwoniły od niewyobrażalnie mocnego uderzenia.

– Co... – Kolejny udar zniszczył zawiasy i drzwi otworzyły się, zwisając na ich resztkach.

Zaczął podnosić swój laser, gdy na mostek wbiegła pierwsza postać, kierująca w jego stronę jakiś rodzaj broni. Rzucił się na bok. Rozbłysk światła oślepił go, a potężny grzmot ogłuszył. Strzelił przed siebie.

Cały pokład dowodzenia pogrążył się w chaosie.

Porucznik Hadrian przysunął się do ściany, widząc rozbłysk lasera, który spowodował powidoki na siatkówce. Laser spudłował, inaczej nie widziałby promienia, ale wciąż czuł jego żar. Zaczął się pocić pod pancerzem, nie do końca wiedząc – z gorąca czy ze strachu.

Hadrian stwierdził, że jeśli przeżyje, powie, że to od gorąca. Niektórzy może nawet uwierzą.

Odwrócił się znów i wystrzelił krótkie serie do celu, który próbował

schronić się za konsolą, iskrzącą się od uderzeń pocisków. Za nim marines przechodzili przez wyważone drzwi i otwierali ogień. Zabijali Imperialnych z brutalną skutecznością, zakładając, że wszyscy mogą być uzbrojeni.

W tej sytuacji nie należało się wahać.

Hadrian rozglądał się w poszukiwaniu człowieka, który wyglądałby na oficera Imperium, ale nie mógł nikogo takiego dostrzec. Opuścił broń i ruszył naprzód, wypatrując celu z pomocą HUD-a.

Zobaczył, że jeden z marines zajmuje pozycję po jego lewej.

– Uważaj, został przynajmniej jeden uzbrojony oficer – powiedział.

– Przyjąłem, poruczniku.

Pokład dowodzenia był dość ciasny, z masą stanowisk i konsoli. Wyglądało tutaj trochę jak na starym okręcie podwodnym, co zaskoczyło Hadriana. Nie miało sensu inwestować w budowę tak małej jednostki, jeśli potrzebowało się na niej takiego sprzętu. Rozmiar najwyraźniej był czymś względnym, szczególnie na poziomie technologicznym Priminae czy Imperium.

Nawet Włóczęgi były bardziej przestronne. Jeśli mostek okazał się tak zatłoczony, Hadrian nie chciał wiedzieć, jaki ścisk musiał panować zazwyczaj w innych sekcjach.

Kątem oka dostrzegł ruch. Odwrócił się na czas, by ujrzeć oficera, do którego wcześniej celował, kierującego broń w kierunku porucznika i drugiego marine.

– Padnij! – krzyknął Hadrian, rzucając się na towarzysza. Zderzenie się z pancerzem wspomaganym przypominało nieco atak na ścianę, ale tym razem ściana przegrała.

Marine poleciał do przodu, zaś Hadrian zobaczył oślepiający rozbłysk lasera. Jego zmysły oszołomił wszechogarniający żar, pociemniało mu w oczach.

Dowódca lądownika zaklął, widząc, że nie trafił, a jego cel został odepchnięty w ostatnim momencie. Nie bardzo miał jednak czas zastanowić się, co dalej, bo chwilę później opancerzeni żołnierze otworzyli ogień.

Ze wszystkich stron spadły na niego pociski. Runął na podłogę,

a świat wokół niego eksplodował.

Próbował się poruszyć, ale jego ciało odmówiło posłuszeństwa. Świat stawał się ciemniejszy i bardziej cichy, świadomość zapadała się w otchłań.

Resztkami sił dowódca przewrócił się na brzuch i doczołgał do najbliższej konsoli. Nie odczuwał bólu, tylko irytację, w miarę jak czuł się coraz bardziej oderwany od własnego ciała.

Z jękiem podciągnął się na tyle, by zobaczyć konsolę komunikacyjną i upewnić się, że sygnał został wysłany.

„Misja wypełniona, zwierzchniczko”.

Wprowadził własny kod dowódczy i opadł na pokład, otoczony przez uzbrojonych ludzi w ciemnych pancerzach.

„Dziwne” – pomyślał, spoglądając na lufy ich broni. Wiedział, że są blisko, ale i tak wydawały się czymś odległym. „Myślałem, że umieranie będzie bardziej boleć”.

Z jego gardła wydobyło się ciche rżenie.

– Cel unieszkodliwiony! – zawołał jeden z szeregowców. Kopnął laser z dala od ciała imperialnego oficera i obejrzał się przez ramię. – Gdzie porucznik?

– Potrzebujemy sanitariusza, szybko! – odpowiedział klęczący przy Hadrianie marine. – Promień przeleciał obok, ale i tak mocno go przypiekł. Ma rozległe oparzenia.

– Cholera. Co robimy?

– Zabierzcie porucznika na zewnątrz – odpowiedział szef ochrony Priminae. Rozejrzał się uważnie po mostku.

– Sir, mamy misję do wykonania.

– A my ją dokończymy – odparł tamten, przyglądając się wciąż działającym konsolom.

Gdy dotarł do tej, za którą zginął oficer, zbladł.

– Co? Co się stało?

– Wygląda na to, że dowódca – wskazał głową na ciało – wyłączył zabezpieczenia silników lądownika. Niedługo ulegnie zniszczeniu.

– Cholera. Musimy zabrać go z dala od krążownika – stwierdził marine, pochylając się nad inną z konsoli. – Ktoś wie, jak tym

sterować?

Szef ochrony odepchnął go.

– Dość już zrobiliście. „Tetanna” to mój okręt – powiedział z uśmiechem, który sprawił, że marine z trudem przełknął ślinę. – Zabierzcie stąd porucznika, a ja się tym zajmę.

– Sir... pan...

– Idź – powiedział mężczyzna zaskakująco stanowczym tonem, jak na łagodny wyraz jego oczu.

Następnie, nie zważając na marine, odwrócił się do konsoli i podłączył do jej obwodów jedno ze swoich urządzeń. Marine powoli wycofywali się, wciąż niepewni, czy powinni opuścić pokład na rozkaz kogoś spoza ich struktury dowodzenia, nawet jeśli ten ktoś należał do sił sojuszniczych.

– Macie czas do chwili, aż złamię te kody – powiedział Priminae, nie podnosząc wzroku. – Potem wysadzę lądownik z dala od „Tetanny”, niezależnie, czy tu będziecie, czy nie.

Decyzję podjął kapral, najwyższy stopniem z marine poza rannym oficerem.

– Podnieście porucznika – rozkazał. – Wychodzimy.

Marine posłuchali go. Kapral zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

– Powodzenia. – Skinął głową pozostającemu na pokładzie mężczyźnie.

Szef ochrony odpowiedział gestem ręki. Kapral ruszył za resztą swoich ludzi.

Leif rzucił wiązanką przekleństw, widząc wokół granaty dymne. Ulatniające się z nich opary zmniejszyły widoczność i, co ważniejsze, skuteczność laserów.

– Przygotować się – ryknął. – Zaraz tu będą!

– Centurionie! – zawołał oficer komunikacyjny. – Jakość sygnału spada.

– Co? Nie! – warknął Leif. – Rób, co możesz, byle nie stracić połączenia!

Młody mężczyzna wrócił do swojego sprzętu.

– Hm... może dałbym radę podłączyć się do zasilania okrętu, żeby

wzmocnić sygnał?

- Zrób to! Natychmiast! – zawołał Leif. Odwrócił się do pozostałych.
- Chronście go. Sygnał musi się przebić.

Nie potrafił stwierdzić, co jego ludzie myślą o rozkazie, jako że pochłonął ich już dym. Nie miało to jednak znaczenia. I tak wykonują zadanie.

Wokół nich rozległa się seria eksplozji, słabszych, niż mógł się spodziewać, ale wystarczających, żeby dezorientować jego ludzi. W ich pancerze uderzył deszcz metalowych odłamków. Nie było to szczególnie groźne, ale wystarczyło, aby nie wiedział, na czym skupić uwagę.

„Co oni robią?” – pomyślał. Zdawał sobie sprawę, że nieprzyjaciel dysponuje skuteczniejszą bronią. Czy coś mu umykało?

Chwytał mocno laser. To miała być ostatnia bitwa tej misji, niezależnie od jej wyniku.

Rider z ponurą miną sprawdził magazynek. Skrzywił się, przeliczywszy naboje.

- Zostały mi dwadzieścia cztery. A wam?
- Czternaście – odpowiedział Dow.
- Całe trzydzieści pięć – powiedział Ramirez z udawanym zadowoleniem.

Kensey zrobił głęboki wdech. Lewa strona jego pancerza była znacznie osmalona. Choć laser w niego nie trafił, i tak zdołał przegrzać jego osłony.

- Mam dwadzieścia dwa.
- Gdy pułkownik wykona swój ruch, znowu uderzymy – zdecydował Rider. – Ram, wymień się magazynkami z Kenseyem. Ken, będziesz naszym głównym snajperem.

Ramirez wyciągnął pełen magazynek i podał go rannemu marine w zamian za częściowo opróżniony.

- A reszta? – spytał spokojnie Ram.

Rider zaryzykował, wyjrzał za róg i zobaczył kłęby dymu, rozwiewane nieco przez odłamkowe dwudziestki, ale wciąż otaczające Imperialnych.

– Pobiegniemy tam tak szybko i cicho, jak się da, i zabijemy ich wszystkich. Jakies zastrzeżenia?

Pozostali spojrzeli po sobie. Kensey krzywił się, ledwo mogąc stać, nie mówiąc już o bieganiu. Nie podobało mu się, że miał patrzeć na akcję z boku, jeśli wciąż był w stanie strzelać.

Dow i Ram odpowiedzieli jednak tylko jednym słowem.

– Oorah!

Leif z niepokojem wyczekiwał ataku, gdy nagle jego uwagę przykuł ruch po drugiej stronie korytarza. Obrócił się i próbował coś zobaczyć poprzez kłęby dymu. W końcu wypatrzył trzy sylwetki, biegnące w jego kierunku.

– Uwaga na flankę! – ostrzegł, dając znak swoim ludziom, żeby skupili się na nowym celu.

Jego trzech ludzie wyszli z dymu na tyle, żeby móc wystrzelić z laserów.

Leif usłyszał trzykrotny huk i zanim się obejrzał, wszyscy trzech zalegli na pokładzie.

Ledwie widział czwartą sylwetkę, leżącą za szarżującymi. Mógł ją w ogóle zauważyć głównie ze względu na błyski broni. Był pełen mimowolnego podziwu. Zabicie trzech ludzi trzema wystrzałami tak, by nie trafić przy okazji swoich, wymagało niesamowitej pewności ręki albo zupełnego lekceważenia życia towarzyszy. To, że jemu się upiekło, wskazywało raczej na to pierwsze.

Leif miał już rozkazać kolejnym ludziom osłaniać flankę, ale właśnie wtedy dostali śmiercionośny ogień z drugiej strony.

Rider był w połowie drogi do pozycji wroga. Nie strzelał jeszcze, ufając, że Kensey zapewni im osłonę. Dopiero gdy usłyszał salwę z drugiej strony, oddał pierwszy strzał, zdając się na celowanie wspomagane komputerowo.

Karabin zaczął warczeć w jednostajnym tempie. Komputer pobierał dane z jego czujników i obliczał odpowiednie kąty strzału, a następnie

przekazywał karabinowi informacje, kiedy dokładnie wystrzelić. Człowiek musiał sam nią ruszać – broń nie robiła tego automatycznie – ale to komputer zwalniał spust.

Imperialni padali od ognia jego i pozostałej trójki, ale przez dym nawet komputer nie celował idealnie. Zanim dotarli do krawędzi chmury, skończyła mu się amunicja. Wiedział, że pozostałym musiała skończyć się jeszcze wcześniej.

Rider nie zatrzymał się. Odrzucił karabin i prawą ręką sięgnął po pistolet, a lewą po nóż.

Uśmiechnął się na myśl o tym, ilu ludzi uważało, że nie ma sensu wyposażać współczesnego marine w broń białą. Zawsze zajmował w tym sporze przeciwne stanowisko.

„Przekonamy się, kto ma rację”.

Wkrótce otaczał go ze wszystkich stron dym i nie widział już nic poza niewyraźnymi, widmowymi sylwetkami.

– Wchodzić! – Rozkaz sierżanta nie był potrzebny. Marines ochoczo biegli w opar.

Zużyli wszystko, co mieli, na ostateczną szarżę i choć wiedział, że pułkownik żałowała, iż nie mają więcej sprzętu, on był pewien, że to wystarczy.

Pośród kłębowiska błyskały lasery i mimo że dym mocno je rozpraszał, przy bezpośrednim dystansie wystarczyły, aby ugotować marines.

Trzech ludzi padło, gdy ich pancerze zaczęły się palić. Sierżant skrzywił się, ale pędził dalej. Odpowiedział ogniem z karabinku.

– To ostatnia szansa! Na nich, marines!

Jego wzrok przykuł ogień z karabinku po jego prawej. Sierżant rozpoznał ikonę na wyświetlaczu.

– Pułkowniku – odezwał się. Próbował nie podnosić głosu ani nie rozpraszać uwagi. – Czy mogę wiedzieć, co pani robi?

– To chyba oczywiste, sierżancie – odpowiedziała Conner, wystrzeliwszy serię w dym.

– Z całym szacunkiem, ma’am – odparł życzliwym, choć pełnym napięcia tonem – ale czy pani oszalała? Dowodzi pani bitwą. Pani

miejsce jest za osłoną.

Byli już niemal pośród oparu. Pułkownik roześmiała się.

– Mam dowodzić poprzez cały ten dym? Naprawdę?

Nie chciał tego przyznawać, ale miała nieco racji. Gdy wkroczyli w gęstą mgłę, ich sensory w najlepszym razie straciły na skuteczności, a w najgorszym całkiem przestały działać. Wkrótce byli praktycznie ślepi.

„Proszę, niech nikt nie rzuci granatem w pułkownik” – pomyślał sierżant z cichym jękiem. Próbował nie myśleć zbyt intensywnie o tym, że jego przełożona usilnie próbowała dać się zabić.

Misrem wrzasnęła, gdy straciła kolejny niszczyciel. Osłona, jaką dawały mniejsze okręty, wyglądała teraz nieco gorzej, ale nadal spełniała swoje zadanie.

Poza początkowymi uszkodzeniami, spowodowanymi przez wrogi niszczyciel, który wypuścił tę szaloną broń z absurdalnie małej odległości, większość jej jednostek pozostawała w relatywnie dobrym stanie.

W przypadku wroga było podobnie, co bardzo ją denerwowało. Powinni stracić więcej okrętów. Pancierz wroga był skuteczny i pozwalał przetrwać ogień laserowy równy mocą takiemu, który dziesięć razy zdołałby zniszczyć krążownik Imperium. Gdyby jednak doszło do bezpośredniego starcia obu flot, byłoby to i tak za mało.

Główny okręt anomalii tracił atmosferę w tempie, którego nie mógł wytrzymać na dłuższą metę, nawet przy podwójnym reaktorze.

Nic nie mogło zostać tak zmasakrowane i wciąż wracać. Każdego w końcu dało się złamać i choć na razie wróg pozostał mniej więcej w jednym kawałku, to jej własne okręty były w lepszym stanie.

– Zwierzchniczko!

– Słucham? – Odwróciła się do oficera komunikacyjnego.

– Nasz lądownik odlatuje z okrętu wroga!

– Co? – warknęła, przyglądając się bliżej. – Czy udało im się zabrać stamtąd grupę szturmową?

– Nie wiemy, zwierzchniczko. Nie mamy z nimi kontaktu od jakiegoś czasu – odparł technik komunikacyjny. – Zgodnie z ostatnim

raportem nieprzyjaciel...

Przerwał, gdy ikona lądownika zamrugała na ekranie, a po paru sekundach skanery wykryły wybuch atomowy.

Misrem zamilkła na chwilę, po czym podjęła decyzję.

– Czas na odwrót. Nie mamy już tu nic do roboty.

– Komodorze, wróg uruchomił maksymalne przyspieszenie w stronę krawędzi układu – oznajmiła zaskoczona komandor Heath. – Podążamy za nimi?

Ericowi zaschło w gardle. Przeglądał raporty o uszkodzeniach i wiedział, że chociaż „Odyseusz” ucierpiał najbardziej, to pozostali nie byli w dużo lepszym stanie. Stracili dwóch Włóczęgów, a jeden z Herosów Priminae nadawał się już tylko na złom.

Sam „Odyseusz” ledwie uniknął podobnego losu, a Ziemia nie bardzo mogła sobie pozwolić na utratę nawet jednego krążownika.

– Nie – rozkazał. – To koniec na dziś. Dajmy im odlecieć.

Dwie grupy mocno poturbowanych okrętów rozdzieliły się, nie chcąc już walczyć do upadłego.

Tam, gdzie toczyła się bitwa, unosiły się wciąż chmury gazów, odłamki i ciała.

Epilog

Buty Erica Westona chrzęściły, gdy stąpał po pobojowisku i przyglądał się mu z uwagą.

– To musiała być naprawdę zażarta walka, kapitanie – powiedział do dowódcy okrętu Priminae.

– Owszem, komodorze – odparł Drey. – Szkoda tylko, że największe straty ponieśli w niej pańscy ludzie.

– Proszę jedynie podziękować poległym za ich ofiarę. Nie ma co żałować przeszłości i zastanawiać się, co mogłoby pójść inaczej.

Zatrzymał się, by spojrzeć na przebite nożem ciało. Pochylił się, by potwierdzić, że to standardowe ostrze marines.

– Przysięgłbym, że nóż by się złamał, zanim przebiłby pancerz bojowy. Cóż, człowiek uczy się przez całe życie. Oorah, marine.

Wzruszył ramionami i przez włotm wkroczył do hangaru.

Ogrom zniszczeń porażał. Westonowi trudno było sobie wyobrazić tę bitwę ze względu na niewielką przestrzeń, w jakiej ją stoczono i na uwolnioną w jej trakcie potężną energię.

– Czy będziecie w stanie naprawić okręt? – spytał.

Drey westchnął.

– Nie wiemy. Wciąż zbieramy dane, ale tak naprawdę byłbym zaskoczony. Może uda się uratować rdzenie reaktorów. Gdyby uległy istotnym uszkodzeniom, nie byłoby mnie tu.

Eric roześmiał się.

Nie dało się zaprzeczyć. Nawet gdyby jakiś okręt był w jednym kawałku, nie postawiłby na nim stopy, gdyby jego silnik pozostawał niestabilny. Zapewne nie zbliżyłby się do niego nawet na odległość dziesięciu sekund świetlnych.

– To prawda, kapitanie.

– A co z pańskim „Odyseuszem”? – spytał Drey.

– Nie wiem.

– Mam nadzieję, że nam obu się poszczęści. To teraz okręty z historią.

– Owszem, kapitanie, ale ich honor nigdy nie umrze. Stal rdzewieje, ceramika ulega rozkładowi, a honor jest wieczny.

– Dziękuję, komodorze, za pańską wizytę i pańskie słowa.
– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Eric ze smutnym uśmiechem. – Myślę, że jeszcze się zobaczymy.
– Mam taką nadzieję.
Obaj stali jeszcze chwilę w milczeniu, podczas gdy wokół nich trwały porządki.

Gdy Eric wrócił na mostek „Odyseusza”, był zmęczony. Ale był zmęczony, już gdy go opuszczał.

– Raporty o uszkodzeniach przesłane na pański ekran, komodorze – odezwała się Heath, gdy tylko wszedł.

– Dziękuję, komandorze.

Usiadł w fotelu i przyjrzał się raportom. To był spory plik.

Lasery wroga zniszczyły dziobowy pancierz na tyle, że nie byli w stanie dokonać napraw w drodze.

Rdzenie napędu były nienaruszone. Przynajmniej tyle.

Stracili przynajmniej setkę ludzi na „Odyseuszu”, a w całej grupie bojowej ponad tysiąc. Sam „Billy Kid”...

Eric zamknął oczy.

„I po co to wszystko? Wróg zdobył jednak cenne informacje i uciekł”.

Drey dostarczył mu listę kluczowych słów, których Imperialni szukali w bazie danych, i nie brzmiała ona dobrze.

Szukali informacji o nowych systemach laserowych, konstrukcji pancierza i, co ważniejsze dla Erica, o Ziemi.

Nie żeby wiedzieli, jak się nazywa. Ale poszukiwali danych o sojusznikach Priminae.

Drey przekazał również wyniki tych wyszukiwań i nie wróżyły nic dobrego. Nie wiedzieli, ile danych wróg zdążył przesłać – ustalono, że na pewno nie wszystkie – ale Weston musiał zakładać najgorsze.

„Jeśli wiedzą, jak słaba jest Ziemia, wykonają swój ruch. Nie jesteśmy na to gotowi. Potrzebujemy więcej czasu. Co robić? Nie możemy się ukrywać ani uciekać”.

– Walczymy.

Eric otworzył oczy, gdy na mostku rozległy się syreny alarmowe. Na

pokład dowodzenia wbiegli wartownicy marines. Eric wstał, widząc, że jeden z nich wyciąga pistolet i kieruje go w stronę przedniej części mostka.

– Nie ruszaj się!

Eric wpatrywał się ze zmieszaniem i niedowierzaniem w postać, która spowodowała całe zamieszanie.

Był to młody chłopiec w zbroi starożytnych Greków czy Rzymian. Miał na sobie złocistą spódniczkę, napierśnik z brązu, karwasze i nagolenniki. Jego równie antyczny hełm zdobił pióropusz.

Twarz chłopca była obita i zakrwawiona. W dłoni trzymał starożytny miecz o liściastym kształcie.

Eric gestem rozkazał marine, żeby nie strzelał. On i chłopiec spoglądali sobie w oczy. Weston próbował ustalić, co właściwie widzi, podczas gdy tamten zamarł, jakby był z kamienia.

„Czy to... różowy błyszczak wokół oczu?”

Ten niepasujący z pozoru do reszty szczególnie zaskoczył Erica bardziej niż cokolwiek innego. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć.

– Kim jesteś? – spytał Eric, choć miał wrażenie, że zna już odpowiedź.

„To niemożliwe” – pomyślał. „To nie może być to”.

Nie znajdowali się nawet w pobliżu żadnej planety, a jedyne istoty, które mógł porównać z tym chłopcem, były związane właśnie z planetami.

Chłopiec spojrzał mu prosto w oczy.

– Jestem Odyseusz.

Eric opadł z powrotem na fotel, jednocześnie zdumiony i przerażony.

A chłopiec dodał po chwili:

– Obudziliście mnie.

KONIEC TOMU SZÓSTEGO

Spis treści

Strona tytułowa
Seria Odyssey One
Strona redakcyjna
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Epilog